127

40

KOBUZ

TEGOŻ AUTORA:

CHORĄGIEW NA DACHU. Powieść. Gebethner i Wolff.
OBOK ŻYCIA. Powieść. Tamże.
SOBIERADEK. Powieść. K. Wojnar i S-ka.
SZTANDAR NA MASZCIE. Powieść. Gebethner i Wolff.
ZIEMIA ŚW. KRZYŻA. (BRAZYLJA). Tamże.
ŻYWA SZKOŁA. Zarys organizacyjny i metodyczny przyszłej szkoły średniej. Tamże.

JERZY OSTROWSKI

KOBUZ

POWIEŚĆ

NAKŁAD
GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA

Drukarnia Pawła Mitręgi w Cieszynie.
1931

Sznur wozów, eskortowany przez kilku żołnierzy federalnych, a ciągnący na południo-zachód Stanu — wydostał się wreszcie z lasów i wyjeżdżać począł na kamienisty step.

Wozy nakryte były wypukłemi dachami z płótna, a karoserja zbudowana była mocno i ciężko. To też koła zaczęły twardo stukać na kamiennych płytach stepu, aż wewnątrz odezwały się grzechotania naczyń i płacz rozbudzonych dzieci.

Na wozach powstał ruch: kilku mężczyzn zeskoczyło i szło obok, rozglądając się wokoło. Szli oni ciężko, krokiem ludzi zmęczonych, wyglądali jednak o wiele silniej, niż mulaci z eskorty.

Obie grupy przyglądały się sobie i starały się porozumieć. Żołnierze przysłuchiwali się dziwnemu językowi, którym przybysze rozmawiali między sobą i z furmanem Andrém (odgrywającym zarazem rolę tłumacza), a potem żartobliwie powtarzali twarde dźwięki i śmiali się z samych siebie. Przybysze zaś powoli, ale uparcie uczyli się słowa po słowie.

Dziwny to wogóle był naród. Trzymali się zawsze tak zbitą gromadą, że robili wrażenie czegoś sklejonego i bez twarzy. Przypominali glinę, ale też, jak glina, bronili się swoją masą i bezwładem.*)

Mówili mało, nawet między sobą, prawie nie śmiali się, a śpiewali bardzo rzadko i to jakieś nabożne melodje. Kobiety ich nie krępowały się chodzić otwarcie po obozowisku, na popasach, i ciągle były zajęte jakąś pracą. Nie były też ładne, trzeba wyznać.

Uzbrojenie mężczyzn było prawie żadne, co wreszcie było najbardziej zrozumiałe: tak niedawno przecie przyjechali. Zdawali się nawet cały czas być jeszcze myślami za oceanem.

Wlekli się tak już długo w czerwonym kurzu dróg i rozbitem grzechotaniu dzwonków. Popasy wypadały im zwykle na odludziach, a tylko na noc starali się ściągnąć w pobliże ludzkich siedzib. Było to zresztą zazwyczaj kilka ledwo skleconych

---

*) Trzeba też zaznaczyć, że Kobuz, o którym będziemy musieli wkrótce wspomnieć, nie był zupełnie *typem* tego narodu, był raczej zdarzeniem na jego tle. Chyba, że naród ten właśnie typowo składa się z biernej masy i takich jednostek, które w nim robią ruch, jak łyżka w kotle z gotowanym ryżem. W takim razie Kobuz był tą łyżką.

domków, opatrzonych szumną nazwą „Szczęśliwego Ustronia“ lub „Dobrego Rezultatu“.

Droga zaś szła przeważnie lasami, które stały całkiem bez szumu, dziwnie nieme i niezrozumiałe, jak obojętny cudzoziemiec. Wieczorami musieli dobrze pośpieszać, aby zdążyć przed szybko zapadającym zmrokiem na wyznaczony nocleg. Zwykle też ledwo opuścili muły, przywiązali im dzwonki i zebrali paliwo — zapadała nagła, czarna noc. Wieczory i ranki były chłodne, był to bowiem środek lipca, a zima tegoroczna była dziwnie bezsłoneczna.

Palili też nocami wielkie ogniska, ciesząc się naiwnie możnością rozrzutności drzewa w tym kraju lasów. Dodawał im nieco otuchy ten czerwony i ciepły bóg: z pierwotną ufnością garnęli się do niego, niechętnie wychodząc z jego kręgu w nieprzyjazną ciemność cudzoziemskiej nocy.

Na tle ognisk migały czarne sylwety i czerwone twarze, oświetlone od dołu. Kobiety gospodarowały zawzięcie, jakby szukając zapomnienia i racji swego tu pobytu w tej znanej im czynności.

Mężczyźni — bezczynni i oderwani od swych właściwych prac — kupili się zazwyczaj przy jednem ognisku, kucali wkoło i palili w skupieniu

papierosy. Prowadzili też półgłośne narady i słuchali Andrégo, głównego informatora i eksperta, który zresztą kłamał bez żenady i straszył nieznanemi dziwami.

Trzy popasy wypadły im na stepie, gdzie czuli się lepiej i rozglądali się z uciechą, że przecież jest gdzie oko zapuścić, a potem znowu dali nurka w lasy. Wreszcie dotarli do Czarnej Rzeki.

Kiedy osiem bułanych mułów Andrégo wdrapało się na ostatnią górę — ludzie odetchnęli. W dole widać było gromadkę ludzkich domostw, nie było to więc widocznie takie ostatnie pustkowie i dzicz.

José Pereira — jak zwykle w takich wypadkach — kolnął swego małego czarnego muła wielkiemi ostrogami, zdarł go mundsztukiem i, wyprzedziwszy żołnierzy i wozy, odbył triumfalny wjazd do miasteczka. Za nim furmani zawzięcie strzelali z długich batów, pobudzając muły do szybkiego przebierania sarniemi nóżkami, a dzwonki do głośniejszego bełkotu.

Z tą właśnie partją przybył do Czarnej Rzeki — Franek Kobuz vel Cobus, człowiek, którego Fortuna faworytowała w sposób zupełnie bezprzykładny i to bez żadnych właściwie podstaw, a nawet wbrew wszelkiej logice i sprawiedliwości.

Zresztą zdania co do tego były podzielone: dość powiedzieć, że sam dyrektor Reich zmienił pogląd dwukrotnie i w pewnej chwili stwierdził z krzywym uśmiechem, że Kobuz umie wcale nieźle, a kto wie, czy nie aż nazbyt dobrze pomagać losowi.

Niektórzy takie wrażenie mieli od początku i węszyli coś niezbyt jasnego w grze Kobuza z losem. Inni natomiast — jak naprzykład stary Szuk — pobłażliwie utrzymywali, że podobnie nieopatrznego gracza nie widzieli, i że jego wygrane były tylko i wyłącznie kaprysem Fortuny, niczem nieprzewidzianym i nieprzygotowanym. Zresztą Fortuna jest zapewne kobietą, i trochę nonszalancji dobrze jej robi.

Pozatem sposób, w jaki połączył się on z gromadą, wcale nie prezentował faworyta losu. Przyłączył się do gromady, a raczej został przez nią ogarnięty na połowie drogi. Jechał sam, w niedużej „carossie“, zaprzężonej w dwa tylko muły, które wyglądały jak szkielety. Podobnie zresztą, jak ich pan.

Kiedy José bohaterskim galopem skierował ku niemu swego muła — nie poruszył się wcale, przesunął tylko szybkim i nieznacznym ruchem futerał rewolweru na brzuch i siedział skulony

pod okapem swej budy, jak zwierz w jamie. Zapadłe zaś oczy błyszczały mu w tym cieniu tak nieprzyjemnie, że José przezornie zrobił odpowiedni układ ręki pod „ponchem“ dla odegnania uroku.

Na zapytania Joségo odpowiadał monosylabami, dopóki nie zobaczył wynurzających się wozów. Odtąd patrzył niejako przez Joségo na kilku zbliżających się mężczyzn, a usłyszawszy ich rozmowę — powiedział do nich kilka słów w tym samym języku.

A potem stała się rzecz bardzo oryginalna: nieznajomy zamknął swoje złe oczy, kiwnął się kilka razy gwałtownie, upadł wtył do wnętrza budy i stracił przytomność. „Pozwolił sobie“ na to. Musiał widać bardzo długo trzymać na wodzy roztrzęsioną resztkę swego ciała.

Stary Szuk nie zwiódł zaufania, które przybysz okazał gromadzie. Z miejsca objął opiekę nad włóczęgą, mówiącym tym samym językiem „Starego Kraju“. Przedewszystkiem trzeba było przekonać Joségo, że nowy przybysz nie jest jeszcze trupem, i że jego dobro nie należy do „Zarządu Etapu“, jak José nazywał siebie i kilku swoich żołnierzy.

Wozy zbiły się w bezładną gromadę, i coraz

więcej ludzi zbliżało się do „carossy“ nieznajomego. Przyszły i kobiety, które zajęły się zemdlonym. Był tak lekki, że nawet stara Szukowa mogła go z łatwością unieść. Za nią wszedł na wóz najstarszy syn i pomagał układać wygodniej chorego.

Kobuz poruszył się tylko lekko, kiedy odpinano mu rewolwer, ogromny Smith-Wesson, jaki jest w powszechnem użyciu w „interjorze“. Zdziwiło to nieco przybyszów, ponieważ nikt prawie z nich nie nosił broni. Zdziwiło i jakby przejęło szacunkiem, a zarazem nieufnością. Tłum stał w milczeniu, obserwując ruchy niosących pomoc człowiekowi, spotkanemu na drodze.

— Zmizerowany — powiedziała Szukowa poważnie i jakoś bezbarwnie. Wyglądało to równie dobrze na współczucie, jak na potępienie.

— Zmizerowany — powtórzyła córka Szuka, jasna, dojrzała dziewczyna. Ale powtórzyła to innym tonem.

Kiedy odsłonięto część płóciennej zasłony, aby lepiej widzieć, gdzie umieścić chorego — oczom zebranych ukazało się wnętrze wozu, pełne różnego dobra, rzuconego jakby w pośpiechu jedno przez drugie. Między innemi zauważono dwa rozmiary butów. Tak, jedna para butów, związana

sznurkiem za uszy, miała numer bardzo niewielki i mogła uchodzić za buty Kobuza, który miał stopy drobne, ale zato druga... Dość powiedzieć, że wyglądały przy poprzedniej na buty olbrzyma i w żadnym razie nie mogły należeć do tej samej osoby, co pierwsza para. Nie wszyscy może spostrzegli to odrazu, ale kiedy stara Szukowa strzepnęła jakąś szmatę, aby podłożyć ją pod głowę nieprzytomnemu — tłum cofnął się z niewyraźnym pomrukiem: tą szmatą była kobieca chustka, taka, jaką noszą na głowie tam, w Starym Kraju.

Szukowa jakby zawahała się i zawstydziła swej opieki nad tym człowiekiem, i w momencie tego wahania odezwał się głos z gromady:

— Nie kładź żmii za pazuchę.

Stary Szuk obejrzał się powoli, jak stary buhaj, kiedy w stadzie słyszy jakiś buntowniczy pomruk, a potem powrócił oczami do swojej kobiety. I naraz huknął tak ostro, że wszyscy drgnęli:

— No, czego? Ruszaj się!

Szukówna nieśmiało podeszła i próbowała pomagać.

Widział to wszystko i José, ale wrażenie, jakie na nim zrobiło wnętrze wozu, było zgoła innej natury. Uderzył językiem o podniebienie, zwracając się do swoich żołnierzy, i podniósł brwi.

Oni też wymienili między sobą szelmowski uśmiech i spojrzeli uważniej na zmizerowaną twarz człowieka, leżącego na wozie. A on leżał bez ruchu, rozrzuciwszy swoje ciało byle jak i ledwo unosząc oddechem pierś.

Rozmyślania przerwał José, dając sygnał do dalszego marszu. Stara Szukowa, z polecenia męża, została na wozie chorego. Doprzęgnięto też dwa zapasowe muły, gdyż tamte były prawie zdychające. I tak jednak ciężko im było ciągnąć tę „carossę“, tak bardzo wyładowaną owem podejrzanem dobrem.

Na popasach rozmawiano ostrożnie o obcym, ale nie wypowiadano tego, co prawie wszyscy mieli na języku. Jeden tylko człowiek nie mógł uspokoić się i pogodzić z obecnością przybysza. Był to niejaki Messel, mała figurka, poważnie szepleniąca i jąkająca się.

Złośliwy los, obdarzając go temi wadami wymowy, dał mu zarazem ambicje trybuna ludu i gorące zamiłowanie do wszelkiego rodzaju wystąpień i przemówień.

Stary Szuk wiedział doskonale, kto to krzyknął przeciwko przyjmowaniu chorego pod opiekę gromady. Na tem jednak Messel nie poprzestał. Miał on w Starym Kraju sklepik, co stawiało go

oczywiście społecznie o wiele wyżej, niż tępych i prostych chłopów, wyglądających raczej na jakieś narzędzia rolnicze, niż ludzi.

Pozatem — trzeba wiedzieć, że skończył on jakąś nieokreśloną szkółkę i przeczytał kilka książek, które spełniły straszne dzieło w stosunku do jego głowy. Zaburzyły mu one tak dokładnie porządek myśli, że odtąd stał na pograniczu dwóch światów: rzeczywistego, w którym już przestał się orjentować, uwiedziony sugestją słów skomplikowanych, i świata myśli, w którym jeszcze się nie orjentował.

Przytomniał tylko, kiedy sprawy dotykały blisko jego kieszeni, ale i wtedy nie wyzbywał się swego niejasnego żargonu. Często zaś zapominał nawet o interesach, tak go pochłaniała ta bezinteresowna i niewzajemna miłość abstrakcji. Messel nie perorował teraz na popasach „coram populo“, lecz przypierał do muru coraz to kogoś innego z gromady i obryzgiwał go gorącym szeptem, śliniąc się przytem pracowicie.

— Jakiś taki... niewiadomo kto!... — ział namiętnie. — Odbije się to na opinji całego społeczeństwa, które absolutnie... ab-solutnie...

Pobijał ludzi tem „absolutnie“. A pozatem w tym nowym kraju naprawdę niewiadomo było,

czego się trzymać. Nadchodził jednak stary Szuk, i milkli. Zato zbierali się teraz raczej u innych ognisk, unikając punktu, gdzie stała „carossa“ przybysza, tuż obok rodziny Szuka.

Natomiast José podjeżdżał często do wozu, gdzie leżał chory, i pytał cicho starej Szukowej o zdrowie pacjenta:

— Está melior?

Szukowa zaś mruczała niezmiennie, że „tak samo“.

Musiał widocznie ten człowiek długo czerpać z ostatnich zapasów swego ciała i doprowadził się do zupełnego bankructwa. Teraz odmówiło mu ono zupełnie swych usług i restaurowało swoje braki w jakiś tajemniczy a mądry sposób. Wygodny to był zresztą chory: spał prawie bez przerwy, czasem tylko budził się, aby napić się nieco wody. Próbowano go wynosić na powietrze, ale nie robiło to na nim żadnego wrażenia — spał tak samo, jak w wozie.

W takim stanie wjechał do Czarnej Rzeki, a nie był to w najmniejszym stopniu wjazd triumfalny.

W barakach, gdzie umieszczono przybyszów, Kobuz zaczął zwolna przychodzić do siebie. Nie w tem znaczeniu, żeby nabrał ciała (wydaje się, że miał już ten typ budowy — z żył i ścięgien, bez

odrobiny zbytecznego mięsa), ale barwa jego skóry stała się mniej trupia, i oczy nabrały jakiegoś prześmiewnego połysku. Pozbierał też swoje rozrzucone członki, stał się niejako bardziej „dośrodkowym“, chociaż miał ciągle tę miękkość leniwego drapieżcy. Mówił tak mało, że stawało się to nieprzyzwoitem, gwizdał tylko ciągle. Dopiero po jakimś czasie wybaczyli mu to Szukowie, gdy zobaczyli, jak niechętnie zdobywa się na jakiekolwiek słowo. Wyglądało to doprawdy, jakby się wstydził mówienia. Słowa zastępował jakiemiś prychaniami, pomrukami i poświstami, tak, że udawało mu się czasami rozmowę podtrzymywać, choć najczęściej niewiele zwracał uwagi na to, co się mówiło. Kiedy pierwszy raz mógł wyjść na dwór, stanął — już z kapeluszem w ręku — na środku izby, rozkraczywszy szeroko nogi i patrząc na Szukową. Po chwili wyrzucił prędko z siebie: „Dziękuję wam, Szukowa, za tego... za wszystko“ — i obrócił się na pięcie ku wyjściu. Po drodze objął szerokim chwytem Weronikę Szukównę i błysnął do niej zębami: „Tobie też!“ A potem już zaraz zaczął gwizdać i wyszedł. Szukowej nie podobało się to mocno, i gderała przed mężem, ale stary się pośmiewał tylko. A potem powiedział: „Cicho-no, kobito: to jest chłop! Ja

ci mówię — to jest chłop". Może Szuk miał zresztą na niego jakieś plany?

Kiedy jednak Dyrekcja wezwała wszystkich do zjawienia się przed budynek rządowy — był jeszcze nieco słaby i został z kobietami. Poszedł tylko stary Szuk i młody — Walery.

Z baraków wylegały drobne grupki i zbierały się w wielką gromadę, było też i trochę kobiet, które nie ufały w obrotność swoich mężów. Wśród tłumu kręcił się Messel i starał się szeplenić możliwie najgłośniej. Ludzie byli rozdrażnieni odmienną strawą, zimnem, którego nie spodziewali się, chorobą dzieci, które grymasiły i słabły, bez wiadomego powodu, i niewyjaśnioną sytuacją. Patrzyli też zpodełba i ledwie odpowiadali na powitania Szuka. Jeden tylko Messel odpowiedział bardzo uprzejmie i wzajemnie zapytał o zdrowie „całej" rodziny. Potem znowu począł ugadywać się z furmanem Andrém, który pozostał na miejscu, częściowo jako tłumacz, częściowo zaś jako siła komunikacyjna dla dostarczania prowjantów. Zbliżył się do nich po chwili i José, ale, szepnąwszy coś krótko, poszedł do budynku Dyrekcji, a Messel powrócił do gromady. Wyszedł wreszcie tęgi, zażywny człowiek w rozpiętej kamizelce, z papierem w ręce. Był to sam dyrektor Otto Reich.

Gromada — jeszcze starokrajowym obyczajem posłuszeństwa — zdjęła czapki; dopiero usłyszawszy kpiące prychnięcia żołnierzy i gromadki robotników-mulatów, z niejakiem zawstydzeniem nakryła głowy. Dyrektor uśmiechnął się także i począł mówić długo i wymownie. Potem André równie długo i prawie równie niezrozumiale tłumaczył. Potem — ku ogólnemu zdumieniu — wystąpił Messel. Byłby pewnie doreszty poplątał sprawę swą kunsztowną wymową, gdyby nie silny okrzyk Szuka, który mu zepsuł kontenans:

— Tylko krótko!

Wyprysnęły śmiechy, a Messel — udając zresztą, że nie słyszał — powiedział istotnie w kilku słowach, że oto Dyrekcja Kolonizacji chce dać przybyszom możność zarobku i angażuje ich na roboty przy budowie kolei żelaznej. I żeby zaraz podpisywać kontrakty.

Nie podobało się to gromadzie, zaczęły się nieśmiałe protesty, pomruki i okrzyki. Ośmielił ich dopiero Szuk, kiedy, przepchawszy się przez tłum i mijając Messla, podszedł do Andrégo i powiedział mu tak, że cały tłum usłyszał.

Przetłumacz im tak:

— Musimy się namyśleć i naradzić, a tak odrazu — nie pójdziemy.

— Nie pójdziemy! Nie pójdziemy! — huknęły śmiałe już teraz głosy. Messel zakrzątał się i — rzec można — zaroił, jak polany ukropem. Począł coś rozpowiadać sztucznie i rozwlekle, nie rozumiejąc, że w takiej chwili trzeba albo rzucić zdanie, mające postać hasła, albo iść za innem hasłem.

Dyrektor Reich skrzywił się, ale nic nie powiedział. Poszukał oczami Joségo, potem rzucił okiem na rzucającego się Messla i wreszcie zawrócił do domu. Za nim poszedł nieodstępnie wielki murzyn, który stał do tej pory skromnie na boku. Zapadł zmrok, i gromada zaczęła się rozchodzić do baraków, deliberując głośno.

Po wieczornej strawie kilka razy ktoś zaglądał do baraku Szuka, ale cofał się zaraz, dojrzawszy postaci siedzące przy ogniu. Po jakimś czasie Kobuz podniósł się leniwie z pniaka i ziewnął szeroko, przeciągając swoje żylaste ramiona:

— Pójdę. Rozejrzę się.

Niedbale wziął jakąś kapotę, a pod nią pas ze Shmitem i wyszedł. Zaraz po jego wyjściu zaczęli się schodzić ludzie z gromady. Stękali, siadając, i podawali niezdarnie dłoń staremu, który się uśmiechał nieznacznie. Zaczęła się narada.

Kobuz tymczasem szedł niedbałym krokiem między barakami, domyślając się raczej, niż widząc drogę. Zobaczywszy jakieś mizerne światło, skierował się ostrożnie w tę stronę, mruknąwszy z zadowoleniem, jakby znalazł to, czego szukał. Była to „venda“ t. zw. „fornecedora“ — kupca zakontraktowanego przez Dyrekcję, który dostarczał przybyszom produktów — na kwity, wobec tego, że mieli przez rok być aprowidowani przez Zarząd Kolonizacji.

Wejściem swojem zdziwił wszystkich, byli tam bowiem prawie wyłącznie mulaci czy mulatometysi, słowem, miejscowi. Odwrócili się ku niemu pytająco z tem rozbawieniem, jakie ma zawsze tuziemiec wobec tak odmiennego, a więc zabawnego cudzoziemca. Kiedy jednak uśmiechnął się z pewnością siebie, spokojnie dotknął ręką kapelusza i rzucił pozdrowienie w ich własnym języku, odpowiedzieli mu już zupełnie poważnie i z tą grzecznością, tak znamienną dla rasy łacińskiej, a nawet jej synów nieprawego łoża.

— Boa noite! Boa noite!

Z kąta podniósł się natychmiast José i podszedł do Kobuza.

— Jak zdrowie — pytał, ilustrując gestami

pytanie, na wypadek, gdyby cudzoziemiec nie rozumiał.

Ku zdziwieniu jednak całego towarzystwa, które z zainteresowaniem obserwowało tę życzliwość „siniora sergento“ do obcego, ten odpowiedział wyraźnie, choć jakby z pewnym trudem:

— Obrigado. Melior.

I, zmrużywszy oczy, czekał wrażenia.

Nastąpiły natychmiast superlatywne komplementy o wybitnej inteligencji cudzoziemca i tysiące pytań, na które zresztą można było nie odpowiadać, wobec tego, że jedne usuwały w cień drugie. José, który stanowił arystokrację miejscową i szedł prawie zaraz po dyrektorze kolonji, z pięknemi gestami odgrywał rolę protektora w stosunku do Kobuza. Kiedy nieco uciszyło się, Kobuz począł żuć długo jakieś słowa, wreszcie powiedział twardym i obcym akcentem, ale z szelmowskim i zawadjackim akcentem:

— Vamos tomar um cachasinho, nao é?

Odpowiedzią na to był powszechny ryk radości, mulaci śmiali się i zaśmiewali, jak dzieci, bijąc pięściami w stół i tupiąc nogami. Nie mogli się długo uspokoić. Krzyczeli: „Muito bem!“ bez końca i mieli łzy w oczach ze śmiechu.

Tylko brudny Syryjczyk, który stał za ladą

i patrzył znudzonym, bezmyślnym wzrokiem przed siebie, nie znalazł się na wysokości chwili. Kiedy Kobuz zamówił dwie wódki, powiedział obojętnie, ale niechętnie:

— A pieniądze są? Bo „cachasu“ na kwity nie daję.

I tu Kobuz uczynił gest prawdziwego „walentona“. Niezbyt jasnemi słowami, ale dobitnym ruchem zaszachował nietaktownego Syryjczyka. Powiedział mniej więcej, że o ile mu nie wystarczy pieniędzy, sprzeda — „to“. I w tym momencie wyjął i wyciągnął nagle ku Syryjczykowi swój olbrzymi rewolwer. Doprawdy! to zapowiadało ciekawego kompana! Dostał też huczne brawo i wywołał radość, trwającą około kwadransa.

Po godzinie José i Kobuz byli już na „você“ i klepali się po łopatce z całej siły.

Całe towarzystwo rozbawiło się na dobre. Mężczyźni stawali się dziećmi a zarazem bardziej jeszcze mężczyznami: zapominali o swoich troskach i o tem, co ich krępowało. Byli wolni, wielcy, silni, bohaterscy.

— Dlaczego wy, cudzoziemcy, nie nosicie broni? — zapytał któryś Kobuza.

— Bo jesteśmy silniejsi! — wyrzucił przez kłęby dymu.

— Czyż?

Kobuz wstał i z wielką ochotą proponował próbowanie się na rękę. Stawiali łokcie na stole i przemagali się. Próbowali między sobą, próbowali z Kobuzem. Żółtawe białka oczu błyskały im strasznie i nadrabiali miną, która istotnie była groźna. Kobuz zaś kpił radośnie i przyjacielsko. Napinał nieco mięsień i kładł osłabłe ramiona płasko na stół. Potem pokazał im jeszcze sposób zmagania się „na nogę“, w czem też został zwycięzcą.

Śmiał się z ożywieniem i zachęcał nowe ofiary, mimo, że czuł, iż słabnie, że ciało jego jeszcze nie doszło do swych sił, a trzyma go tylko sztuczne podniecenie „cachasu“. Ale nikt już nie reflektował, pozostał bowiem tylko José, a ten nie chciał narażać swego autorytetu na szwank. Wyszedł z tego zręcznym manewrem, chwaląc się Kobuzem, jak swoim wynalazkiem:

— A co? Dzielny? Patrzcie, jaki to chłop!

Za chwilę zapomnieli już o mocowaniach i zaczęli z dziecinną powagą oglądać wzajemnie swoją broń. Próbowano, mierzono do ściany i głaskano przeróżne rewolwery lub pistolety. Smith Kobuza zrobił też swoje wrażenie: po wyjęciu kul próbowano jego działania i z nabożeństwem zwró-

cono go wreszcie właścicielowi, który zazdrośnie wodził oczami za każdorazowym widzem, a wkońcu z pośpiechem schował go do futerału.

Rozpierała ich ochota dokonania czegoś głośnego, użycia tych kuszących możliwością i siłą narzędzi.

— Viva! — wrzeszczeli — Viva Polaco!

— Viva o Bresil! — huczał z głębi piersi w odpowiedzi.

Ktoś pierwszy trzasnął w niebo, przez otwarte okno, ze swego pistoletu. Za nim posypały się inne strzały. Nabijali gorączkowo i walili teraz raz po raz, jak w ogniu prawdziwej walki.

Naraz w drzwiach pojawiło się kilka sylwetek:

— O que é? — Co takiego? Co się stało? — pytały przerażone głosy.

Kobuz poznał, jak przez mgłę, twarz Walerka Szuka i Weroniki, gdzieś plątało się i kilku innych. Wydawało mu się nawet, że Weronka jest zapłakana.

Mulaci śmiali się z całego gardła, radosnym pijackim śmiechem, a on zwrócił się w stronę, gdzie mignęła mu twarz dziewczyny, i krzyknął:

— Uciekaj, dziewczyno, bo tu się chłopy bawią!

Grupka widzów rozeszła się szybko, widząc, że nic niebezpiecznego się nie dzieje, a w chaosie łatwo można oberwać niewinnie.

A oni szaleli dalej, szukając, coby tu można jeszcze dokonać, ale tutaj, zaraz, na miejscu. Wreszcie pobili nieco grubych, małych szklaneczek do „cachasu“ i płacili z pańską miną Syryjczykowi.

Do domu popowracali dopiero nad ranem.

Na drugi dzień w rodzinie Szuka krzywili się wszyscy, że Kobuz pił z „czarnymi“, nawet Walerek — oprócz starego. Ten uśmiechnął się tylko z dziwną pobłażliwością.

Nie zrobiło nawet na nim wrażenia zjadliwe powiedzenie żony Walerego na temat podejrzanego pochodzenia tych przepijanych pieniędzy. Co dziwniejsze, nie odpowiedział też nic na to Kobuz, choć w pierwszej chwili poruszył się gwałtownie. Wszyscy czekali przez chwilę i patrzyli na niego z niepokojem, ale skończyło się — jak to często u niego bywało – tylko na pewnym siebie uśmiechu i silniejszem gwizdaniu. Walerka snuła się po kątach z czerwonemi oczami i milczała.

Messel natomiast chodził cały dzień między barakami i przystawał to z tym, to z owym. Grup-

ki powstawały i rozpadały się żywo, jak to zwykle bywa w ważnych momentach, kiedy masa ludzka robi się „lepka“ społecznie. Grupy te gestykulowały żywo, albo nagle zapadały w bezruch i stały z pochylonemi głowami, słuchając Messla. Było to nieco dziwne, wobec tego, że już wczoraj uradzono prawie ostatecznie nie pójść na roboty, aż będzie ustalony oficjalnie termin wymierzania „lotów“.

Ale to duże zwierzę, jakiem jest gromada, ma swoje kaprysy zupełnie nieprzewidziane. Przy jej masie jest to zabawne, o ile nie jest groźne. Wygląda bowiem często, jak słoń, który się znarowił i bryka, ale w swoich podrygach może rozdeptać człowieka, nie mówiąc już o tem, że może wpaść w istotny szał.

A potem — trzeba doprawdy pamiętać o tem rozdrażnieniu, w jakiem pozostawali wszyscy ci przybysze: za bardzo im chwalono to wszystko, żeby nie nastąpiło rozgoryczenie, nawet gdyby zima była ładniejsza i ziemie natychmiast wymierzone. Wszystko było inne, niż w Starym Kraju, niż w ich kraju, — a więc — złe. Ludzie, dla których chleb był tak istotnem pożywieniem, którzy wspominali go codziennie przy modlitwie, dla których był on nietylko jadłem, ale postacią Naj-

świętszego Sakramentu ich wiary — tu nie mogli go dostać. Pogodzić się jeszcze można było z ustawicznie podawaną czarną fasolą — „fiżonem“, ale połykanie suchej i sypkiej „fariny“ mandjokowej było dla nich poprostu torturą. Nie mówiąc już o tem, że mięso znali teraz tylko pod postacią suszonej na słońcu „szarki“, przypominającej coś pośredniego między gumą a rozgotowanym rogiem.

Rozdrażnienie było więc silne. A rozdrażnienie niekoniecznie jest obroną przeciwko danemu zjawisku: może to być nabój, który można skierować byle gdzie, jak kulę z lufy, której jest zaiste wszystko jedno, gdzie ją wystrzelą. Psychologowie, którzy naogół nie mają przesadnej ambicji zastosowywania swej pięknej nauki do naszego skromnego życia — wyjątkowo opisali to zjawisko i nazwali je irradjacją uczuć.

Ucieszyłoby to bardzo Messla, gdyby znał ten mądry wyraz; on to bowiem szedł tegoż wieczora do baraku starego Szuka na czele sporej gromadki mężczyzn, która niezachęcająco, milcząc, obsiadła ławki i skrzynie.

Początek rozmowy był oczywiście bardzo polityczny i daleki od jądra sprawy. Było tam i zdziwione współczucie na temat szybkiego wyzdro-

wienia Kobuza i poprzednich przejść, które zapewne musiały być wyczerpujące; było i napomknienie o nieufności tutejszych ludzi do gromady, na co mogły się złożyć różne przyczyny; wspomniano wreszcie o tem, że opór władz w wymierzaniu „lotów“ może właśnie wynikać z tego powodu.

To był strzał istotnie najsilniejszy i musiał dobrze weżreć się w mózgi gromady, kiedy przyszli tak śmiało, jak na jaką „sprawę“. Szuk chrząknął i wyprostował się Przyjrzawszy się twarzy Messla, który głównie perorował, zrozumiał naraz, że pocisk nie jest wymierzony w Kobuza, lecz właśnie w niego, w starego samca, idącego na czele stada. Już chciał stary zabrać głos w swojej i jego obronie, gdy poruszył się sam Kobuz. Zaczął zbierać niejako swoje słabe jeszcze i wiotkie członki, aż usiadł na tapczanie dziwnie łatwym i miękkim ruchem, ruchem dzikiego zwierzęcia, tak niepodobnym do określonych i zubożałych ruchów człowieka cywilizowanego. Obrócono się do niego ćwierćobrotem, czekając na obronę, która zgóry nie miała znaleźć wiary.

Kobuz siedział w cieniu, poza obrębem ogniska, i nie można było rozróżnić jego twarzy; dziwne było tylko, że nie słychać było z jego strony ani

gwizdania, ani najmniejszego chrząknięcia. Jakby mu się zacięły szczęki.

Messel wysunął się naprzód i świecił swoją tępą kwadratową twarzą w samem świetle ognia. Miał ten niewyraźny uśmiech, który plącze się zwykle w przerwach między zdecydowanemi wyrazami twarzy, jak błazen w cyrku, podczas antraktów.

I naraz z ciemnego kąta rzuciła się wprost przez powietrze ciemna masa, i Messel, porwany przez nią, zniknął ze swego prezydjalnego miejsca w kole. Pod którąś z ław rozległy się przyduszone chrapania i zduszone okrzyki, a zanim gromada się porwała z miejsc, Messel leciał w niesłychanym pędzie, tyłem, ku drzwiom baraku, w które stuknął głową krótkiem, suchem uderzeniem. Gdy wstał — nie próbował nawet robić dobrej miny, ale wyszedł natychmiast — zataczając się — na dwór.

Kilku ludzi porwało się, aby unieruchomić Kobuza, ale on już stał spokojny, tylko rękę podejrzanie trzymał ztyłu pod kurtką. W tej chwili zakaszlał się i podczas kaszlu machał ręką, żeby byli spokojni, czy żeby zostali. Taki jakiś porozumiewawczy gest. Zatrzymali się, ale przewracało się w nich wszystko, i patrzyli na Szuka,

który istotnie siedział nachmurzony i srogo patrzył.

Naraz — ku ogólnemu zdziwieniu — zaczął mówić Kobuz, z tego miejsca, gdzie stał — na środku baraku, przeciwstawiony całej gromadzie. Głos miał chrypiący, a oczy przekrwione od kaszlu:

— Żadnego wy tu nade mną prawa, psia!... ni kto inny. Dlatego — wolny jest kraj. Jak mi się zechce — to pójdę, ale nie ze strachu. A tłumaczył się nie będę, choćbym miał z czego. A czy mam — to moja sprawa. Jak mi kto jeszcze...

Dyszał ciężko między jednem a drugiem zdaniem i wyrzucał je z taką dziką pasją, że się zdumieli: djabeł siedział w tym człowieku!

Potem nagle odwrócił się obronnie ku drzwiom: usłyszał to, czego oni jeszcze nie słyszeli — kroki kilku ludzi. Drzwi się otworzyły i wszedł José, André, dwóch żołnierzy i za nimi Messel.

Kobuz zwolna cofał się ku ścianie, uważnie obserwując ruchy nowoprzybyłych, ale uspokoił się, zobaczywszy uśmiechnięte miny.

Messel pokazywał go palcem, szepleniąc nieudolnie po portugalsku:

— Elle... elle... bandita!...

José odsunął delikatnie jego rękę, którą wskazywał na Kobuza, i powiedział z przyjacielską wymówką:

— Ależ, sinjor, nie można obrażać kogoś w ten sposób!

Potem zasiedli wszyscy na ławach, José najbliżej ognia, w centralnem miejscu. Po chwili José rozejrzał się po audytorjum i podniósł teatralnie rękę.

— Panowie — rzekł. — Ja jestem tylko zwyczajnym sierżantem federalnego wojska i oczywiście nie potrafię wyrazić moich myśli tak pięknie i dobitnie, jakbym tego pragnął...

Gromada słuchała pilnie, choć rozumieli tylko oderwane pojedyńcze wyrazy, żołnierze zaś — pociągnięci narodowem zamiłowaniem do wszelkiej pompy, gestu i przemów — zwrócili się cali do mówcy. W momencie, kiedy zawiesił głos, zaprotestowali grzecznie przeciwko jego skromności:

— Nie godzimy się! O, skromniś!

José zrobił półukłon w ich stronę i ciągnął dalej, wzruszając się sztucznie, według ceremonjału uznanego przez obyczaj. Głos drgał mu coraz bardziej tragicznie i jakby nieco płaczliwie:

— Tak, nie potrafię wyrazić swych myśli dostatecznie dobitnie, ale jestem pewien, że moi słuchacze — którzy są tak subtelni, tak inteligentni, tak dystyngowani — dopowiedzą sobie w duszy to wszystko, czego będzie brakować w mojej mowie.

— Bardzo dobrze — mruknęli żołnierze i André, znowu według ceremonjału.

— Rozumiem doskonale, panowie — ciągnął rozgrzany José — jak ciężko jest opuszczać swoją ziemię rodzinną, ziemię, która nas wykarmiła swą piersią, jak matka. Ale zważcie, że przybywacie do wielkiej, sławnej ziemi, do wolnej, szlachetnej, gościnnej Brazylji!...

Te nieco banalne a patetyczne zdania brzmiały w języku romańskim jakimś majestatycznym oddźwiękiem starej mowy łacińskiej i zachwycały zarówno słuchaczy, jak samego mówcę. Mówił jeszcze dość długo, modulując przesadnie głos, a kiedy skończył — zrobił okrągły gest w stronę Andrégo i poprosił o przetłumaczenie.

Nieco skonfundowany André zaczął wykładać swoją dziwaczną i mieszaną gwarą główny sens mowy Joségo:

— Chodzi o to, że niby tu, w „interjorze“

i wogóle w Brazylji, jest „liberdade“, i każdy musi sam dbać o swoją „honrę“ i „sua propriedade“. „Um verdadeiro homem“ nie woła zaraz „soccoro“, jak go kto zaczepi, bo od tego ma „fakon“ albo „picapau“. A potem on powiada, że taki „distincto i fino cavalheiro“ nie mógł bez powodu napaść na Messla. I że tylko tchórzliwy „sujeito“ może lecieć po „autoridades“, jak go kto „offendeu“.

Brazyljanie kiwali głowami, kiedy usłyszeli zrozumiały dla siebie wyraz, kiwali też głowami, ale w pewnem pomieszaniu i niepokoju — przybysze. To była pierwsza wyraźna nauka nowego kodeksu, którą usłyszeli i — przeraziła ich ona nieco.

Messel stał z krzywym uśmiechem przy drzwiach, a Kobuz niedaleko, pod ścianą, siedział z bladą twarzą. Wtem wstał stary Szuk powolnym, ciężkim ruchem i powiedział:

— Uczą nas, żebyśmy sobie każdy po swojemu sprawiedliwość robili. To ma być nowe prawo dla nas. A ja wam powiem, że u nas jest stare prawo, co nas w kościele uczyli: „I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy...“

Wyprostowali się mężczyźni i dziwnie poczęli ruszać wąsami.

— Ty, Kobuz — powiedział surowo Szuk — nie miałeś prawa bić człowieka i, chcesz być z nami, to się ich obyczajów nie ucz. A pan, panie Messel, też do sądzenia się nie rwij. A tera wam mówię — nie chcecie, żeby się z nas śmieli, że do swoich kłótni cudzych wołamy, to sobie podajcie ręce, po chrześcijańsku, bośmy tu w obcym kraju, i jak nie ten Bóg nad nami — to nikt!

Kobuz wstał pierwszy i wyciągnął otwartą rękę. Podał i Messel swoją. Podobało się to zdziwionym Brazyljanom i wołali: „Muito bem!" A gromada milczała, bo nie mieli ci ludzie tej łatwości słowa do wypowiedzenia tego, co ich za grdykę trzymało.

Padło jednak między tuziemców a przybyszów coś obcego i — sami nie wiedząc dlaczego — poczęli się rozchodzić. Kiedy wszyscy wyszli, do starego podszedł Kobuz i rzekł z trudem:

— Żebyście nie myśleli czego tam — to wam powiem. To po krewnych. Żółta Śmierć ich zabrała. A ja ledwie doszedł. Aż od Stanu św. Ducha. Od miasta Wiktorja. A złością ze mną nic. Ja już tak.

— Twoja rzecz — powiedział spokojnie Szuk. — Ale z gromadą takiemu trudno.

Po tej awanturze Kobuz wpadł znowu na jakiś czas w nieruchomość zupełną. Potrafił leżeć godzinami na tapczanie lub siedzieć na progu, monotonnie świszcząc przez zęby. Jeżeli robili coś inni — robił i on, i tak samo powoli i ciężko, jak inni. Dopiero jakaś niewiadoma iskra zapalała w nim wszystko: wówczas strzelał, jak rakieta. Było to u niego, jak przerwy pomiędzy wojnami czy łowami u mężczyzn okresu jaskiniowego. Pozwalał, żeby kobiety kręciły się przy ciągłej robocie, a nawet, żeby Weronka przynosiła mu misę aż na wyrko, niby, że jeszcze słaby.

Dopiero znacznie później przypominali sobie uczestnicy tych ciężkich dni dziwne zachowanie się Messla po tych wypadkach. Prawda, że grupki, do których zbliżał się teraz Messel — same topniały powoli, że nawet któryś (bodaj czy nie Watras) powiedział mu chytro-skromnie: „Gdzie tam nam zrozumieć takie mądrości!“, czy coś takiego; faktem jednak jest, że Messel w tych dniach wszedł na swoją drogę, i może wtedy decydowało się, że miał odgrywać w kolonji tę rolę, którą w następstwie odgrywał.

Widziano go kilka razy idącego w stronę domku Dyrekcji, ale José machał niechętnie i lekceważąco ręką, gdy było o niego pytać. Potem stale

przesiadywał u Syryjczyka — „wendziarza“, i coś deliberowali.

Zresztą było za dużo innych spraw, bliskich, palących. Szuk stał znowu na czele swojej gromady, w sprawie owej pracy przy kolei. Rzucił on hasło: „Na swoją ziemię!“ — i nie słuchał perswazji. Za nim — ponuro i z uporem powtarzała to hasło cała gromada. Bez znajomości języka i prawa, bez znajomości terenu i warunków pracy — dawali sobie radę, pierwotnym instynktem dążąc do właściwego sobie podłoża: kawałka własnej ziemi. Bronili się — a zwłaszcza Szuk — kilkoma poznanemi już wyrazami, domyślając się, gdzie było potrzeba, a nie rozumiejąc nic zgoła, kiedy to im było wygodniej. Wysłuchiwali cierpliwie kwiecistych przemów po portugalsku i niemiecku, oraz dowolnych nieco tłumaczeń Andrégo, a potem wracali do swego, jakby nic nie było mówione.

Zżymali się i dyrektor Reich, i jego pisarz, kędzierzawy młodzieniec, z zielonym krawatem, ale nie mogli przekonać gromady.

A ona w walce tej nabrała pewności siebie i spoiła się jeszcze bardziej.

Kobuz też został objęty wspólnym pniem, jak

gwóźdź wbity w drzewo i oblany żywicą, a potem obrośnięty miazgą.

Trwało to. Chodzili do „fornecedora“, brali produkty na kwity, zbierali się wieczorami i radzili. A było o czem, wszystko było tak bardzo nowe i inne, że trzeba było mieć twardy, trzeźwy rozum, żeby się nie pomieszał. Już niejeden osadnik, który z tej szkoły wyszedł, sam nie pamięta, jak to trzeba było do wszystkiego nałamywać głowę i język, żeby się nie zgubić. Bo już nawet nie o to chodziło, że księżyc wschodził na niebie do góry rogami i że kościoła nie było, aleć wydawało się gromadzie, jakby samego Boga nie było w tej ziemi, a jeśli był — to czy czasem... nie inny? A potem nieznane choroby różne i owadów dokuczliwych taka moc, że prawie wydawało się, iż na każdy rodzaj dokuczenia — jest wymyślony inny gatunek. A jeszcze śmieli się tutejsi, że to nic, boć zima i nie w lesie, ale co jeszcze będzie!... Tak, że strach chwytał nieraz przed tą „swoją“ ziemią. Nie wszyscy też wytrzymali: wiadomo jest, że była (niewielka coprawda) gromadka, co piechotą poszła zpowrotem do portu.

Tak byli zmęczeni tem wszystkiem, że chcieli się jąć jakiegokolwiek zajęcia, aby uwolnić głowy

od nadmiaru myśli. To ułatwiło pertraktacje. Zwłaszcza, że i dyrektor Reich ustąpił: pomiary miały być przyśpieszone, wysłani delegaci do obejrzenia ziemi, sprowadzone narzędzia i nasiona. Postanowiła więc i gromada ruszyć do pracy przy owej kolei. „Tymczasem“.

A już od pewnego czasu gromadzili się robotnicy tutejsi do tej pracy. Zetknęła się z nimi gromada na dobre dopiero, kiedy rozpoczęto samą pracę, bo baraki ich były osobno zgrupowane. Zetknęła się i — cofnęła nieufnie.

Bo też owe dwa szeregi ludzi, które wyciągnęły się wzdłuż wytyczonego toru, stanowiły mocno oryginalną mieszaninę i bynajmniej nie budziły zaufania. Oprócz przybyszów z za oceanu, wśród których było kilka narodowości — byli tam murzyni z północnych stanów, mulaci i metysi. Słychać było w tej zbieraninie wszystkie języki świata, a raczej wszystkie przekleństwa świata. I tu trzeba podnieść, że najmniej używali tej formy stylistycznej sami gospodarze, bez względu na kolor. „Nędznik“ było najsilniejszem i prawie jedynem przekleństwem, istniejącem w ich języku. Kiedy zaś — w wyjątkowych wypadkach — użył ktoś obelgi (w każdym zdaje się języku istniejącej), podającej w wątpliwość legal-

ność pochodzenia swego przeciwnika — wiadomo było, że sprawa nie skończy się na „sucho“.

Drugiego zaraz dnia po rozpoczęciu robót rozniosło się, że w „vendzie“ zabito człowieka. Zresztą opowiadano to, jako zwykłą, choć dość ciekawą wiadomość. Zabity obraził zabójcę, a to jest więcej, niż gdyby go obrabował. Wynikło to zdaje się na tle wiecznej animozji Hiszpanów i Portugalczyków, którzy się serdecznie nie lubią, jak to zwykle bywa w bliskiej rodzinie. Inni mówili, że nie był to Hiszpan, lecz kreol-Argentyńczyk, co ostatecznie na jedno wychodzi, bo sąsiedzi w Europie sąsiadują i w tej odległej części świata. I podobnie się nie znoszą.

Zresztą tematów do bójek było sporo w tem towarzystwie: niektórzy burzyli się (a specjalnie Hiszpanie), że muszą pracować pod nadzorem mulatów; inni zbyt łatwo obrażali się o każdą wogóle uwagę, czy żart; często bardzo wynikały nieporozumienia na tle hazardu, któremu się namiętnie oddawano pod różnemi postaciami, a wreszcie palnym materjałem było to, że w jakiś dziwny sposób obrachunki Dyrekcji nigdy nie zgadzały się z pretensjami robotników.

Zwady wynikłe na tle honoru likwidowano przeważnie bronią palną, natomiast niskie mor-

derstwa z chęci zysku popełniano cicho — nożem, którego rzadko kto nie miał za pasem, choćby nawet nie miał chodaków.

W roli karzącej sprawiedliwości — o ile już konieczna była interwencja, lub narażone były na szwank interesy Kolonizacji — występował ogromny murzyn, Virgilio, osobisty „capanga“ dyrektora Reicha.

Gromada Szuka trzymała się razem i milczała, odurzona nieco rozhukaniem i bezkarnością całej tej zbieraniny. Praca posuwała się u nich równomiernie, zwad nie było. Ta pracowitość i brak uzbrojenia wywoływały czasem złośliwe aluzje pod ich adresem, obliczone jednak na to, że nie będą zrozumiane. Virgilio, który bezczynnie spacerował między pracującymi, zaczął od pewnego czasu brać udział w tej zabawie, a ponieważ można było przypuszczać, że reprezentuje opinje „sfer miarodajnych“ — wybuchy śmiechu były tem głośniejsze i swobodniejsze. Któregoś dnia Virgilio stał, jak zwykle, wpobliżu spokojnej gromady i gotował się do puszczenia jakiegoś subtelnego dowcipu, kiedy z domku Dyrekcji wyszedł sam dyrektor. Widząc scenę, zatrzymał się i z aprobatywnym uśmiechem oczekiwał pocisku.

— Panowie! — z przesadnym celowo pato-

sem wołał Virgilio. — Jakie zwierzę pracuje tak wytrwale, jak żaden człowiek tego nie zrobi? A zarazem jest milczące, głupie i bez dowcipu?

— Burro! Burro! — Osioł! — wykrzyknęło kilka głosów.

Gromada Szuka wiedziała już, że przezwisko to rzucają za nimi, to też nasrożyła się i ścisnęła silniej w ręku łopaty. Ale stary Szuk powiedział im przecie kiedyś:

— Wiadomo. Taki przybłęda jeden z drugim dziś tu — jutro tam, i tyleś go widział. A ciebie, człowieku, łatwo znaleźć, bo na swojej ziemi będziesz siedział. I sprawiedliwości u nich jednego na drugiego też nie znajdziesz.

— Słusznie, panowie — mówił dalej Virgilio. — Osioł! — A czy osioł jest to animal „bravo", czy „mançado"?

— Mançado!

— A czy osioł zawsze musi mieć ogon?

— Niekoniecznie! Niekoniecznie! — wołali znowu z tłumu i, przestawszy pracować, skupiali się przy dowcipnisiu.

— Otóż mylicie się, panowie! — uroczyście zawołał murzyn. — Każdy, nawet najstarszy, osioł ma ogon. Chcecie — to wam pokażę?

Tu zrobił kilka kroków w stronę starego Szuka, który schylony — kopał niedaleko, i pociągnął go za rzemień, który mu wyglądał ztyłu, z pod kurtki. Tłum wybuchnął śmiechem.

Ale już w następnej chwili rozegrały się wypadki tak szybko, że nikt nie zdołał im zapobiec. Nikt ich zresztą nie oczekiwał. Stary Szuk odwrócił się szybko i łopatą, pełną jeszcze ziemi, z ogromnego rozmachu trzepnął głucho w twarz Virgilia. Uderzenie napozór nie było silne, ale po wahnięciu się głowy murzyna można było ocenić jego istotne natężenie. Ale i to nie tłumaczyło jeszcze dziwnych rzeczy, które wyrabiał Virgilio: piał on jakimś dziwnym świszczącym głosem i machał rękami, jak człowiek tonący. Był to skutek ziemi, która zatkała mu otwarte usta i, mimo że nie było to wcale wesołe dla delinkwenta — zmiennemu tłumowi wydało się to niesłychanie komiczne. Objawiali to w niepohamowany sposób, przysiadając i bijąc się po udach. Virgilio usiadł i, piejąc w dalszym ciągu, szukał poomacku swojej brzytwy, którą władał z niesłychaną zręcznością, a nawet pono umiał rzucać tak, że trafiała wprost w gardło przeciwnika. Tym razem jednak był istotnie unieszkodliwiony.

Natomiast — ku niejakiemu zdziwieniu wszystkich — porwał się z miejsca dyrektor Reich i z jakimś gardłowym okrzykiem wyrywał z za pasa rewolwer. Nie zdołał go jednak użyć. Prawda, że sam Szuk i gromada — nawykiem posłuszeństwa wszelkiej władzy — cofnęli się przed nim, ale stał tam blisko Kobuz. Wówczas zaobserwowali ci z gromady, którzy umieli patrzeć, dziwne przemiany, jakie zachodziły w nim, w takich wypadkach. Budził się on wtedy ze swojej miękkiej, pozornej apatji i nagle rzucał się tak szybko, jak tego jeszcze przed chwilą nie można było przewidzieć. Zdawało się, że należał poprostu do rodziny kotów.

W tej chwili, kiedy dyrektor Reich wyciągał swój rewolwer — Kobuz bez okrzyku schwycił go za rękę, i tak znieruchomieli. Zdawało się, że właściwie nic się między nimi nie dzieje, ale ci, którzy widzieli wówczas ich twarze, rozumieli dobrze, jaka praca mięśni odbywa się w tym momencie. A niektórzy może domyślali się, że powstaje w tej chwili dwóch śmiertelnych wrogów. Dyrektor Reich był rosłym, rudym, dobrze odżywionym typem swego narodu, i dziwnem się wydawało, że chudy, niewysoki przeciwnik mógł go tak unieruchomić. Ba! — nietylko to: po chwili

Reichowi wydarł się jakiś cichy, ale przejmujący jęk, a potem szept: „Puść...“

Wówczas Kobuz odstąpił i założył ręce wtył pod kurtkę. Dyrektor Reich patrzył przez chwilę bez słowa na krztuszącego się teraz Virgilia, na zaciekawiony tłum, wreszcie na Kobuza, aż znalazł wyjście z sytuacji: wyciągnął rękę do Kobuza i rzekł:

— Obrigado. — Dziękuję panu. Uniosłem się i zapomniałem, że wy jesteście wszyscy nieuzbrojeni, jak kobiety. Mogłoby być nieszczęście. Dziękuję.

— De nada! — niema za co! — rzucił za nim kpiąco Kobuz, wywołując tu i ówdzie wesołe prychnięcia.

Virgilio odkaszlał wreszcie cały nabój ziemi i, świecąc żółtemi gałkami oczu, poszedł za dyrektorem.

Wtedy w tłum, otaczający Kobuza i Szuka, wcisnął się José i szepnął:

— „On“ nie przebaczy tego nigdy!

Kobuz wsadził ręce do kieszeni i ruszył ramionami. Po chwili zagwizdał obojętnie i zbierał się do odejścia. Wpadł już na nowo w swoją niedbałą miękkość.

Wówczas ktoś z tłumu, naśladując głos Vir-

gilia, zapytał, parafrazując jego dowcip, a pokazując Kobuza:

— Elle está bravo ou mançado?

— Bravo! Bravo! — odkrzyknął tłum, wśród którego było sporo takich, którzy nie mieli powodu czuć specjalnej miłości do „capangi“ dyrektora.

Niektórzy twierdzą, że stąd poszło przezwisko Kobuza, pod którem potem zasłynął: „Chico Bravo“ — Franek Gniewny. Zdaje się jednak, że nazwisko to otrzymał on znacznie później, w okresie, kiedy stał się prawdziwym „valentao“ — zabijaką gościńców i „vend“.

Z obowiązku kronikarskiego należy tu dodać, że w następnych dniach milczący Syryjczyk zarobił na gromadzie spore pieniądze ze sprzedaży ogromnych „fakonów“, używanych do cięcia drogi w lesie i — głów w zwadzie. Zjawiło się też kilka dwururkowych pistoletów z rękojeściami, nabijanemi gwoździami, tak zwanych „picapau“, których teraz widzi się już coraz mniej.

. . . .

Wybrano ostatecznie tylko trzech delegatów, choć z początku zdawało się, że pojedzie cała gromada. Wczesnym rankiem, który jednak na-

tychmiast robił się już dniem, bez długich przejść, właściwych sferom umiarkowanym — mała gromadka konnych ruszyła z Czarnej Rzeki w „interjor“ jeszcze głębszy.

Przeprawili się przez rzekę i zaraz za nią skręcili na lewo wgórę, ścieżką wcinającą się w niezbyt jeszcze gęsty „fachinal“ — lasek, w którym gdzie niegdzie prześwitywała trawa.

José, harcując na swoim kapryśnym mule, podjeżdżał coraz do Messla, który dziwnie zmalał i przywarł do grzbietu swojej chabetki. José był w radosnym, podnieconym nastroju i musiał gadać, przesadzać, zachwycać się, drwić i przestraszać. Skrupiało się to na Messlu, któremu José opowiadał jakieś niesłychane dziwy i powtarzał ze zgrozą w oczach:

— O, tam w lesie jest bardzo niebezpiecznie! O, w lesie...

Ów las — „matto“ powtarzał się ciągle w jego okrzykach i uwagach, rzec można, zapanował nad całą grupą. Zwłaszcza, że dwóch żołnierzy Joségo powtarzało za każdym razem:

— E! — Tak jest!

Kobuz prawie nie słuchał, co się gadało. Poprawiał się coraz na siodle, stawał w strzemionach i wpijał się oczami w zarośla, to znów kładł rękę

na zadzie końskim i oglądał się na przebytą drogę. Macał się też coraz po rewolwerze i nożu i uśmiechał się dziecinnie. Nie mówił jednak nic: spotykali się tu z poważnym przeciwnikiem, którego trzeba było dobrze ocenić.

Tunel zielony, którym jechali, stawał się coraz gęstszy, i wreszcie z obu stron coraz węższej drogi biegły już tylko dwie jednolite zielone ściany, sprężyste i gęste, jak materac. Na południe zatrzymali się wprost na drodze i wówczas dopiero spojrzeli wgórę; ponad gęstwą drobnych zarośli, trzciny — „taquary“ i skręconych szarych gałęzi wybijały się tu i ówdzie wysokie, tęgie pnie drzew.

Pnie te były szare, jakby oblazłe ze skóry i spopielone. Stały nieruchomo, nie poddając się z powodu twardości swego pnia powiewom wiatru. Nie było w tym lesie muzyki szumu, ani kołysania korony. Obco było i wrogo. Jak musieli się czuć przybysze, kiedy sam José przycichł nieco i szepnął z dziwnym grymasem:

— Inferno verde! — Zielone piekło!

Rozsiodłano muły i konie, przywiązując każdemu z nich osobny dzwonek, ponieważ nie znały się jeszcze, i trudno było się spodziewać, że będą się trzymać jako „madrinhi“ starej klaczy, na której jechał Messel. Zaczęła trzeszczeć i strzelać

w ogniu wyschła „taquara“, potem ktoś dorzucił kilka sęków pinjora, lepszych niż węgiel, i ognisko paliło się całym żarem.

Oczywiście — „fiżon“, trochę ryżu, a potem niezbędny „chimarão“ — herbata miejscowa.

Jest to moment, który specjalnie usposabia do filozofowania, i José, pociągając wściekle gorący, gorzki płyn przez metalową rurkę, miał okazję wypowiedzenia kilku doniosłych uwag:

— O matto nao é uma brincadeira! — Las to nie zabawka!

— E! — potwierdzili z przekonaniem głębokiem jego subalterni.

— Kto go nie zna — niech lepiej się nie zapuszcza!

— E mesmo! — Tak jest właśnie! — potwierdził chór.

Patrzyli na wąski pasek drogi, skąpo im wydzielony przez las, i otrząsali się nieprzyjemnym dreszczem. Przybysze milczeli. Szuk i Kobuz, bo nie mieli we zwyczaju zbyt wiele mówić, Messel — ponieważ czuł się dziwnie niepewnie w tem towarzystwie, a przytem i sama wyprawa — chociaż zrobił wszystko, co mógł, aby się na nią wybrać — wydawała mu się teraz nieco niebezpieczna.

Po obiedzie ruszyli dalej. Tunel nad nimi zamykał się coraz ściślej, i jechali prawie w zmroku. Zwłaszcza wielkie parasole pinjorów zakrywały im niebo i słońce. Czasem tylko z lewej lub prawej strony wypadała jakaś dolina, której drzewa nie dosięgały poziomu drogi. Wówczas trochę słońca dostawało się do nich, ale widok tego spoistego morza roślinnego, pokrywającego wszystkie pagórki aż do horyzontu — przerażał ich jeszcze bardziej. Milczeli. Dodawały im tylko otuchy parskania koni i mułów i takie błahe rzeczy, jak stukanie kociołka o siodło, lub skrzypienie skóry. Kobuz patrzył spokojnie, ale bardzo uważnie dokoła i gwizdał zupełnie cichutko.

W pewnem zwężeniu ścieżki spotkali się po raz pierwszy z żywem stworzeniem.

Messel, którego klacz wysforowała się w tem miejscu naprzód — drgnął nagle, poczuwszy silną rękę, która szarpnęła go ztyłu za ubranie. Obrócił się obronnie i zobaczył zszarzałą nagle twarz jednego z żołnierzy, który patrzył przed siebie, na drogę. Messel poszedł za jego wzrokiem, ale nic nie dojrzał, spojrzał więc pytająco. Inni też zatrzymali się, czekając wyjaśnienia.

— Ella! — Ona! — szepnął mulat.

— Kto?

— Bicho!

Ponieważ „bicho“ jest dla Brazyljanina równie dobrze moskit, jak pies, i znaczy owad, robak, czy zwierzę — trudno było się doprawdy domyślić, że chodzi tu o żmiję, której imienia lepiej nie wymawiać niepotrzebnie.

Nie odrazu ją jednak dojrzały nieprzyzwyczajone oczy przybyszów. Dopiero za chwilę wystąpiła nagle z tła, jak na rebusie obrazkowym. Leżała, zwinięta wielokrotnie dokoła samej siebie, tylko łeb jej i mała część szyi poruszały się zwolna, obserwując ludzi.

Jadący otrząsnęli się tym charakterystycznym dreszczem wstrętu i strachu, którego nie może powstrzymać najodważniejszy nawet mężczyzna przy spotkaniu ze żmiją.

Stali cicho. Z jednej strony kilku silnych, uzbrojonych ludzi, z drugiej — niewielki, żółtoszary gad. Żmija podniosła nieco przód ciała i poruszała nim powoli; niezależnie od tego poruszały się to te, to inne części jej długiego ciała.

Zastrzelił ją José, ze swego „picapau“, nabitego jakąś siekaniną, i był niezmiernie dumny z tego powodu. Wtedy dopiero rozwiązały się im języki, i poczęli lżyć poszarpanego gada.

— To „jararaca“! — pouczał José, porusza-

jąc ją patykiem. — Wystarczy jedno ukąszenie... O, patrzcie na ten pysk! A, szelma! Potem przez całą drogę nie mogli zmienić tematu rozmowy. Mówili o tem, że gdy przyjść po trzech dniach w to miejsce, gdzie kogoś ugryzła żmija — to zawsze się ją spotka. Że czasem zabicie żmii źle działa na leczenie się ran, przez nią zadanych. Że żmija, przepływając przez rzekę — zostawia jad na brzegu. Że są ludzie, którym ukąszenie nic nie może zrobić, bo znają takie zaklęcie — „oração forte“. Mówiło się też o cudownych wyleczeniach przez słynnych znachorów — „curandeiros“, nawet na odległość. I opowiadało się dziwną historję pary butów, w których utkwiły zęby żmii i od których umierał każdorazowy właściciel.

Potem znowu był las i nocleg, i znowu marsz, i znowu las... Delegaci wrócili z tej wyprawy z niejasnem pojęciem jakiejś dziwnej, wrogiej mocy, z którą mieli podjąć walkę. Nie umieli wiele powiedzieć gromadzie, która ich wysłała. Cóż? — ziemi prawie nie widać pod tym przeklętym lasem. Ani gdzie pójść, ani się rozejrzeć, bo wszędzie gąszcz i gąszcz. Pokazywali im niby, gdzie to ma być owa kolonja, mówili nawet, że jest tam blisko jakaś „fazenda“, w której ludzie mieszkają, ale nic z tego nie można było zrozumieć. Jedno

tylko było wiadomo: był las. I jeszcze to: że „las — to nie zabawka“. A zresztą — to już jak Bóg da.

Roznegliżowany dyrektor Reich mrużył oczy i patrzył przez szparki na figurkę Messla, który piąte przez dziesiąte wykładał swoją sprawę. Za nim, tuż przy drzwiach, siedział na skrzynce po towarach czarny Virgilio, z rękoma w kieszeniach, a przy ogniu — młodzian kędzierzawy, który pełnił funkcję sekretarza.

— Jeżeli chodzi o zobaczenie planu osady — to przecież nie jest nic zdrożnego! — oburzał się prawie Messel, któremu ciążyła ta cisza. — A zresztą, chodzi tu o interes całej gromady. Wszyscy są niezadowoleni i nie rozumieją, dlaczego Dyrekcja zwleka...

Nareszcie Otto Reich otworzył szerzej oczy i wydobył z siebie głos.

— Czy jest upoważniony? Czy on, Messel, przychodzi wyraźnie od gromady? Bo już raz zrobił zawód: nie ma wpływu. Wpływ mają bandyci, którzy robią awantury...

Messel się skręcił: niewygodne mu było postawienie sprawy w tak radykalny sposób. Oczywiście, nie zapiera się: ma pewien interes, który

może przynieść pożytek i dla dyrektora. Zresztą gromada istotnie jest zaniepokojona...

Dyrektor Reich patrzył przez jakiś czas wymownie na swego sekretarza, który wreszcie, choć z wyraźną niechęcią, podniósł się i powiedział uprzejmie:

— Przejdę się trochę do „vendy".

— Oczywiście, oczywiście — dobrodusznie potwierdził Reich — młodzież w tym wieku powinna znaleźć czas na wszystko i nie tkwić ciągle w sprawach zarobkowych. Powinniście zostawić to nam starszym, bo inaczej przemęczycie się.

Brzmiało to bardzo ostrzegawczo, i sekretarz wyszedł dość szybko. Nieoceniony „capanga" — Virgilio popatrzył przez uchylone drzwi, czy sekretarz rzeczywiście poszedł, i znowu siadł przy drzwiach.

Wtedy dyrektor wyjął plan kolonji.

— Więc? — sucho zapytał. Widać było, że nie ma bynajmniej zamiaru ułatwić swemu gościowi jego sprawy.

— Chodzi o działkę najbliższą Czarnej Rzeki — nieco gorączkowo mówił Messel i schylał się blisko nad planem. I mruczał dalej:

— Pan rozumie, panie dyrektorze... Dla „vendy" to ma znaczenie. A przecież w gruncie rze-

czy to wszystko jedno. W dodatku jestem gotów... he, he...

Idealny „capanga“ z jakichś nieuchwytnych oznak zrozumiał, że intruz może być uważany za gościa i kontrahenta, wziął się więc do przyrządzania „szimaronu“, bez którego nie może się obyć żadna sprawa.

W tym samym czasie Kobuz trwał w okresie lenistwa i tracił czas na popijanie z Josém „cachasu“, jak człowiek spokojny o miłość przywiązanej kochanki. A może zresztą nie dbał, czy Fortuna nie przejdzie obok niego? Po chwili wszedł sekretarz Dyrekcji i po chwilowem wahaniu zdecydował się pić razem. Ostatecznie „venda“ była taka pusta, że trudno mu mieć to za złe.

W ciągu następnych dni mężczyźni zaczęli się zbierać partjami na pierwsze wymierzone „loty“. Musieli oczyścić bodaj trochę miejsca na domy, które miały być postawione na koszt Kolonizacji.

Kędzierzawy młodzieniec, który był sekretarzem Reicha, miał pewne ambicje. Nie podobało mu się to mocno, gdy gdzieś blisko czuł interes i nie mógł się go dotknąć. Kręcił się więc ciągle, niepokojony nadzieją jakiegoś niesłychanie szczęśliwego zarobku, jakiejś bajecznej spekulacji. Kobuz, który nieźle znał portugalski, był najbardziej

wystawiony na konieczność wysłuchiwania nadziei i planów senhora Affonso, choć niezbyt wysilał się zresztą na uwagę. Kiedyś nawet zdecydował się Affonso zaprosić Kobuza na jeden kieliszeczek, aby zneutralizować jego niecierpliwość, i wykładał mu żarliwie, jak to ludzie się dorabiają.

— To był taki prosty agent! — mówił, kiwając żałośnie głową. — Rozumie pan, agent jakiegoś towarzystwa. To jedno kupno bydła zebu zrobiło z niego potentata finansowego. Bo zważ pan tylko: umówił się, że za bydło zapłaci, jeżeli 80% dowiezie na miejsce (myśląc o chorobach nibyto), następnie ubezpieczył samo bydło i ubezpieczył trzy okręty transportowe. Na swoje imię, oczywiście. Następnie zaś zatopił okręty razem z bydłem. Nieźle, co? — patrzył triumfująco. — Ale myślisz pan, że to wszystko? He, he, he!... Otóż każdemu bydlakowi przywiązał do zadu pęk trzciny bardzo lekkiej. Rozumie pan, aby? Zauważył szelma, że byk tonie zadem a głowę utrzymuje na powierzchni. Rozbicie było blisko brzegów, rozumie pan... Większość bydła dopłynęła i to bydło — Affonso badał, czy słuchacz jest dość podniecony — i to bydło... ma się rozumieć — sprzedał.

Kobuz mruczał coś niewyraźnie.

— I pomyśl pan — jęczał z podziwem sekretarz Reicha — pomyśl pan, ile razy zarobił on na tej jednej trzodzie? A wobec swojej firmy? — Proszę bardzo: czyż bydło nie zatonęło z okrętami? A pieniądze? — Zapłacone za bydło! Wchodzi tu w grę tak zwana „vis major“. Zresztą w firmie rozumiano, że ma już dość pieniędzy, żeby zapłacić proces. I to grubo zapłacić, mogę pana zapewnić. I zresztą — podobał się wszystkim ten kawał. Dzielny chłop!...

Senhor Affonso zwiesił głowę i rozłożył ręce:

— No, a tu — przyznaj pan — wśród emigrantów, w jaki sposób można zarobić? No, powiedz pan, powiedz — przysuwał się groźnie. — Ma pan jaki interes do zrobienia? Chce pan coś kupić? Coś sprzedać?

Kobuz ocknął się nagle i rzucił niedbale przed siebie:

— Si, mam coś na sprzedaż.

Sekretarz popatrzył wyraźnie i zaczął starannie trzeźwieć. Potem jednak coś postanowił, nie czując widocznie zaufania do siebie w danej chwili:

— Jutro z rana — powiedział. — Tylko na pewno.

W ten sposób powstała transakcja, którą długo przeklinał biedny Affonso, mimo że robił ją na trzeźwo i miał jak najpiękniejsze wzory życiowe. Dość powiedzieć, że nikt z emigrantów nie zdecydował się kupić od niego rzeczy nabytych od Kobuza. Były to stare ubrania, bielizna, pościel, nawet nieco naczyń — wszystko rzeczy zupełnie niezbędne. Dlaczego więc nie kupowano?

Wreszcie Affonso wprost zapytał Kobuza, czy te rzeczy nie są czasami zepsute przez „złe oko“. Długi czas czuł do Kobuza urazę kędzierzawy sekretarz, dopóki nowy obrót handlowy — równie nieudany — nie odwrócił jego niechęci w inną stronę. Oto milczący Syryjczyk kupił cały ten towar niesłychanie tanio i sprzedał jakiejś innej partji ze sporym zarobkiem.

Tymczasem jednak miał Kobuz przeciwko sobie całą „Dyrekcję“, od dyrektora Reicha do czarnego Virgillia włącznie. Za mało to wszystko — zdaje się — brał pod uwagę.

Podróż wypadła im po dwudniowym tylko deszczu, ale kto zna fantastyczny grunt dróg brazylijskich — ten wie, że mogły przez ten krótki czas wytworzyć się takie nieprzebyte błota, iż tylko konny człowiek mógł jechać jako tako.

Piekielna glinka czerwona tych dróg, która

podczas suszy przemienia się w nieuchwytny, miałki pył, wciskający się w każdy zakątek ubrania — przemienia się podczas deszczu w jedną gęstą masę, lepiącą się do nóg, kół i kopyt. Każdy następny krok jest cięższy od poprzedniego, bo unosi się ze sobą większą bryłę czerwonej masy.

Kto wie, czy spontaniczny pęd do miasta, który cechuje Brazyljanina, nie ma właśnie wytłumaczenia w tej obawie błota. Ucieczka z „interjoru“ do miasta — to przedewszystkiem ucieczka od błota — na suche kamienie. Nawet teraz, w wieku samochodów, zobaczycie nieraz na ulicach niektórych miast Brazylji, jak zabłocony i uwalany do ostatnich granic możliwości samochód, z łańcuchami na kołach, z parą dobywającą się z chłodnicy, radośnie wjeżdża na pierwsze kamienie bruku.

Widząc takiego umęczonego Forda lub Chevroleta, możecie być pewni, że jeszcze kilka godzin temu jego pasażerowie pracowali dobry kawał czasu nad uwolnieniem go z jakiejś djabelskiej dziury. Grzebali się koło niego, pod strugami deszczu, zbierali jakieś odłamki, gałęzie, kamienie i to wszystko pchali mu pod koła, aby raczył ruszyć się z miejsca i przestał wykopywać pod sobą coraz większe koleiny oblepionemi kołami.

A przyjrzyjcie się dobrze — zwłaszcza jeżeli to jest „Ford" — czy nie ma czasami zamiast przedniego resoru — pnia paproci drzewiastej, przywiązanej misternie sznurami, drutami i łańcuchami.

To się dzieje na drogach, które wykazane są na tutejszych mapach, jako „drogi samochodowe". Następne po nich w hierarchji są drogi kołowe, któremi niebardzo się można odważać jechać wozem, i wreszcie ścieżki, czyli t. zw. „tropy", któremi tylko konno, a i to niewszędzie, można przejechać. Droga z Czarnej Rzeki do nowej kolonji była raczej „tropą", niż czem innem; to też wozy osadników ciężką miały przeprawę. Zwłaszcza, że lekki wózek, który wprowadzili przybysze, na wzór używanych przez nich w Starym Kraju — zjawił się dopiero znacznie później.

Dobrze się stało, że jechali sami mężczyźni, a i to nie wszyscy: sami najzawziętsi. Droga miała tak nieprawdopodobnie głębokie doły i tak niewiarogodnie chytrze ukryte, że najlepszy woźnica musiał choć z raz wywrócić. Tak zatrzymując się, reparując, podnosząc, poprawiając drogę i moknąc, przybyli na miejsce.

„Na miejsce"!... — uśmiechali się tylko gorzko, mówiąc to. Były to takie same roztopy, takie

same szare, powikłane laski i grząskie, zgniłe łączki, z rzeczułkami, z których nie można było pić wody — jak wszędzie po drodze.

Zaczęło się wydzielanie „lotów“. Nie zorjentowali się z początku, które miejsce może być wygodniejsze, która ziemia lepsza, który „lot“ bardziej wart. Potem, potem dopiero osadnik nauczył się od pierwszego rzutu oka na roślinność oceniać ziemię, wiedzieć, która jest dobra pod „hervę“ i pastwisko, która pod uprawę właściwą, t. zn. kukurydzę i fiżon, która wreszcie pod trzcinę cukrową lub ryż.

A i w planie tej przyszłej kolonji trudno się było zorjentować: przyzwyczajeni do ciasnych, ulicowych wiosek Starego Kraju — bali się rozproszenia na odległych „lotach“ i choć w części chcieli skupić się w podwójnym szeregu domów, mających za sobą ziemię uprawną.

Pojechał z nimi nie sam dyrektor, lecz sekretarz Affonso, który obszargał sobie w niewidziany sposób swoje długie spodnie i śpiczaste, miejskie trzewiki. Senhor Affonso był zły: robił trudności we wszystkiem, nie uwzględniał zupełnie niewinnych próśb co do przydziału terenów i ciągle groził, że musi zostawić miejsca pomiędzy „lotami“ dla innych przybyszów: Italjanów.

Poszli w tej sprawie gromadą do „rancho“, które sobie sklecił wraz z Josém i furmanami. Teraz już nieco bano się tej gromadności i uporu przybyszów.

— Nie puścimy między siebie Taljanów — mówił stary Szuk, patrząc nibyto na Andrégo. — Tak mu powiedz! I niech pokaże plan i wytłumaczy.

— On mówi — oświadczył wreszcie po długiej wymianie myśli André — że może to da się zrobić, ale jak on to zrobi, to on sobie może zaszkodzić, więc niby... rozumiecie? A plan to jest „questao“ Dyrekcji, i on może tylko „eksplikować“, a „mostrar“ — „nao pode“.

Zaczął więc senhor Affonso rysować coś patykiem na ziemi, a delegaci patrzyli uważnie. Kolonja według tego rysunku miała mieć kształt litery „Y“, zwróconej pojedyńczym ogonkiem w stronę Czarnej Rzeki, a dwoma ramionami w stronę lasu. Szuk nic nie mówił, ale coś usilnie obmyślał, a Messel niepokoił się wyraźnie.

— A kto będzie miał pierwszą działkę od Czarnej Rzeki? — spytał wreszcie Szuk.

— To jeszcze niepewne... — powiedział skromnie sekretarz, patrząc w ziemię.

Messel otworzył usta, potem zamknął je,

zbladł trochę i zaczął szukać oczu sekretarza, starannie utkwionych w ziemię. Kiedy wszyscy delegaci wyszli, Messel został jeszcze w szałasie i targował się o coś długo.

W ciągu następnych dni furmani, José i sam sekretarz bardzo uprzejmie objaśniali ludzi, które to „loty“ są najlepsze, pod względem położenia i ziemi. Zaczęto też dobijać się o nie, a kiedy jakoś pocichu wyznaczono je niektórym — okazało się, że najlepsze są znowu właśnie między pozostałemi.

Staremu Szukowi wypadł mocno odległy kawałek, na jednem z rozgałęzień owego „ypsylona“. Poszli też tam z Kobuzem.

Oczywiście, nie było jeszcze widać ani projektowanej drogi, ani granic, ani kształtu owego „lotu“. Był to tak samo dobrze las, jak każdy inny kawałek, zaledwie można było dojrzeć jakieś kilka słupków, sterczących tu i ówdzie.

Padał cienki kapuśniaczek, taki sam, jak w ich ojczyźnie; śliskie błoto usuwało się pod nogami, mokre gałęzie biły po twarzach. Stali, milcząc, jakby mierząc się oczami i ważąc: swoją moc i moc tego nieznanego przeciwnika: lasu. Szczęki ich żuły coś powoli, jakby przerabiając raz jeszcze nieustępliwą decyzję.

Naraz stary Szuk powiedział:

— Trza sobie dobrze zapamiętać ten moment.

— Bo co? — spytał zdziwiony Kobuz.

— Żeby sobie wspomnieć, jak tu już będzie inaczej! — dumnie powiedział stary chłop.

Kobuz patrzył na niego przez chwilę z uznaniem i obracał długo w ustach odpowiedź. Po chwili powiedział:

— Dobrze mówicie.

Wracając, odginali spokojnie gałęzie, nie łamiąc ich nawet. Tak, jak pewny siebie szermierz delikatnym ruchem próbuje klingi, spokojnie staje na miejsce, aż nagle zwinie się cały w sprężynę i wyda z siebie całą oszczędzaną siłę, i rozpocznie walkę na serjo.

— Trzeba i mnie się dowiedzieć o swój „lot“! — powiedział niedbale Kobuz.

Senhor Affonso przyjął Kobuza bardzo uprzejmie. Wyznaczył mu „lot“ już dawno. Doskonały „lot“. Coprawda dość daleko, ostatni, ale zato jakie szanse! W razie rozwoju osady można będzie dokupić...

Kobuz rzucił wesoło prawie:

— Esta bom! — Dobrze. Dogadzało mu nawet to miejsce, dalej od gromady, a werżnięte w las.

Sekretarz patrzył po swojemu nieco skromnie w ziemię i był jakby zażenowany. Może przypomniał sobie gawędy z Kobuzem i to, że częściej Kobuz fundował „cachas".

— Gdzież on jest dokładnie, ten „lot"? — dopominał się Kobuz.

Sekretarz tłumaczył, ciągle jednak był nieco stropiony. Wyglądało na to, że coś robił wbrew własnej chęci. Także José patrzył jakby ze współczuciem na Kobuza. Naraz wstał i wyszedł z „rancha".

Dopiero kiedy Kobuz podniósł się także, sekretarzowi przyszła jakaś zdeterminowana idea, i wykrztusił z bezczelnością, pod którą czuć było niepewność, że za wyznaczenie takiego świetnego „lotu" — należałby mu się jakiś objaw wdzięczności.

Kobuz namyślał się chwilę, potem wyjął stary „picapau", który już kiedyś był przedmiotem targu z sekretarzem, przy sprzedaży innych rzeczy. Kobuz miał dobry rewolwer, i „picapau" był mu właściwie niepotrzebny, oddawał go jednak z pewnym żalem, bo lubił bawić się bronią i zbierać ją. Ten fakt i użytek, który potem zrobił nieszczęśliwy sekretarz z tego gruchotu — dał asumpt

niektórym przesądnym ludziom do uważania Kobuza za człowieka „urocznego“.

Senhor Affonso miał chwilę wahania przy przyjmowaniu prezentu. Czy przemówiła tu obawa „złego oka“, czy wyrzuty sumienia z powodu otrzymania datku za to, co obdarowanemu nie miało przecież wyjść na dobre — trudno zdecydować. Dla uspokojenia siebie powiedział:

— Pański „lot“ będzie mocno większy od innych — ja w tem!

A potem dodał już nieco złośliwiej:

— Będzie sięgać do obozowiska „dos Indios“...

Kobuz nie zastanawiał się nad tem wszystkiem i spokojnie wyszedł z „rancho“.

Idąc do swego wozu, gdzie siedzieli z Szukiem, spotkał na drodze Joségo, który jakby czekał na niego.

— Senhor! — powiedział José szczerym i stłumionym głosem. — Niech pan nie bierze tego „lotu“. Tyle mogę panu powiedzieć. Niech pan da sekretarzowi jakiś duży, bardzo duży prezent. Taki, żeby nie bał się zadrzeć z... innymi.

— Bah! — gwizdnął Kobuz zdziwiony — Affonso twierdzi, że to doskonały „lot“. Dałem mu właśnie prezent za niego.

— Desgracado! — syknął José z pogardą. Chciał coś jeszcze dodać, ale nie zdecydował się. Szepnął tylko:

— E sorte! — Taki jest los!

Kobuz postał jeszcze chwilę, potem spokojnie mruknął:

— Boa noite!

— Boa noite, senhor! — odpowiedział José, i rozeszli się w zapadającym błyskawicznie zmroku.

José — mimo wszystko — był człowiekiem zdolnym do prawdziwej męskiej przyjaźni, nieograniczającej się do kompanjońśtwa, serdecznych gestów i patetycznych słów, o które tam łatwiej, niż o taką przyjaźń.

Zaraz nazajutrz stary Szuk, Walery i Kobuz zbierali się na swoje działki. Obładowywali się bez litości, zabierając i jedzenie, i narzędzia, i nieco ubrania. Brali ze sobą prawie wszystko, co przywieźli. Byli oni jednymi z pierwszych, którzy podnieśli się i krzątali po biwaku.

Dzień wstawał szybki, ale jeszcze niebieska mgła „garua“ zasłaniała dalsze partje horyzontu. Naraz Kobuz wpatrzył się ostrym wzrokiem wdal.

— Słuchajcie — rzekł niezwykle szybko. — Od lasu ktoś jedzie!

— Od lasu? — powiedział niedowierzająco Szuk i rozprostowywał powoli grzbiet.

— A jedzie — krzyknął prawie Walery. — I dwóch nawet chyba?

Ktoś zapytał się z najbliższego wozu, o co chodzi, potem inni. Zaczął się ruch. Wiadomość szła od ust do ust. Wylegli wszyscy i powtarzali z dziwną intonacją:

— Od lasu?... Jedzie?

Postacie zbliżały się powoli. W pewnej chwili, na grzbiecie pagórka, zatrzymały się niepewnie, ale zaraz potem puściły się drobnym kłusikiem. Było ich widać coraz wyraźniej: jeden z nich jechał na wychudzonej bułanej szkapce, pokrytej długim włosem, drugi — na równie wychudzonym mule. Ten drugi wydawał się pijany: chwiał się i przeginał na siodło. Drugi jechał uważnie i oglądał się na towarzysza niespokojnie.

— Interesante! — przeciągnął niespokojnie José.

Szarpiąc bezustannie swego konika, jeździec wyminął swego chorego towarzysza i podjechał drobionym skroczem do gromady. Zatrzymał konia raptownie, jakimś niby zuchowatym gestem, i, dotknąwszy ręką kapelusza, powitał wszystkich. Spróbował coś mówić, ale nie wydał dźwięku.

Kiedy zaś zsiadł z konia — zatoczył się na stronę i ledwie ustał na nogach. Wyglądało na to, że i on jest pijany.

Tymczasem nadszedł muł z jego towarzyszem i spokojnie zatrzymał się wśród gromady.

— Co takiego? Kto? Skąd? — posypały się pytania.

Obcy długo wymuszał odpowiedź z suchego gardła, aż wreszcie zachrypiał:

— Jeść!

Rzucili się natychmiast do swoich biednych zapasów. Wiedzieli oni dobrze, co to znaczy, gdy się chce jeść biednemu człowiekowi. „Jeść!“ — to nie znaczy: „Mam apetyt“ lub „Zjadłbym coś“! To znaczy: „Nic nie jadłem oddawna. Umieram z głodu. Dajcie byle jakiej strawy.“

Nikt nie ruszał się do roboty, wszyscy czekali niespokojnie, aż ludzie ci najedzą się, napiją i wypoczną.

— Pański kolega nie chce jeść! — powiedział za chwilę José. — I nic nie mówi.

Jedzący nie odpowiedział nic, żując szybko i łapczywie żylastą „szarkę“, obrócił tylko oczy w tamtą stronę. Po chwili dopiero, przełknąwszy to, co miał w ustach, rzekł chrapliwie i ponuro:

— „Acabou se“. — Skończył się człowiek.

— Chory? Ranny? — pytano.

— Si. Ukąsiło go „bicho“.

— Serpente? — dyskretnie zapytał Affonso.

— Si. Elle.

Patrzano na niego z niewymowną trwogą. A on naraz zaczął dziwne, błazeńskie grymasy. Wypinał się grymaśnie i rzucał na ziemię z siłą, choć zdawało się, że jest wyczerpany do ostatka. Pluł i chrypiał obrzydliwie. Wyrabiał jakieś miny, straszliwe przez swój komizm.

— Wódki! Nafty! Przypalić! — rozległy się głosy.

José podszedł do chorego i oczami zapytał towarzysza, czy ukąszenie jest w nogę. Kiedy tamten kiwnął głową, José rozciął nogawicę starych spodni. To nie była noga — ten czarno-fioletowy kloc mięsa, popękany i wydzielający żółtą ciecz. José odwrócił się mimowoli i przełknął ślinę wstrętu.

Zdjęto mu potem but, obłożono nogę szmatą, zmaczaną w nafcie, wlewano „cachas“ w usta, ba! — próbowano nawet „oração forte“ — wszystko to nie pomagało. Zresztą José miał słabą nadzieję, bo zamówienie owo było właściwie raczej od ciężkich chorób, ale niekoniecznie od żmii.

Człowiek umierał, i robiły się w nim dziwne rzeczy od tej kropelki jadu, wpuszczonej przez niewidoczne wcale ranki: wymiotował, dostawał krwotoków ustami, nosem i uszami; dusił się, miał konwulsje, to znowu leżał cicho i ledwie oddychał, a pulsu nie można się w nim było domacać. Umarł w samo południe i został pogrzebany tuż przy drodze, choć José odradzał, twierdząc, że to „niedobrze“. Ale trudno było wcinać się w gęsty las, żeby znaleźć jakieś dogodniejsze miejsce.

Jego towarzysz zato odżył i namiętnie manifestował swój powrót do życia: jadł, pił, palił i gadał, gadał niezmordowanie. Samą przygodę ze żmiją musiał opowiadać zresztą kilka razy, naskutek gorączkowych nastawań osadników: chcieli wiedzieć wszystko dokładnie, czy nie można było uniknąć, czy nie dało się jej zabić, czy bardzo cierpiał, jak długo to trwało i t. d.

Obcy kiwał pobłażliwie głową i z uśmiechem tłumaczył po raz któryś, jak i co. Siedział niedbale przy ogniu, oparłszy się plecami o drzewo, bo jeszcze był bardzo wyczerpany. Zbudowany był słabo: długie, zwiędłe ciało, małe, cienkie w kostce ręce, tak typowe dla mulatów a tak podobne do łapek małpki — zdawały się świadczyć,

że człowiek ten nie jest zdolny do żadnych trudów. Tymczasem — jak się okazało — włóczył się on prawie całe swe życie po lasach, trochę polując, sadząc nieco „fiżonu“ i kukurydzy i hodując od czasu do czasu kilka kur. Były i ciężkie chwile, kiedy żyło się całemi tygodniami tylko szyszkami pinjora...

— My, „cabocle“... — uśmiechał się pół-żałośnie, pół-dumnie. — Takie to nasze życie...

Był czas, kiedy posiadał on, Lazaro Machado, żonę i dwoje dzieci, ba! — miał psy! i jakie psy! — trzeba było je widzieć! Ale cóż? — przyszła „peste“ — zaraza. Co to było — trudno powiedzieć. Ot, zaraza. Umarło wszystko. Umarły i psy. Polowanie stało się niemożliwe. Cóż może być za polowanie bez psów?

— E! — potwierdzili z przekonaniem wszyscy, którzy znali warunki polowania w lesie tutejszym.

— A ostatnio? — dopytywali się osadnicy.

— Ostatnio? Ostatnio było ciężko z powodu Indjan — powiedział Lazaro.

Koło zacisnęło się i z niespokojnym szacunkiem chwytało słowa z ust tego dziwnego oberwańca, przychodzącego z głębi lasu i przynoszącego te groźne wieści. Nie słyszeli jeszcze o tem

nowem niebezpieczeństwie, czekającem na nich tam, w głębi. Prawda, obijało się im coś niecoś o uszy, ale José, sekretarz lub dyrektor, zagadnięci o Indjan, śmiali się lekceważąco i machali ręką:

— Isso é nada! — To jest nic! — mówili.

A „caboclo“, nie widząc tajemniczych znaków, które mu robił José, ciągnął dalej:

— Nie wiedzieliśmy, rozumiecie, panowie, nic o tem, że przebywają gdzieś wpobliżu ludzie, ale zwierzyna zaczęła się niepokoić, waliła się na nas, jak szalona. To nam wystarczyło. Zrozumieliśmy. Ale — niestety. — Botokudzi zrozumieli także.

— Bo — to...?

— Botokudzi, tak. A właściwie nietyle zapewne zrozumieli, to jest nie poprzestali na tem, lecz zapewne widzieli was.

— Nic podobnego! — zaprzeczyło kilka głosów — nie spotykaliśmy do tej pory żadnego!...

„Caboclo“ uśmiechnął się pobłażliwie.

— Wyście ich nie widzieli, wierzę. Botokuda niełatwo jest zobaczyć. Ale że oni was nietylko widzieli, ale policzyli — to ręczę. Kto wie, czy w tej chwili nie patrzą na nas gdzie z gąszczu.

Mimowoli obejrzeli się niespokojnie i skupili się jeszcze bardziej.

Lazaro uśmiechnął się nieznacznie i powtórzył:

— Botokuda niełatwo jest zobaczyć.

— Więc jak to było, jak? — dopytywali się niespokojnie.

— Zwierzyna zaczęła iść od północy, i było wiadomo, że tam coś się dzieje.

Zaczęliśmy też spotykać ślady Indjan. Znaczyło to, że chcieli oni, abyśmy je zobaczyli. Inaczej nie odkrylibyśmy. A potem zaczęli straszyć.

— Straszyć?

— Si — powiedział spokojnie. — Botokudzi zawsze naprzód straszą. Stukali pałkami w pnie, nocą, hukali... Baliśmy się palić ognie nocami, choć wiedzieliśmy, że oni nie napadają nigdy nocą.

— Hę?

— Zawsze napadają o świcie lub w południe, w nocy — nigdy. Ale rozumiecie, panowie: siedzieć w nocy, na tle ogniska...

Zamruczeli na znak zrozumienia i wstrząsnęli się.

— Póki jeszcze były psy — jakoś to szło. Mieliśmy cztery psy, czujne, mądre... Ale potem

nam wystrzelali. Przynajmniej tak można wnosić, bo nasze psy nie polowały bez nas i nie przypuszczaliśmy, żeby zginęły od dzikich świń. Dobre, cztery psy... — zakiwał głową.

— A potem — opowiadał — zobaczyliśmy ich. To już było źle. To znaczyło, że chcą nam się pokazać, że grożą już napadem. Na szczęście, mieliśmy nasze wierzchowce. Trzeba było ich coprawda szukać, bo puszczone były samopas, i nawet nie wiedzieliśmy, czy i ich Botokudzi nie zabili, ale to był nasz jedyny ratunek. A kiedy znaleźliśmy je wreszcie — mieliśmy już Indjan na karku: słyszeliśmy szczekanie ich psów. I w tej ostatniej chwili, rozumiecie? — w chwili, kiedyśmy siodłali te bydlęta i mocowali się z niemi, bo zdziczały szelmy — biedny Maximiliano został „obrażony przez gada". Nie było mowy o ratowaniu — siedliśmy czem prędzej i pognaliśmy na północ. W ciągu dwóch dni i dwóch nocy nie zsiadaliśmy prawie z koni, i Maximiliano czuł się coraz gorzej. Bredził, opowiadał niestworzone historje...

Tu Lazaro wstrząsnął się po raz pierwszy z wyraźnym strachem i obejrzał podejrzliwie:

— Dość powiedzieć — powiedział półgłosem — że widział Złe Duchy. A także pewne osoby

nieżyjące. Bo trzeba wam wiedzieć, że brał kilka razy udział w rewolucjach, biedny Maximiliano, i zdarzyło się biedakowi kilka osób... Jakoś mu tam podwinęły się. No, więc właśnie — widział je teraz. To była straszna ta jazda, moi panowie, możecie mi wierzyć...

Stali bez słowa, zaskoczeni, bezradni, bladzi... Więc tam mieli jechać?

Wtedy José poczuł, że wypada mu odezwać się, rzekł więc sztucznie pewnym głosem:

— Powiedz nam, senhor, przecież tu jest jakaś fazenda?

„Caboclo“ podniósł na mówiącego swoje senne oczy:

— No, więc niby jest — cóż z tego? Od roku jest tu jeden senhor, który kupił od rządu ogromne obszary i siedzi tu z żoną i dwoma „capangami“. Blisko nawet. Ale i on się wyniesie, jak się dowie. Sprzedali mu tereny z dodatkiem: z Indjanami.

Ciche wzburzenie rozległo się wśród osadników.

— Oszukali nas! Nie powiedzieli! Nie pójdziemy!

Kobuz podszedł do Lazara i zapytał cicho, a jakby trochę drwiąco:

— A senhor? Co senhor zamierza teraz robić?

— Ja? — zawahał się „caboclo“ i oglądał się na otaczających go mężczyzn. — Teraz jest nas sporo. Co będę robić? Nie wiem. Pewno wrócę do lasu.

Zaczęli ze śmiechem klepać go po łopatkach i nabrali trochę otuchy, ale długo jeszcze potem gadali z oburzeniem, że Dyrekcja powinna była uczciwie powiedzieć, co i jak. Że to jest czyste łajdactwo, i że tak się nie robi.

— A cóż wy, Szuk? — zapytał któryś z gromady. — Wy macie „lot“ najbliżej nich?

— Myślę — powiedział stary powoli — że jak nie będziemy ich zaczepiać, to chyba bez powodu nie zaczną. My — ludzie spokojni: aby na swoim kawałku...

Kobuz zaś poszukał oczami oczu kędzierzawego sekretarza, który stał opodal, i zatrzymał na nim zły, połyskujący wzrok. Affonso poczuł się tak niewyraźnie, że zrobił ręką nieznaczny ruch od uroku. Stanowczo ten przybysz miał wzrok uroczny. Po chwili w oczach Kobuza przemknął się kpiący śmiech, i odwrócił się do Affonsa plecami. Potem osadnicy rozeszli się powoli i pozasiadali przy ogniskach.

Dodawali sobie ducha, bo już za dużo włożyli trosk w dojście do tej swojej ziemi i nie mieli siły szukać czegoś nowego, ale osiadła w nich na dnie zgryzota i żarła cicho. Do nocy nic nie robili, tylko naradzali się, wzdychali i kręcili głowami. Triumfował tylko Messel: on był najdalej od lasu i Indjan.

Sen mieli niespokojny: budzili się coraz i wsłuchiwali w ciszę lasu, badając, czy nie usłyszą ponurych głosów Indjan. Noc jednak była — jak tam bywa — głuchoniema i martwa. Odezwała się czasem sowa, znanym głosem, trzasnęła trzcina, pękając, lub zwalił się przegniły konar pinjora, że serce skoczyło na moment — i znowu kładła się czarna cisza na zimną ziemię.

Na drugi dzień Szuk i Kobuz, bez słowa porozumienia, zaczęli się znowu gotować do drogi. We trzech, z Walerym — poszli powoli, zgarbieni pod tłomokami. Iść było dobrze, bo ranny chłód raźno przejmował ciała, może tylko wilgoci było za dużo. W godzinę doszli do swoich „lotów“ i zatrzymali się w namyśle.

„Loty“ ich graniczyły ze sobą, i przyszła im jednakowa myśl do głowy: nie budować się pośrodku swych „lotów“, lecz w taki sposób, aby domy były jak najbliżej. Powiedzieli to sobie

w niewielu słowach. I postanowili zacząć karczunek od wspólnej granicy. To dodało im ochoty.

Położyli więc tłomoki na „tropie“ i wygrzebali z nich narzędzia. Była tam dobrze im znana siekiera, ale było też dziwne narzędzie — „fojsa“ — ni to sierp, ni to kosa, na długim trzonku, mocna i z dobrej stali. To była broń na drobną hołotę gąszczu. Na drzewa — była tylko siekiera oraz piła. I ogień jeszcze.

Nim wzięli się do pracy, patrzyli twardem okiem na przeciwnika, na ów las. Nie bali go się. Prawda, że oddawna byli rolnikami, że czesali tylko łagodnie ziemię, ale był czas, że podobnie musieli walczyć z lasem. We krwi mieli pionierstwo i osadnictwo, i te dawne rozmachy wracały im teraz, poprzez leniwe i zgarbione rolnictwo równin. Czuli, jak im wzbiera w żyłach puls ich przodków, którzy trzebili puszcze niemniejsze od tych, tutaj.

Dawno to było, dawno...

Niechby kto wyśpiewał tę epopeję walki Człowieka z Lasem!

. . . .

Kiedy błąkające się naoślep ludy wybierać zaczęły wreszcie swoje stałe siedziby zachodnie, na

wschodzie Europy pozostała jedna wielka, bagnista puszcza. Powyżej jednego z największych topielisk, na północ od rzeki, zwanej Prypecią, stał najszczerszy, najsurowszy las, nienaruszone jądro tego władztwa drzew.

Drzewa zbijały się w nim ciasno, jak chłopy, kiedy — milcząc — kupią się do bójki, a które padło — to tam też leżało pod nogami innych i zdychało. Szedł zaduch tej mokrej śmierci po lesie, bo słońca nie dopuszczały te inne, co się wyparły do góry, na świat. Nietylko niezdarna stopa ludzka, ale i rać tura lub żubra zapadała się często w ten drewniany cmentarz. Oślizgła, jak grzyb, kłoda rozjeżdżała nogi, aż trafiły w słabiznę, która trzaskała głucho w milczącym lesie i otwierała sypki dół, pełny wilgotnego próchna.

Każdy szelest w tej ciszy był świętokradztwem, przerażonem własną śmiałością. Było tu tylko jedno prawo: prawo życia olbrzymich roślin; to też żyły jedno przez drugie, mnożyły się i marły.

W ciemnej, wilgotnej i ciepławej jamie brzusznej lasu słychać było tylko jakieś bolesne trzaski porodu i śmierci.

A przecież — był tu człowiek.

Przekradał się ostrożnie bokami i węszył...

Ciął ukradkiem byle jakie drogi w tem rumowisku martwych i żywych drzew i darł się za stadem dzikiego bydła, razem z wilkami. Niezdarny niby, a szybki, jak każde zwierzę leśne, coraz bardziej brał puszczę w posiadanie. Wypierał w coraz to dalsze zakamarki zwierza, wyparł też i wytracił plemię, które tu błąkało się przed nim: dzikszego jeszcze Jadźwinga. Stawał się panem.

Zaczął więc polany wycinać lub wypalać, aż zobaczył słońce, a słońce jego. Na tych ledwo podeschłych bagnach klecili sobie czasowe budy i siadali rodzinami i całemi rodami. Bo szli często po dwunastu braci, stryjków i pociotków, i trzymali się kupy, za wzorem lasu.

Zrazu tylko drzewo palili na smołę lub rudę, i myślistwem się bawili. Potem ten i ów zaczął nieco traw siać; palił więc bez żałości las, a co mu zgorzało na czysto, wzruszał nieco i ziarnem obrzucał. Potem owemu „ugorowi“ odsapnąć pozwalał, a sam ciął i palił dalej.

Nie bez tego, żeby przy okazji kuszy lub samopału nie spróbował, gdy mu coś mignęło w gąszczu, lub żeby na mechatego mierzyna nie wsiadł, gdy głucha wieść o wyprawie wojennej zabłądziła

do jego ostępu. Powracał jednak i dalej prawował się z lasem.

Ale przyszedł czas, że poszły nadania ziemi, klasztory, arendy i podziały w rozrodzonych familjach, a i procesy w grodach wykurzyły niejednego z jego jamy, gdy nic pisanego nie mógł ludziom pokazać.

Zmalał świat. Dokąd się nie ruszyć — wszędzie płot, wszędzie kara lub proces. Opisali wszystko, wytyczyli, trzeba było przycupnąć na swoim chudym zagoniku i żuć, co Bóg dał. Czasem tylko dawna żyłka pociągnęła do lasu z powiązaną drutami kapiszonówką na zakazaną zwierzynę — na żubra.

Ciasno zrobiło się temu, który tu przyszedł ze swoich chudych piasków, ziemię wydarł lasom i zawsze miał co ciąć i do czego strzelać. Dawał też chętnie ucho wieściom, które przynosił tu wiatr i jakieś wycirki ludzkie w obdartych paltotach. Nie taki znowu straszny był mu daleki świat i jakieś nowe lasy.

. . . .

Teraz stary Szuk stał się dziwnie niecodzienny i niedzisiejszy, gdy szerokim krzyżem prze-

żegnał las, obejmując go we władanie tym znakiem swojej wiary i swojej cywilizacji.

Prawda, nie oni pierwsi na tej ziemi byli zdobywcami: szli tu przez wiele lat śmiali i dumni „conquistadorowie", których życie było romansem i awanturą. Ale ci złota szukali, a zostawiali krew. Do ziemi samej nikt tu się jeszcze nie zwrócił z dobrej woli. Albo kopano ją z wściekłością, szukając kamieni, albo deptano w przeklinanej pracy plantacyj.

Coś z tego błąkało im się po głowach, i byli dziwnie uroczyści. W chwilę jednak potem zwyczajnie i rzeczowo spróbowali, czy żelaza trzymają się dobrze na trzonkach, i podeszli do samego lasu. Zaczęli od samej tropy, ze spokojną a mściwą zawziętością nie przebaczając najmniejszej trawce. Szli coraz głębiej. Ale i las zaczął się upierać: ściana gąszczu stawała się coraz spoistsza, i coraz rozmach fojsy natykał się na jakieś powikłane pieńki niepozornych niby drzewek. Dobrze jeszcze, że na początek nie spotkali poszycia z trzciny — „putingi", od której fojsa odskakuje, jak od pierzyny. „Taquara" łamała się posłusznie, trzeba było tylko uważać, żeby twardy ukośny koniec uciętej łodygi nie ukłuł niespodziewanie i boleśnie. Pracowali zresztą w wyso-

kich butach, dla ochrony przed żmijami i — z przyzwyczajenia.

Szli nieubłaganym krokiem, jak kosiarz i śmierć, ale kiedy doszło południe, mdlały im ramiona i uginały się nogi. Cóż? — Szuk był już stary. A wszyscy trzej nienawykli do tej roboty.

Wyszli na „tropę" i spojrzeli na swoje dzieło. Spojrzeli, i nie chciało się im wierzyć: toż nie znać prawie było ich pracy. Ot tak, jakby ktoś trochę trawy podeptał. Mało tego jednak było, a i na tym kawałku pozostały większe drzewa, bo naprzód musieli sobie do nich drogę otworzyć fojsą, a potem dopiero zabrać się do nich na dobre.

Szkoda im było czasu na rozpalanie ogniska, więc tylko pojedli „farofy", złożonej z „fariny" mandjokowej i „szarki" i, odpocząwszy rozumnie, zabrali się z większą jeszcze pasją do roboty. Nie opatrzyli się, gdy zaczęło zmierzchać, i wskutek tego w drodze złapała ich już zupełna noc. Doszli jednak, choć trzaskania „taquary" straszyły ich całą drogę.

Odetchnęli bliskością ludzi, gdy weszli do obozu: wszystko tu było mniej groźne, bardziej swojskie, bezpieczniejsze. Ludzie witali się, jak żołnierze, wracający z pozycji. Rozmowy były

podniecone, każdy miał coś do powiedzenia o swojej pracy. A że nic nie było słychać podejrzanego — uspokajali się powoli.

W ciągu następnych dni szła ta sama praca, do której już powoli się wkładali. Ciężej było z cięciem drzew: były wśród nich takie, które były równie twarde, jak żelazo narzędzia, a kto wie, czy nie twardsze. Słoje miały pokręcone, powikłane, wiór od nich odskakiwał krótki, a średnica ich była ogromna. Jakieś nieznane Imbuje, Sapopemy, Gabriuvy, Kanele i Jacarandy, od których odskakiwała siekiera, a ręce odbijały się do nieznośnego bólu. Niektóre też musieli pozostawiać i liczyć tylko, że kilkakrotny pożar poszycia nagryzie je i powali. Ale często i miękki pinjor sprawiał dość kłopotu, bo — mając związany lianami wierzchołek z innemi drzewami — nie upadał odrazu i groził upadkiem w chwili niespodziewanej.

Kto mało miał w sobie twardości — tego te twarde drzewa zwyciężały: marniał, tracił ducha i myślał o ucieczce. Ale tych było mało: gromada się zacięła i w ogromnym lesie wycinała małe, śmieszne prawie polanki, które jednak były groźnemi forteczkami, mającemi służyć za punkt oparcia dla najeźdźców lasu. Zwyciężanie lasu wyci-

naniem polan znane im było z owych pradawnych czasów, gdy na swojej ziemi podobnie walczyli. Wszak od owych polan karczunkowych nazwę plemienia wzięli. Polanie — znaczyło to: zwycięzcy lasu. Znaczyło to: pionierzy.

Lazaro łaził wśród osadników, z wyższością urodzonego włóczęgi patrząc na ciężko pracujących ludzi. Lubili go jednak i widzieli chętnie, bo często coś poradził do rzeczy, a zresztą sam widok człowieka, który wyszedł cało z rąk „dzikich“ — dodawał im otuchy.

Zaszedł też na ostatni „lot“ i, powiedziawszy swoje nieco znudzone „bom dia“ — przykucnął koło ich tłomoków. Patrzył uważnie, jakby był ogromnie zainteresowany w wyniku tej pracy. Tak leniuchując, lubił Lazaro pofilozofować. Zresztą filozofja jest przecie córką lenistwa: człowiek, który pracuje — jest nato za prostolinijny i ubogi; aby móc myśleć — trzeba porzucić pracę i patrzeć na pracę innych, wtedy rodzą się mądre myśli. Nie aktor, lecz widz jest krytykiem i teoretykiem sztuki.

Lazaro lubił myśleć i mówić; jeżeli nie mógł mówić — myślał tylko, choć to sprawiało mu tylko połowiczną przyjemność. Tych dwóch zastanawiało go: stary z synem pracowali — rzec

można — zbożnie. Cięli drzewa z westchnieniem, usuwali je z powagą sędziów i w imię czegoś, co odczuwali, jako święte. Całkiem inaczej — Kobuz: ten ciął z furją, z gniewem, w natchnieniu. Co jakiś czas przystawał i patrzył na las szerokim rzutem oka, jak wódz na armję nieprzyjacielską. Nie nużył się też szybciej, niż tamci dwaj, i robił za dwóch, choć wydawało się, jakby za mało poważnie traktował swoją robotę.

Lazaro mruczał coś do siebie z uśmiechem, a kiedy przyszli do tłomoków i poczęstowali go „pasoką“, zagadnął Kobuza:

— Będzie pan stawiać tu dom?

— Dom? — zdziwił się Kobuz. — Nie myślałem jeszcze... No, oczywiście, że będę stawiał dom! — dodał nagle.

— Naprzód dom — „casa“ — dowcipkował nibyto Lazaro. — A potem trzeba się ożenić — „casar“...

Ponieważ Szukowie nie rozumieli dobrze i pytali, Kobuz tłumaczył. I właściwie sam dopiero zrozumiał, że „ożenić się“ znaczy po portugalsku jakby „zadomowić się“ z kimś. Z kobietą.

Po śniadaniu Szukowie poszli do roboty, a on jakoś stracił rozmach: został jeszcze z Lazarem i leniwie przerzucali się słowami. Przeleciał jakiś

ptak, choć naogół uderzał przybyszów dziwny brak wszelkiego ruchu w przyrodzie.

— Myślałem, że tu więcej zwierzyny — powiedział Kobuz.

— A senhor — myśliwy?

— O, tak! — odpowiedział szybko Kobuz. I po chwili wahania dodał. — Tam, w Starym Kraju, pan wie? — byłem leśniczym. Polowałem.

Lazaro ożywił się:

— Trzeba poznać warunki — tłumaczył. — Zwierzyna jest, ale nie siedzi w jednem miejscu — chodzi. Naprzykład wodopój obiera coraz gdzie indziej. Ba! — często wcale nie wraca w te same okolice. I potem bez psów — niepodobna. Tu u nas właściwie to psy polują, a myśliwy tylko strzela. Jeżeli nie ma dobrych psów — może nie ruszać się z domu. Chyba, że wypadkiem...

Rozpytywał się potem Kobuz jeszcze o różnego zwierza. Obrócił się teraz całkiem ku Lazarowi i chwytał każde słowo. Fojsą zaś ścinał machinalnie trawę w promieniu ręki.

— „Anta“ — mówił Lazaro — to najlepsze polowanie, bo i mięsa sporo, i skóra... Trop łatwy i zawsze przy wodzie. Kiedy psy zaczną pędzić — trzeba tylko zasiąść na ścieżce tapira — na

„carreirze“, która prowadzi do wody. Strzał jest pewny, bo „anta“, zajęta psami, pozwoli blisko podejść. Można wprost z rewolweru...

— A jaguar?... A dzikie świnie?... A kiedy najlepiej polować?...

Tyle mieli tematów, że nie opatrzyli się, gdy się miało pod wieczór. Słońce krwawiło się za drzewami i obrysowało czarne kontury pinjorów, podobnych do chińskiej pagody w swej sylwecie. Zeszli z pola Szukowie i ruszyli wszyscy do obozu. Szuk nic nie mówił, ale spoglądał z pod oka na Kobuza i uśmiechał się nieznacznie.

Nazajutrz Lazaro robił handel z Kobuzem — sprzedawał mu „wierzchowca“ swego zmarłego towarzysza. Próbowanie muła, targ... Potem wybrali się razem w drogę. Niedaleką zresztą. Byli na owej fazendzie, o której właściwie mówiono, jak o micie: skąd tu, na odludziu?...

Coprawda, to więcej tam było szumnej nazwy, niż rzeczywistości. Klaskali długo przed bramą, nim wyszedł majestatyczny mężczyzna, o rasowej twarzy, oberwany i brudny do ostatecznych granic, w drewnianych chodakach — „szynelach“. Dokładnie tak, jak pan, wyglądał — przynajmniej dla przybysza z za oceanu — cały „kram“ jego: czarna, kurna chata z łupanego pinjora i podobna

kuchnia, pozatem jeszcze coś w rodzaju płotka, kilka kur i psy. Lazaro jednak mruknął z uznaniem:

— Niezła fazenda.

Po długim wstępie wyznali, że właśnie chodzi im o psy: czy nie ma czasem na zbyciu? Gotowi są zapłacić...

Gospodarz był wyszukanie grzeczny, ale do domu nie zapraszał. Psów nie ma. Owszem jedna suka jest szczenna, za jakiś miesiąc można będzie pogadać, choć właściwie on sam potrzebuje.

Przyglądali się sobie uważnie z obu stron, poczem uprzejmie pożegnali się i rozeszli. Skończyło się właściwie na niczem.

Kobuz powrócił do karczunku następnego dnia; jechał na miejsce pracy na swoim mule, położywszy wpoprzek siodła tłomok z rzeczami. Pracował niemniej zawzięcie, niż przedtem, choć zagadywał się czasem z Lazarem, który prawie codziennie teraz zachodził. Karczując, oddalili się od siebie z Szukiem i teraz tylko po głosie poznawali, gdzie jest sąsiad.

Potem przyszedł ten moment, przez wszystkich tak oczekiwany, kiedy Dyrekcja miała budować domy. Domek Messla już ponoć stał, oczy-

ścił on bowiem tylko kawałek miejsca, przy samej drodze, i tam też postawili mu dom. Niektórzy poszli go oglądać: była to niesłychanie mała chałupinka, ciasna i tandetna, tak, że niektórzy, nabrawszy już wiary w siebie i znajomości rzeczy — wyrzekali się takiego domu i postanawiali budować sobie sami.

Stary Szuk postanowił „na tymczasem“ przyjąc jednak to pudełko, zanim pobuduje coś większego. Przyszli więc robotnicy z senhorem Affonso na ostatnie „loty“ i przyglądali się twórczemu spustoszeniu, dokonanemu przez kolonistów.

Senhor Affonso był teraz dziwnie uprzejmy dla Kobuza i spytał go:

— Czy i pan życzy sobie dom? i w którem miejscu?

Kobuz odwrócił się i, mruknąwszy niechętnie, począł się oddalać. Po chwili krzyknął:

— Nie potrzebuję od was żadnego domu!

Miał Kobuz już spory kawałek oczyszczonego lasu, ale nie zabierał się do budowy domu. Zbudowali sobie we dwóch z Lazarem obszerne „rancho“ i tam zaczęli nocować. Potem został sam, bo Lazaro zgodził się do „fazendy“.

W jakiś czas potem gruchnęła wieść, która oburzyła wielu z gromady, że i Kobuz najął się

za robotnika w fazendzie. Myślano, że porzucił swoją ziemię, ale ze zdziwieniem widziano go kilka razy dziennie, jak jeździł na swoim mule to w stronę fazendy, to do swego „lotu“. Czasem był kilka dni u siebie, potem znów kilka na fazendzie. I trudno było powiedzieć, żeby jego ziemia była mniej oczyszczona od innych. Zawziął się i zapracowywał ponad miarę.

Kiedy wreszcie ścięta „rossa“ podeschła dobrze, i zaczęły tu i ówdzie snuć się dymy — niemniejszy ogień zapalił się na ostatnim „locie“ powstającej osady. Ba! dziwniejsze to, że kiedy gromada jeszcze namyślała się, co i jak siać, czy sadzić — Kobuz był już po wszystkiem.

Kiedy uwalany popiołem stał na brzegu swego pola, jeszcze trzymając w ręku kij, którym robił dołki w ziemi — przyszło do niego kilku z gromady.

Ze śmiechem zatoczył ręką, pokazując im spopielone rumowisko, które już zostało zapłodnione.

— Był las — powiedział dziwacznie. — A teraz jest pole. Niema lasu.

— Coście sadzili? — pytali go jeszcze.

— Milję — powiedział z cudzoziemska — kukurydzę. Zawsze pierwsza po lesie musi iść

kukurydza. Tylko tu koło „rancho“ jest trochę to tego, to owego.

Kręcili głowami. Pytali jeszcze:

— A po ileż ziarn?

— Po cztery w dołek — powiedział z pewnością.

Długo wahali się z tem, co mieli na języku, aż wreszcie któryś go spytał:

— I skąd to wiecie?

— Na fazendzie nauczyłem się — mruknął i patrzył na nich zukosa, uśmiechając się.

Potem obładował swego muła i, gwiżdżąc, pojechał do fazendy.

Długi czas nie wracał teraz na swoją ziemię, zdaje się, że polował z fazenderem i jego „capangami“. Niechętnie o nim mówili, bo wyglądało to, jakby się wyrzekł gromady. Ale potem przyszły ważniejsze zdarzenia.

Niektórzy osadnicy sprowadzili już swoje rodziny, chociaż nie wszystko było gotowe tak, że trzeba było pobudować długi barak — „rancho“. Pierwszego zaraz dnia po przybyciu — zeszli się wszyscy i długo gadali jeden przez drugiego, aż gwar szedł naokoło. Potem nocowali razem, bo i tak domy były jeszcze niegotowe.

Messel jeszcze coś opowiadał kilku zebranym

koło siebie osadnikom, gdy „rancho“ zatrzęsło się gwałtownie.

— A co tam? — zapytał ten i ów.

Wstrząs się powtórzył, aż poszycie dachu zaczęło się osuwać.

— No, co do pioruna! — zaklęli.

W odpowiedzi rozległ się gardłowy, gruby ryk z kilkunastu gardzieli. W tej chwili ktoś dojrzał w niepewnem świetle dogasającego ognia płaską, ciemną twarz i krzyknął przeraźliwie:

— Dzicy!

Posiadali wszyscy i zamilkli, jak sparaliżowani. A tam nazewnątrz rozległ się znowu ten ryk nieartykułowany. I naraz, przez trzcinowe ściany baraku, z szelestem przecisnęło się kilka ostrzy dzid. Cofnęły się i znowu zaczęły dziurawić ściany to tu, to tam.

— Ludzie! Boże! Ratunku! — wyły kobiety, przygarniając do siebie dzieci. Mężczyźni chwytali za broń, ale nie ośmielali się jej użyć, aby nie ściągnąć jeszcze większej wściekłości dzikich na otoczony barak. Niektórzy, myśląc, że ostatnia godzina ich wybiła — padali twarzą na ziemię i wołali coś bezładnie a rozpaczliwie.

Zdawało się, że to stado goryli, czy innych stworów, wylęgłych przez tajemne wnętrza lasu,

odprawiało jakiś rytuał śmiechu i morderstwa. Ryk dokoła baraku to cichł, to wzrastał; barak się trząsł od uderzeń potężnych; w ścianach i niskim dachu robił ktoś duże dziury, przez które widać było miganie ciemnych postaci.

Trwało to całą noc. I całą noc wystraszona gromada modliła się, płakała i krzyczała.

W pewnej chwili przycichło jakby nazewnątrz, ale nie odrazu zauważono to w baraku, pełnym jęków i płaczu. Dopiero po jakimś czasie ktoś przytomniejszy nakazał milczenie, i wówczas przekonano się, że nie słychać nikogo na dworze. Nie dowierzali jeszcze, ale w świetle szybko wstającego dnia mogli dojrzeć przez podziurawione ściany baraku, że dokoła jest pusto.

Wówczas wyskoczyli wszyscy nazewnątrz, jakby szukając w tem ratunku, i oglądali się dokoła szalonym wzrokiem.

— Dosyć tego! Wracamy! Bóg nas skarał! — rozległy się krzyki kobiet. Mężczyźni chodzili bezradni i podejrzliwie patrzyli na każdy krzak. Dzień wstawał szybko, i nie chciało się wierzyć, że tu, na tem samem miejscu przeżyło się tak straszną noc. Zaatakowano natychmiast Joségo i Affonsa z całą furją niedawnego strachu. Ale oni sami byli biali, a raczej szarzy z emocji.

— Pojedziemy — mówili — do Czarnej Rzeki. Przyprowadzimy pomoc.

— Nie, nie puścimy was! Chcecie uciec! — rozlegały się wściekłe głosy. — Na śmierć, na zgubę nas tu przysłali.

Powoli, bardzo powoli uspokajały się umysły, i postanowiono coś radzić. Po śniadaniu wybrało się kilku śmielszych zobaczyć, czy „dziki“ nie zrobiły jakiego zniszczenia w budujących się domach. Czekano ich niespokojnie, ale wrócili w lepszych humorach:

— Nic — wołali już zdaleka. — Nic nie zrobili. Ale to dziwny naród: poustawiali na drodze jakieś patyki na krzyż — taka niby zagroda. To samo w drzwiach. Doszliśmy aż do Kobuza; u niego pole całe podeptali, poryli, a wejście do „rancha“ zagrodzili także patykami.

Naradzali się, kiedy nadjechał Kobuz i Lazaro.

— Kobuz, pole ci skopali!

— Botokudzi są!

— Indjanie napadli!

Lazaro słuchał uważnie, potem powiedział:

— Nie śmiejcie się z tych patyków. To niedobry znak. Oni i nam tak drogę do rzeki zagrodzili. Oni tak zawsze: straszą naprzód i przestrzegają. Źle!

Kobuz, słuchając, mienił się na twarzy i żuł coś, a potem powiedział:

— Lazaro, jedziesz ze mną? Zobaczyć, co oni narobili, te leśne małpy!

Ta obelga dziwnie dodała ducha gromadzie:

— I ja z tobą — rzekł Szuk.

— I my! I my!

Poszli całą gromadą. Prawda, pole było zryte i skopane, ale tylko na małym kawałku, od drogi. Kobuz patrzył, milcząc, ale ruszały mu się muskuły szczęk.

Nic nie mówiąc, zrzucił kurtkę i, wziąwszy jakiś kij — zaczął wygładzać skopane miejsce. Inni zaczęli mu pomagać, bez słowa. Śmieszne: cieszyła ich jego pasja, którą był napompowany, jak żmija jadem, i którą oni sami bali się naruszyć. Kiedy jako tako doprowadzili do porządku zrujnowany skrawek, odezwał się wesoło Lazaro:

— No, to i „prompto“ — gotowe! Jedziemy na fazendę, co?

— Ja tu zostanę! — powiedział nagle Kobuz.

Żachnęli się od niego, jakby im trupem zapachniał, i naraz wszyscy zaczęli mu tłumaczyć, że to niepodobna, że to bezsens, że śmierć...

Słuchał ponuro, a potem powiedział:

— Żeby mnie tu moją robotę... to, com wydarł lasowi?... Nie!

Długo jeszcze go prosili, wypraszali go od śmierci przed nim samym. Wreszcie dali spokój, choć strach o niego wszystkich objął.

Już mu nawet zapomnieli, że służył u „ciemnego“, że odstrychnął się od gromady. Bali się może tego, że gdy on zginie — to wszystkich wymordują.

Lazaro podszedł do Kobuza i rzekł z westchnieniem:

— Tylko nie śpij pan w „rancho“! Rozumiesz?

Potem odeszli wszyscy szybko, jakby ich ktoś łapał za nogi ztyłu.

Kobuz został. Włóczył się cały dzień po polu, potem siadł na konia i niby odjechał. Na zakręcie jednak wjechał w las i zawrócił. Dojechał do skraju i cicho zsiadł z konia. Spętawszy go i przywiązawszy do drzewa, zaczaił się koło pnia, w takiej pozie, jakby miał zaraz rzucić się na oczekiwanego wroga. Widział stąd swoje „rancho“ w trupiem świetle księżyca, który przesłaniał się coraz chmurami. Około godziny wysiedział w ten sposób. Potem przybrał wygodniejszą pozycję. Wreszcie ziewnął szeroko i zdrzemnął się.

Zbudził Kobuza chłód dojmujący poranku, który natychmiast stawał się dniem. Ocknął się i rzucił okiem na rancho i pole. Nie było widać żadnych śladów.

Przed południem zaczęli się schodzić ostrożnie osadnicy i z zadowoleniem przekonali się, że śmiałek jest cały i spokojny.

Od tej nocy Kobuz rzadziej jeździł na fazendę i siedział u siebie.

Któregoś dnia stała się ważna rzecz: do Szuka przyplątał się pies. Był to wielki, pręgowany dog, niezbyt czystej zresztą rasy. Zabiedzony był do ostatnich granic, tak, że z początku nie mógł nawet jeść. Zdarzenie to rozniosło się szybko po osadzie, i koło południa zebrał się cały aeropag sędziów.

— Trzy ćwierci do śmierci — powiedział któryś z kolonistów.

Inni też nie rokowali mu dojścia do siebie. Ale wszyscy czekali zdania Lazara. Ten się roześmiał.

— Wyżyje! Nie znacie jeszcze tutejszych zwierząt i ludzi. Z pozoru zdechlak, a przetrzyma więcej, niż tęgi.

A kiedy jeszcze krytykowali, przerwał im surowo:

— To jest pies! Co tu dużo gadać: to jest pies i koniec.

Kobuz patrzył zazdrośnie na ciężko ziejące zwierzę i obchodził go uważnie dokoła. Potem oglądali jego rany, których miał sporo.

— Polował! — powiedział z uznaniem Lazaro. A potem dodał. — Powinien się nazywać „Mundego“.

Nikt nie wiedział, co to znaczy, ale pies został istotnie nazwany „Mundego“.

Słońce przygrzewało coraz silniej, drzewa zazieleniły się nieco więcej, i spadały krótkie, obfite deszcze. Po tych oznakach miejscowi poznawali, że już jest lato.

Osadnicy pracowali teraz leniwie. Nauczyli się od miejscowych schodzić się na pogawędkę przy zielonej herbacie, którą pili w małej tykwie wydrążonej — „kujce“. Chodzili już teraz boso, zwłaszcza w dzień i po drodze, bo buty piekły niemiłosiernie. Nosili jednak stare swoje ubrania, oprócz może jednego Kobuza, który wyglądał prawie całkiem na „cabocla“, zwłaszcza że był znacznie ciemniejszy od gromady. Nosił olbrzymi

czarny kapelusz, czarną chustkę na szyi, „fakon“ za pasem i rewolwer.

Pracował teraz jeszcze mniej, niż inni. Albo siedział na fazendzie, albo włóczył się z Lazarem, albo pił „szimaron“ u Affonsa — z którym na nowo zrobiła się wielka przyjaźń.

Cmokali powoli zielony ukrop o stęchłej woni ziółek i podawali sobie kolejno tykwę, jak fajkę pokoju, aż któremuś zachciało się mówić. Wtedy inni spokojnie słuchali, lub przytwierdzali krótko: „é“.

Najwięcej gadał Affonso. I zawsze o interesach, albo o grze.

— Czy wy wiecie — perorował — co to jest gra w „bicho“? To jest wspaniała gra. Krótko mówiąc — loterja: stawiacie na jakieś zwierzę (każde ma numer) i czekacie losu. Trzeba — ma się rozumieć — grać mądrze, wróżyć. Jednemu kupcowi śniła się „onça“ — tygrys, a właściwie jego żonie. Postawił grubo i zrobił się miljonerem. Trzeba tylko dobrze trafić. Kiedy byłem w mieście, zawsze prowadziłem notatki, które zwierzę ile razy wyszło, ale teraz, tutaj...

Affonso machnął ręką. Po chwili znów ożywił się:

— A znacie grę „cachola“?

Lazaro i kilku innych znało, Kobuz — nie. Wykopali więc dołek, ustawili patyczek, jako dźwignię, i kładąc na jednym końcu jakiś drobny miedziak, uderzali w drugi koniec. Była to gra w „orła i reszkę“, ale obstawiona niektóremi jeszcze przepisami. Wszyscy przykucnęli i z zainteresowaniem śledzili mały pieniążek. Affonso stale wygrywał. Przed uderzeniem zadzierał głowę, czekając na natchnienie, a potem obwieszczał nagle i stanowczo:

— Cyfra! albo:

— Osoba!

Najwięcej przegrał Kobuz, który grał bez żadnego „systemu“ i jakby naprzekór losowi. Przegrana ta usposobiła do niego bardzo życzliwie Affonsa. Powiedział zresztą uspokajająco:

— Właściwie to grać trzeba inaczej. Grać trzeba jednym pieniążkiem, a stawiać na niego różne sumy. Można nawet bardzo duże. Wtedy oczywiście ma się szanse. Ja tak kiedyś wygrałem „conto“.

Niebardzo mu wierzyli, ale zdziwili się uprzejmie:

— Puxa! Barbaridade!

W tym przychylnym nastroju Affonso trwał

kilka dni, w trakcie których pojechał nawet na „lot“ Kobuza. Łazili tam dość długo i wbijali jakieś paliki. Kiedy wracali stamtąd, Affonso gadał już całkiem otwarcie:

— Pan rozumie, ja jestem człowiek zależny: kazali mi wyznaczyć panu ten „lot“, więc wyznaczyłem, choć oczywiście trochę to niełądnie. Ale jeżeli dzicy się uspokoją — będzie pan na czysto wygrany. Pański „lot“ jest grubo większy teraz, niż inne; styka się z jednej strony z fazendą...

— Z fazendą? — poruszył się nagle Kobuz.

— Tak — odpowiedział z wahaniem Affonso. — Bo ziemie Fabricia zachodzą łukiem i...

Kobuz już zresztą nie słuchał, myślał nad czemś i nie zauważył nawet, że Affonso wykłada mu nieoceniony i zupełnie pewny system gry w „bicho“.

Na drugi dzień, kiedy Kobuz wyprowadzał swego muła przez bramę — spotkał się ze starym Szukiem.

— Ja do ciebie. Chciałbym zobaczyć, jak tu i co. Dawno nie byłem.

— Zachodźcie — powiedział Kobuz.

— Jechałeś gdzie?

— Iii... tak, tam.

Przeszli przez bramę, która sama zamknęła się za nimi natychmiast.

— Co to? Sama się zamyka? — zdziwił się stary.

— Uhm — uśmiechnął się pod wąsem Kobuz. — Takie urządzenie zrobiłem: kółko z drzewa i kamień.

— No, no! Powiadali, żeś już machnął ręką na gospodarstwo.

— Jeszcze to będzie pierwsze gospodarstwo w kolonji — porywczo powiedział Kobuz. — Chodźcie, to wam jeszcze inne rzeczy pokażę.

Uwiązał muła i oprowadzał starego.

— To stępa wodna! — objaśniał z dumą. — Woda jest odprowadzana tem korytkiem, a tu jest taki kloc. Jak z jednej strony wody się nabierze w tę łyżkę — to kloc się przeważy. Jak się kloc przeważy — to woda się wyleje i kloc opadnie, a ma z drugiej strony tłuczek, co wchodzi w stępę. I tłucze.

Patrzył na starego, czy dość się zachwyca.

— A tu mam kładkę do podnoszenia przez rzekę. Jakby co — to można podnieść, i z tej strony nikt nie podejdzie.

— Sprytnyś... A ta kładka to niby... względem tych dzikich?

— A no, jakby się zdarzyło.

Szuk kręcił głową.

— A czemuż domu nie budujesz?

— Dobrze mi w „rancho“! — powiedział ostro Kobuz i umilkł.

Popatrzył jeszcze stary na pole, na mały ogródek przy „rancho“ i zaczął się żegnać.

— Zachodź przecie.

— Dziękuję. Wpadnę przy okazji.

Stary poszedł w stronę kolonji, a Kobuz czekał oparty na mule, aż zniknie na zakręcie. Potem ruszył tą samą drogą. Wtem zobaczył Messla, skręcającego z drogi w stronę domu Szuków. Zatrzymał się chwilę i naraz zawrócił muła w tę samą stronę. Messel był jeszcze na podwórku, kiedy wjechał tam Kobuz i rzucił mu wesołe pozdrowienie. Zlazł potem z muła i przyglądał się z rękoma w kieszeniach konikowi Messla. Ten czuł się nieco urażony tą inspekcją:

— A pan... pan woli osła — wyjąkał złośliwie.

— A jakże — potwierdził kpiąco Kobuz. — Ja wolę osła, niż psa.

I przechodząc, pociągnął wbok konika za wysoką barjerkę siodła miejscowego. Koń zatoczył się i omało nie przewrócił. Kwiknął więc złośliwie i wierzgnął bez przekonania.

— Nie ruszajcie konia! — zabełkotał czerwony Messel.

— Bo małom się o niego nie potknął...

Weszli razem do chaty. Szukowa przywitała Messla życzliwie i z wyróżnieniem. Do Kobuza zaś ledwie bąknęła coś niewyraźnego. Zato Weronka zaczerwieniła się sowicie, podając mu niezgrabnie rękę, którą przetrzymał żartobliwie, i miał już coś wesołego na języku, kiedy wpadł mu w oczy Mundego, leżący koło ognia. Puścił więc rękę dziewczyny i kucnął przy psie. Przysiadł się do niego i mały, ośmioletni Stasiek.

— Wygoił się — poinformował Kobuza z poważnem westchnieniem.

— Ino berny ma — podobnie odpowiedział Kobuz.

— A co to „berny“?

— To te robaki pod skórą.

— A czy one jego boleją?

— Pewnie.

— Franek!

— No?

— A tyś widział dzikich?

— Nie. A bo co?

— A oni mają „faczki“?

— Kto ich wie! Ale chyba nie.

— Bo mnie tatko obiecał kupić faczek i nie kupił...

— Kupi... A dzikie to mają łuki. Wiesz, co to?

— Nie..

— To ci zrobię taki.

Kobuz wyszedł z małym na dwór, nie widząc wlepionych w siebie przez cały czas oczu dziewczyny.

— Za-awsze bzik! — kiwnął w jego stronę Messel.

— At! — machnęła ręką Szukowa. — Dobra z niego nie będzie. Niby robi na swojem, ale tak tylko... kiedy mu się uwidzi. Czy to on chłop, jak inni? Czy to on da jeść kobiecie, albo dzieckom? Wiatr i tyle.

— Ba-ardzo odpowiednio! — pochwalił Messel. — Faktycznie, że niesolidny i nieod-powiedzialny.

— A jak panu idzie?

— Pójdzie, pójdzie... „Vendę“ otwieram.

— A toć słyszałam.

W tej chwili rozległ się stuk silny w ścianę tuż koło nich.

— Tera ja! Tera ja! — krzyczał Stasiek.

Szukowa wyjrzała z pasją i nie wytrzymała:

— Wstydziłbyś się, Franek! Stary chłop,

a bawi się z dzieciakami, jak głupi! Jeszcze dzieciak sobie oczy wykole!

Kobuz śmiał się szeroko, ale po chwili wrócił do izby.

— No, Weronka, nie boisz się dzikich? Może ci się już jaki przyśnił w nocy, he? U mnie choć w „rancho", a bezpieczniej. Jak będziesz się bała — to uciekaj do mnie.

— Też! bajesz byle co! — odpowiedziała czerwona.

Messel żuł coś w ustach, ale nie mówił nic. Po chwili wstał:

— Mam jeszcze interesy... Pojadę.

Kobuz został chwilę po jego wyjeździe, a potem się podniósł:

— No, czas i na mnie.

— Nie ostaniesz-to? — cicho zapytała Weronka.

— Mam tam swoje sprawy — odpowiedział nieuważnie. Pożegnał się byle jak i poszedł do muła. Stasiek kręcił się koło niego i przyglądał żarliwie. Wreszcie podniósł główkę do góry i po chwilowem wahaniu:

— Franek!

— A co?

— Podwieź mnie...

— Widzicie go! A matka cię nie zbije? — roześmiał się Kobuz.

— Ja ucieknę! — zapewnił z przechwałką Stasiek i gramolił się już po nodze Kobuza na siodło.

Za bramą Kobuz uśmiechnął się kpiąco do siebie i zagwizdał coś energicznie. Zsadził chłopca i popędził muła, który wpadł w swój zwykły skrocz. Po chwili wjechał na główną ulicę kolonji i, dojrzawszy gromadkę chłopaków, podjechał do niej:

— Como vae, panowie! — rzucił niedbale.

Niebardzo mu tam odpowiedzieli. Rozsunęli się trochę, bojąc się złośliwości muła, a któryś zapytał przesadnie uprzejmie:

— Do czarnego jedziesz?

— Lepszy czarny — mądry, jak rudy — głupi! — bryzgnął Kobuz, dojrzawszy w gromadce tego, co mówił.

— Nie dopytujcie go! — godził niby drugi. — Jak u niego służy, to musi mu świadczyć...

— Służysz to ty, boś u ojca za parobka! — warknął Kobuz. — A ja u siebie pan, wiesz?

— To pilnuj swego! — mruknął któryś.

Stali naprzeciw siebie i mierzyli się oczami, gdy podszedł Watras:

— Kobuz, jak się masz? — rzucił życzliwie. — Nie zjadły cię jeszcze „dziki“?

— Jeszcze mam Shmita! — buńczucznie odrzucił Kobuz.

— No, to chodź do Messla, ma już „cachas“ — wypijemy!

— No, to chodźcie wszyscy! — odpowiedział Kobuz. — Ja stawiam.

Mruczeli coś niewyraźnie, ale pokusa była silna — poszli. Messla nie było; urzędował jego syn, wyrostek jąkający się podobnie, tylko o wiele mniej mówiący. Podał im, milcząc ponuro, szklaneczki i nalewał, nie patrząc.

— Żeby wam się dobrze działo.

— I wam!

Wypili. Potem jeszcze raz. Nie zagryzali niczem — według miejscowego zwyczaju — i alkohol szybko szedł im do głowy.

— A ja — krzyczał Watras. — Ja... jak mi się znudzi — to pójdę w lasy i basta! Tu je każdy wolny, a ociec chcą, jak było w Starym Kraju. A ja mówię: nieeee!... No, powiedz Franek, czy nie? Bo każdy je wolny, na ten przykład...

Potwierdzali mu, bo ich wszystkich bolało to, i potroszę zaczęli zazdrościć Kobuzowi. A zazdrość ta miała coś z szacunku.

— Racja! — wołał któryś. — Franek, nie krzyw się! Daj pyska! Bo uważasz, powiadam ci... o! — wystawiał palec tajemniczo, ale zapomniał, co miał powiedzieć.

— Franek! uważasz?... Pójdziemy dalej i weźmiemy ziemię na siebie, bo jest dość. A jak nie — to na myślistwo.

W tej chwili gromadka jakaś zatrzymała się w drzwiach.

— Nasze chłopaki — rzuciła ze zgrozą jakaś babina. — No, i Kobuz ma się wiedzieć!

— A nie pójdziecie wy stąd, niedowiarki! — wrzasnęła druga. — Toż to niedziela święta, a wy tu z tym powsinogą... Ignac! ruszaj się do domu! Ojciec, nie powisz mu czego?...

Chłopaki burzyły się, ale powoli „venda“ pustoszała. Kobuz siedział cały czas rozparty i uśmiechał się wprost w twarz babom. Potem wstał i zapłacił nieskomplikowany rachunek. Zupełnie pewnym krokiem wyszedł na dwór i wsiadł na muła. Obejrzał się jeszcze za oddalającą się gromadą i zaświstał wesoło.

Potem ruszył w stronę fazendy.

Stary Fabricio przyjął go uprzejmie, ale wstrzemięźliwie i z godnością, jak zwykle, i już

zaczął przygotowywać szimaron, gdy weszła senhora Eliza.

Kobuz wymruczał pozdrowienie, ale senhora Eliza była w złym humorze.

Wbrew zwyczajom została w izbie i ciążyła nad rozmową. Stary Fabricio uśmiechał się z przymusem i pytał o różne błahe rzeczy.

— Czemu to senhor nie pilnuje swojego gospodarstwa? — zapytała nagle senhora Eliza nieprzyjemnym, nieco cudzoziemskim akcentem.

Kobuz popatrzył na nią przeciągle i milczał chwilę, potem rzucił:

— Teraz niema nic do roboty.

I zaraz potem dodał naprzekór:

— Chcę wam zaproponować interes, Fabricio. Chcę od was kupić ziemię. Kawałek ziemi — poprawił się.

Wbrew oczekiwaniu, senhora Eliza nie żachnęła się, spojrzała tylko uważniej swemi bladoniebieskiemi oczami. Fabricio zaś milczał politycznie.

— Pocóż panu ziemia? — odezwał się wreszcie cicho i uprzejmie. — Przecież pan ma sporo ziemi?

— Chcę mieć więcej — odpowiedział porywczo Kobuz i odwrócił się niechętnie. Nie zno-

sił tej starej, w jej wiecznie czystym, niebieskim fartuchu, szwendającej się ciągle po domu i podwórzu. Nie lubili jej zresztą i inni: przygaszała ona Fabricia, który stawał się nie do poznania w jej obecności.

— Bom — powiedziała wreszcie Eliza. — A senhor ma pieniądze?

Kobuz odpowiedział nie jej, ale Fabriciowi:

— Moglibyśmy zawrzeć umowę. Pieniądze będę miał, bo niedługo sprzedaję „fiżon".

— Tu, na miejscu? — spytał Fabricio.

— Nie, pojadę do Rio Negro.

— Ale poco panu ziemia? — upierał się stary.

Wmieszała się znowu Eliza:

— Każdy chce mieć lepiej, tylko u nas... — zrobiła pogardliwy ruch.

— Cóż chcesz? — nieśmiało zaprzeczył mąż. — Mamy filiżanki, meble, lampę...

— No, tak: lampę, ale to mało — mruknęła Eliza.

Lampa, z ohydnym różowym kloszem, była jej najulubieńszym sprzętem: odkurzała ją ciągle i — nigdy nie zapalała. Paliła się tylko mała lampka kuchenna. Coprawda, gdyby nie ona, Eliza, to kto wie, czy pieniądze Fabricia nie roz-

lazłyby się po świecie. Zbyt łatwo je pono zarabiał, aby miał szanować.

— No, to pogadamy jeszcze o tem — zgodził się wreszcie Fabricio.

Kobuz kręcił się jeszcze:

— Mieliście... właściwie mówiliście, że można będzie od was z jednego psa...

— Psa to można i zaraz... — wtrąciła Eliza. Ale Fabricio podniósł nagle głowę:

— Nie sprzedam psa. Nie mam na sprzedanie. Do polowania mi potrzeba.

— Do polowania! — pogardliwie przeciągnęła Eliza. — Tylko żywić trzeba tych darmozjadów.

Fabricio podniósł się:

— Słuchaj, Eliza — powiedział jej groźnym głosem. — Psa nie sprzedam.

— A rób sobie, co chcesz — wybuchnęła i wyszła z izby.

Fabricio siadł nagle, jak człowiek wyczerpany. Kiwał swoją rasową głową i patrzył w ziemię. Potem zwrócił się do Kobuza:

— Senhor! — powiedział z wahaniem. — Senhor jest mężczyzną. To znaczy prawdziwym mężczyzną. Powiem ci coś: żeń się wtedy, kiedy

już nie możesz wsiąść na konia, albo pójść z psami do lasu. To ja ci mówię.

Odsapnął chwilę i zatrzymał się, ale czuł potrzebę wygadania się:

— Senhor! Jesteś obcy i nie słyszałeś może, kto to był Fabricio de Vieria... Rządy dwóch stanów opłacały mnie podczas rewolucji, żebym był neutralny. Ludzie, których spotkałem na drodze — płacili mi za to, że pozwoliłem im jechać dalej. Mógłbym dużo opowiadać... Potem zrobiłem głupstwo. A teraz tylko dla dziecka...

Pierwszy to raz wspomniał Fabricio, że ma dziecko. Nikt o niem nie wiedział. Kobuz patrzył na Fabricia chciwie i teraz dopiero rozumiał, dlaczego ten stary tak nie pasował do niemieckiego fajansu swojej żony. Był stworzony do siodła i broni.

— E vida! — To jest życie! — powiedział po chwili Fabricio i dodał. — Nie gniewaj się, senhor, ale psa nie sprzedam. Jeśli chcesz ziemi — kupuj. Siedź na niej i sadź, chociaż to kiśnięcie, nie życie. Ale psa — nie.

Kobuz stał długo przed fazendą i poświstywał cicho. Wreszcie ciężko przerzucił nogę przez siodło i kolnął muła ostrogami.

Jechał stępa, z opuszczoną głową, kiedy usły-

szał czyjeś kroki. Był to Messel. Obaj zawahali się chwilę, ale potem dotknęli kapeluszy.

— Z fazendy? — zająkał się złośliwie Messel.

— Uhm.

— Cóż? — Stary próżnuje, a Szwabka się dorabia? — zapytał dalej Messel, który zawsze wszystko wiedział.

Kobuz wbrew woli odpowiedział w zamyśleniu:

— On powiada, że siedzenie na ziemi to kiśnięcie.

— Hm — wykrzywił się Messel — jemuby smakowało jeszcze bandyctwo, ale to z punktu widzenia faktycznego — tylko, ma się rozumieć — szkodnictwo i nic więcej. Bynajmniej nic więcej. A co do kiśnięcia...

— To co? — zatrzymał się jeszcze Kobuz.

— To... wy... — mówił powoli, z widoczną przyjemnością Messel — to wy tam, na swoim „locie“, koło tych Indjanów, chyba... nie będziecie kisnąć...

Kobuz niespodziewanie roześmiał się szeroko.

— Tak — powtórzył — ja tam, na swoim „locie“... Ma się rozumieć! Dowidzenia!

— Głupiec — powiedział prawie głośno Messel, gdy Kobuz ruszył dalej.

Senhor Affonso kręcił się od pewnego czasu po osadzie, przejęty wielkiemi planami finansowemi, i prowadził tajemnicze narady z tymi, którzy mieli już coś na sprzedanie. Niewielu ich coprawda było. Jeżeli nawet ten i ów zebrał pierwszy fiżon — to pieścił się z nim, jak ze skarbem, a musiał przecież pamiętać i o tem, żeby coś zostawić i dla siebie.

Na wikcie bowiem, który dostawało się na kwity Kompanji, trudno było utyć. Mimo skutków dość mizernych, Affonso miał twarz uroczystą i tajemniczą.

— Właściwie chodzi tylko o to, aby zacząć! — zwierzał się Kobuzowi. — Szczęście ma to do siebie, że rzadko przychodzi do nędzarza. Trzeba mieć stawkę, z którą można siąść do gry.

Koniec końców obładował Affonso kilka mułów Kompanji skupionym fiżonem i postanowił ruszyć w podróż.

W ostatniej niemal chwili okazało się, że będą odbywać podróż razem z Kobuzem.

Affonso był nieco nadąsany z tego powodu na Kobuza:

— Ach, więc tak? — mówił mu z goryczą. — Dlatego pan nie chciał mi sprzedać swego fiżonu. Więc pan wiezie sam swój fiżon?

Wydawało mu się, że psuje mu ktoś bezprawnie zabawę, którą sobie wymyślił. Ponieważ jednak weselej mu było jechać w towarzystwie — rozchmurzył się szybko:

— Wiesz pan? — zająknął się niepewnie. — Nie lubię lasów. Nie dlatego, żebym się bał, nie! Ale, widzisz pan, ja jestem stworzony do życia w mieście. Tam, rozumiesz pan, jest życie, wesoło: ruch, interesy, znajomi, elegancja... A tu?... No, przyznaj pan, czy tu może żyć człowiek, który lubi elegancję? A las — hm... Nie dowierzam ja lasom... Pomyśl pan — jedno ukąszenie głupiej żmii i giniesz pan, bez pożytku, djabli wiedzą poco. Albo dzicy. A nawet wystarczy „bicho da pe“. Czy pan nie uważa, że to jest ohydne? Ile razy poczuję swędzenie pod paznokciami nogi — robi mi się zimno.

— Trzeba myć nogi w gorącej wodzie — powiedział Kobuz.

— Zapewne... Ale to jest jednak mocno kłopotliwe — westchnął elegant. — A potem te inne paskudztwa: kleszcze — zwłaszcza te minjaturowe, „migui“, te obrzydliwe „berny“, osy, trzmiele... djabeł wie co! I wogóle sam las. Człowiek ma takie uczucie, jakby nigdy nie miał się wy-

plątać z tego wszystkiego. Nie uważa pan, że miasto jest przyjemniejsze?

— Nie — odpowiedział Kobuz.

— Nie? — ze zdziwieniem powtórzył Affonso.

— Nie. Tu człowiek jest wolny. Tu jest swoboda. Tu dziko — tłumaczył nieudolnie a jakby ze złością Kobuz. — A w mieście... Miasto jest obrzydliwe.

— No, no — śmiał się Affonso — Zabawne.

— Ile razy jestem w mieście — tęsknię do lasu.

— Zabawne, doprawdy. Pan jest zabawny człowiek, senhor Chico! Ja zaś przeciwnie: ile razy jestem w lesie, tęsknię do miasta. Nienawidzę lasu!

— Nie mów pan tak, jak przez las jedziesz — zażartował Kobuz.

— Racja! Słowo daję! racja! — poważnie szepnął Affonso i zrobił „figę“ z ręki dla odwrócenia uroku.

Po chwili dopiero podjął rozmowę, ale cichszym głosem:

— Zabawne: pan nie lubi miasta, a lubi las — tak? A przecież pan walczy z lasem — dla miasta.

— Jakto?

— Tak. Pan i pańscy rodacy wytniecie lasy,

potem tam będzie kolonja, w „sede“ — w siedzibie kolonji zrobi się powoli miasteczko, potem miasto, a lasu nie będzie.

Kobuz otworzył usta, ale nic nie powiedział. Myślał o tem, co powiedział Affonso, i sprawiało mu to przykrość. Rzeczywiście — tak jest: wytnie się las — będzie kolonja... Ludzie się pożenią, będą dzieci, kury, prosięta... Jak u Elizy. Będzie różowy klosz, fajans na kredensie... I przecież — doprawdy! — wygląda na to, że oni tu poto przyszli. Że przyszli dorabiać się do fajansu, do różowego klosza, do miasteczka w „sede“, do dzieci i prosiąt... Baby zapanują nad chłopami.

Póki się jechało przez nowe, dzikie okolice — baby były cicho. Szukały obrony pod ręką mężczyzny i były posłuszne, a skoro tylko jako tako zrobiło się spokojnie — podniosły głowy i zaczęły się rządzić.

Taka Eliza naprzykład. I Szukowej też nic nie brak. I inne. Jak one wyrzuciły wtedy chłopaków z „vendy“!... I chłop się poddaje, ustępuje, babieje. I ci zbabiali najbardziej nienawidzą tych, co zostali chłopami. Jak jego naprzykład...

Tu Kobuz wyprostował się na siodle i uśmiechnął swoim zwykłym, zarozumiałym uśmieszkiem.

— Ale tymczasem — powiedział — tymcza-

sem jest las, jest karczunek, spanie w „rancho“, jest polowanie, są... dzicy.

— Spanie w „rancho“... Dzicy... — powtórzył Affonso i naraz wybuchnął śmiechem. — Żartowniś z pana! Myślałem, że pan tak na serjo, a pan z ironją... O, ja rozumiem się na tem!

Kobuz się żachnął, ale nic nie odpowiedział.

Wychylali się coraz bardziej z lasu, i droga rozszerzała się im coraz bardziej. Widać było na niej dość liczne ślady kopyt, a nawet i kół. Spotykało się od czasu do czasu ścieżki wbok, miejsca po ogniskach i resztki jedzenia. Czuło się bliskość człowieka i senhor Affonso nabierał lepszego humoru. Wreszcie ujrzeli zgóry wody Iguassu i ludzkie siedziby.

— Rio Negro! — entuzjastycznie wygłosił Affonso.

— Siń! — potwierdził bez przekonania Kobuz.

W mieście rozstali się. Kobuz starał się pominąć milczącego i znudzonego Syryjczyka przy sprzedaży fiżonu, ale okazało się to prawie niemożliwe: on był dyktatorem finansowym rynku, i wreszcie Kobuz, machnąwszy ręką, sprzedał mu swój fiżon.

Następnego dnia zjawił się w „vendzie“ Affonso z nieco kwaśną miną i począł również trakto-

wać z Syryjczykiem. Długo szeptali coś i milczeli godzinami, aż wreszcie poszli do pokoiku za „vendą“. Kiedy Affonso wrócił stamtąd, przysiadł się zgnębiony do Kobuza:

— Drugi raz mnie już naciągnął ten niewierny!... — wysyczał, przewracając białkami. — Czy wiesz pan, że im religja nakazuje obdzierać wszystkich chrześcijan? Właściwie zdumiony jestem, że nasz rząd pozwala na przyjazd tym bandytom! Naciągnął mnie w sposób niesłychany! Nie-sły-cha-ny, powiadam! To wprost nadaje się do sądu!

Jeżeli Affonso pozbawiony był genjuszu handlowego, dość częstego w jego rasie — to zato nie ustępował żadnemu ze swych rodaków w talencie krasomówstwa i przesady.

Coraz głośniej perorował teraz na temat handlu w „interjorze“ i dowodził, że panują tu rozbójnicze zwyczaje.

Kobuz prędko znudził się tem jednak i przerwał mu:

— Ja mu sprzedałem za tę samą cenę.

— Tak? — Affonso namyślał się chwilę, poczem prawie bez żadnego przejścia począł się chwalić:

— Mówiłem panu, że trzeba tylko zacząć.

Teraz zarobiliśmy nieźle i możemy próbować szczęścia dalej. Teraz nam już powinno pójść. Coby pan powiedział, gdybyśmy tak zagrali w „cacholę“?

— Dobrze, spróbujmy się z losem! — roześmiał się Kobuz.

Podeszło jeszcze kilku obdartusów, z których niejeden zrobił może niedawno interes na kilka tysięcy milrejsów, lub był właścicielem sporego szmatu ziemi. Nikt tam nie stara się bowiem imponować strojem i solidarnie utrzymuje demokratyczną równość w niedbalstwie.

Wynaleźli odpowiedni kijek, zastrugali go i w podnieceniu pokucali na środku „vendy“.

Ale leniwy Syryjczyk zaprotestował:

— Ja nie zgodziłem. Ja proszę nazewnątrz — jąkał nieudolną portugalszczyzną. — Potem skandal. To źle dla „vendy“.

— Uuu! desgrasado! — mruknął Affonso, ale wyszli wszyscy, nie mając ochoty pertraktować z gburem.

— Gramy pokolei i stawiamy, ile kto chce.

— Dobrze, już dobrze! Zaczynać! — niecierpliwili się.

— I gramy jednym moim pieniążkiem!

Affonso zwrócił się do sąsiada, dość ciemnego mulata w obfitem „poncho“:

— Dwa milrejsy?

— Esta bem! — odpowiedział tamten niedbale.

— Co senhor wybiera?

— Cyfra — odpowiedział z całą pewnością tamten.

Affonso położył pieniążek na jednym końcu i silnie uderzył w drugi koniec drewienka, opartego na poprzeczce. Pieniążek wyskoczył wgórę. Rozstąpiono się z szacunkiem przed tym niepozornym gońcem losu i, nie dotykając go, nachylono nad nim.

— Osoba — powiedział spokojnie Affonso, wyjmując go z piasku.

Mulat w „poncho“ wyjął z za pazuchy pomięty banknot i krzyknął w stronę drzwi „vendy“:

— Troca! — Zmień!

Widok pieniędzy podniecił ich jeszcze bardziej. Wszak pieniądz to symbol wszelkiego dobra, wszelkiego łupu.

— Cztery milrejsy! — krzyknął Affonso do następnego.

Wygrał i teraz. Stawiał jednak wszystko, co wygrywał, i stawka podwajała się błyskawicznie.

W pewnej chwili zawahał się nieco i cofnął połowę wygranej. W tym rzucie przegrał wszystko do poważnego riograndeńczyka w wysokich, za kolana, butach.

— Dobrze gra! — rozszedł się pochwalny szept.

„Bank“ przeszedł do następnego. Ten jednak zaczął od pięciu milrejsów i dwa razy cofał wygraną, operując tylko początkową stawką. Przegrał za trzecim razem, nie wywołując żadnego wrażenia. Trzecim był Kobuz.

Kiedy zwrócił się do pierwszego zkolei, do Affonsa, ten, nie czekając propozycji, zawołał:

— Dziesięć!

Kobuz kiwnął głową. Rzucił pieniążek i Affonso przegrał.

Teraz stawka zaczęła się stawać już zupełnie poważna.

— Dwadzieścia! Czterdzieści! Osiemdziesiąt! — wywoływali spokojnie, ale nieco zachrypniętemi głosami.

Wreszcie Kobuz powiedział:

— Sto sześćdziesiąt! — obejrzał się dokoła. Na chwilę zapanowała cisza.

— Trzymam! — krzyknął nagle Affonso.

Przegrał znowu. Kładli teraz na kupkę banknoty i przyciskali kamykami.

— Trzysta dwadzieścia.

— Trzymam jeszcze raz! — cicho powiedział Affonso. — Osoba!

Rzucili się wszyscy do pieniążka i wołali razem:

— Osoba! Osoba!

Affonso wygrał. Wszyscy gadali teraz jednocześnie, jakby im spadł jakiś ciężar z piersi.

Następny bankier zaczął od dwóch milrejsów, czem wywołał uśmiechy politowania. Bank przechodził z ręki do ręki, i nie było ciekawej gry, dopóki nie przeszedł w ręce Affonsa.

— Dziesięć! — spokojnie ogłosił.

Obszedł wszystkich dokoła, przyczem Kobuz przegrał czterdzieści milrejsów. Teraz szedł drugi raz dokoła. Ludzie zaczęli się wahać, bo bank był większy od poprzednich: sześćset czterdzieści milrejsów.

— Zmienić pieniążek! — krzyknął któryś.

— Z jakiej racji? — zbladł Affonso. — To jest psucie gry. Sami się zgodziliście!

Zwrócił się do Kobuza:

— Chico, trzymacie?

— Trzymam!

Wszyscy wstali z miejsc i rozstąpili się.

— Perdeu! Przegrał! — powiedział zjadliwie mulat w „poncho".

Rzeczywiście, Affonso przegrał, ale nie chciał wierzyć w odwrócenie się weny.

— Jeszcze raz! — zawołał.

— Możecie nie przyjąć! — powiedział znowu ten sam osobnik.

— Przyjmuję — odpowiedział Kobuz.

— Więc tysiąc dwieście osiemdziesiąt?

— Tak.

Affonso znowu przegrał. Był zupełnie blady, gdy wyciągał z innej, niż dotąd, kieszeni pieniądze w nowej kopercie.

— O to, co tu jest.

— A ile tu jest?

— Dwa „conta". (Tysiące).

Kobuz kiwnął głową i zaproponował:

— Może wy wolicie rzucać?

Obecni zamienili spojrzenie uznania. Affonso przyjął to ustępstwo. Przy pierwszym rzucie pieniążek oparł się o jakiś mały kamyczek i stanął sztorcem. Ludzie pocili się z emocji.

— Cyfra! — krzyknął jakimś dziwnie piskliwym głosem Affonso.

— Osoba! — odkrzyknęli mu ci, którzy pierwsi się nachylili.

Affonso spokojnie oddał kopertę Kobuzowi, który, nie licząc — wsunął ją do kieszeni.

— A teraz chodźmy to zapić! — nieszczerze zażartował Affonso.

Mulat w „poncho“ przesunął się koło Kobuza i mruknął:

— Cuidado! — Uwaga!

— Oszust! — zapiał nagle Affonso i strzelił.

Kula obtarła się o ramię i drasnęła Franka lekko. Natychmiast we wszystkich rękach zjawiła się broń. Ale Affonso cofnął się: jego pistolet „picapau“, który dostał od Kobuza — zaciął się przy drugim strzale, a Kobuz miał już w ręce Shmidta.

Affonso cofał się powoli, aż nagle rzucił się wtył i zniknął. Rewolwery wróciły do futerałów, i zaczęła się pijatyka. Nad ranem towarzystwo zdecydowało się wreszcie siadać na konie, co nie było zresztą tak łatwem przedsięwzięciem.

Kiedy wreszcie wgramolili się na siodła, mulat w „poncho“ podjechał do Kobuza i z wysiłkiem powiedział:

— Zostawać tu dla pana niedobrze, bo sprzątnie pana Virgilio, a jechać także niebezpiecznie,

bo po drodze napadnie pana Affonso. Chciałem to już dawno panu powiedzieć, ale zapomniałem...

Kobuz chwiał się nieco na siodle, ale odpowiadał dość wyraźnie. Naprzód mówił do mulata, a potem, kiedy ten się gdzieś podział — do siebie.

— Gwiżdżę na wszystko, rozumiesz, senhor? Mam las, mam pieniądze i nie boję się nikogo. Mam Shmidta, uważasz pan?

Potem jechał, nie wiedząc dobrze, dokąd. Drzemał trochę, a kiedy się obudził — okazało się, że jedzie razem ze wszystkimi w stronę przeciwną od kolonji. Pili potem jeszcze w innej „vendzie", po drugiej stronie rzeki. Aż wreszcie po dwóch dniach — kiedy oprzytomnieli nieco wszyscy, pożegnał się i pojechał zpowrotem.

— Uważajcie dobrze na boki! — radzili mu na pożegnanie.

Przez Rio Negro jechał umyślnie powoli, ale było jeszcze bardzo wcześnie, i nie spotkał nikogo. Na skraju wsi zobaczył jakiegoś człowieka i zapytał po zwykłych przywitaniach:

— Czy senhor Affonso przejeżdżał tędy?

— Oho, dwa dni temu.

— Wyczeka się dobrze, jeżeli na mnie czeka — mruknął z uśmiechem Kobuz i popędził muła.

Mimo, że oglądał się uważnie — nic podejrzanego nie spotkał, ani nie zauważył.

— Czeka na mnie w kolonji — pomyślał.

Ale Messel, do którego „vendy“ podjechał przy wjeździe do kolonji, oświadczył z całą pewnością, że Affonso jeszcze nie przyjechał. „Absolutnie“.

* * *

Jakim sposobem rozszerzają się wieści w krajach półdzikich, gdzie nikt nie słyszał o telegrafach i telefonach, a list idzie miesiącami — tego nikt chyba jeszcze nie zbadał. Faktem jest jednak, że w kilka dni po tych wypadkach w fazendzie zjawił się Lazaro i po kilku słowach przywitania oświadczył ze spokojną pewnością:

— A Affonso zginął.

Fabricio tylko podniósł brwi, ale Kobuz, który od kilku dni siedział na fazendzie, pertraktując zawzięcie ze starym — podniósł się mimowoli z ławki:

— Jakto? Jak zginął?

— Ot, tak: zginął. Desapareseu — powtórzył Lazaro. — Może pojechał gdzieś daleko, może go zabili, a może zjadł go las.

— Zjadł go las... — powtórzył bezbarwnie Kobuz.

— Teraz pewno przyjedzie tu senhor Otto — powiedział Lazaro — ale to jeszcze niewiadomo.

Po kilku dniach jednak i to „było wiadomo“. Lazaro przycłapał się na swoim koniku na „lot“ Kobuza z tą wiadomością:

— Przyjeżdża dyrektor — poinformował go. — I zapewne do pana będą się czepiali. Niech się pan ma na baczności.

— Dobrze, a skądże to „wiadomo“? — zniecierpliwił się nieco Kobuz.

— Wiadomo — uśmiechnął się pobłażliwie Lazaro. — Tak mówią.

— Czy kto przyjechał z Czarnej Rzeki?

— Nie... tak, wogóle słychać.

— A czemuż mnie mają się czepiać?

— Mówią, że graliście z nim w „cacholę“, że on przegrał dużo pieniędzy i to nieswoich, że on potem do was strzelił, i że rozstaliście się z nim w niezgodzie. Więc... tak to wygląda.

— A nie „mówią“ — uśmiechnął się krzywo Kobuz — że on wcześniej wyjechał?

— Mówią — spokojnie potwierdził Lazaro. — I właśnie, gdy was napadł, mogło mu się nie poszczęścić...

— „Bolas“! — Bajki! — machnął ręką Kobuz.

— Zapewne — potwierdził bez przekonania

Lazaro. — Ale, senhor Chico, miejcie się na baczności. „Oni“ was nielubią.

Kobuzowi zaświeciły się oczy, i powoli zbliżył się do Lazaro:

— I ja ich nielubię — powiedział powoli.

— Pois é! — pośpiesznie zrozumiał Lazaro.

Dyrektor Reich przyjechał głośno i uroczyście. Zajechał do nowo zbudowanego domku, postawionego naprzeciwko Messla, i roztasował się możliwie najwygodniej. Zaczęła się krzątanina, bieganie posłańców, koloniści ze swej strony chodzili wyjaśniać różne sprawy, wreszcie fala nowej władzy doszła do Kobuza:

Siedział właśnie przed swojem prymitywnem rancho i strugał kije na pułapkę, przeznaczoną na wypadek najazdu „tatetu“, małych świnek dzikich, które zniszczyły kawał pola jednemu z Watrasów, gdy na ziemię przed nim padł cień ludzkiej postaci. To Virgilio potrafił podejść tak cicho, co Kobuz postanowił sobie zapamiętać. Podniósł jednak powoli głowę i, udając, że nie widzi ironicznego uśmieszku murzyna — wstał, zapraszając go do wnętrza.

— Dziękuję — powiedział tamten lekceważąco. — Przychodzę z poleceniem. Excellentissimo Senhor Director wzywa pana do siebie.

Kobuz patrzył na jego sinawe dziąsła, odsłonięte w uśmiechu, i czuł, że mu tężeją mięśnie, jak u psa, który, obchodząc na sztywnych nogach przeciwnika — gotuje się do walki.

— Od dyrektora do mnie jest tak samo daleko, jak ode mnie do dyrektora — powiedział cicho.

Murzyn przestał się uśmiechać. Patrzył na niego zpodełba i myślał. Nie mógł jednak nic wymyślić i mruknął tylko:

— Isso vamos vêr! — To zobaczymy.

Poczem odwrócił się i szybko odszedł.

Kobuzowi trzęsły się ręce, gdy siodłał swego muła. Ale nie mógł sobie odmówić przyjemności wykonania pomysłu, który mu przyszedł do głowy. Wolnym krokiem pojechał przez kolonję, niby nie widząc zgorszonych spojrzeń kobiet starych, a nieśmiało zachwyconych błysków wśród młodych. Chłopy przystawały i patrzyły za nim z niewyraźną miną, kręcąc głowami. Wiedziano, że na coś się zanosi.

Kiedy przejeżdżał koło domku Reicha, ten uśmiechnął się z wyższością, dojrzawszy go przez okno, i wyszedł na ganek. Ze zdziwieniem zrozumiał jednak po chwili, że Kobuz nie jedzie bynajmniej do niego: minął go bowiem, grzecznie się ukłoniwszy, i nawet zapytał:

— Como vae, dotto? — przekręcając żartobliwie z „caboclerska“ tytuł „doktora“, który w „interjorze“ należy się każdemu, o ile nie woli rangi „coronela“.

Dyrektor nic nie odpowiedział i patrzył tylko za Kobuzem, który jechał do fazendy.

Kiedy wjeżdżał już do bramy, naprężenie opadło go zupełnie, i śmiał się wesoło, gdy witał się z Fabriciem, który również był w doskonałym humorze. Po chwili dopiero okazała się przyczyna tego dobrego humoru:

— Moja kobieta — powiedział, siląc się na bezbarwność tonu — pojechała do Rio Negro po sprawunki. Pieniądze, te od pana, zabrała oczywiście wszystkie. Będzie kupować świnie, czy coś podobnego.

— Aha! — śmiał się Kobuz.

— Nawet nie wie, że są fałszywe — dodał po chwili z uśmiechem.

— Jakto fałszywe? — zerwał się Kobuz.

— To pan nie wiedział? — zdziwił się zkolei Fabricio. — Dwa „conta“ było fałszywych. Ale to nic — pójdą... Mój Boże, żebym ja miał teraz te wszystkie fałszywe pieniądze, które puściłem w obieg...

— To ten łajdak Affonso! — szarpnął się Kobuz.

— Tss!... Mówię, że nic nie szkodzi. To zupełnie zwyczajny proceder. Kupuje się po tańszej cenie i zarabia na tem tak, jak na każdej innej rzeczy. Widać, że pan nietutejszy. Jedna z największych fortun w Kurytybie wyrosła na tem. Przysyłali mu z zagranicy — w ołówkach. No i cóż? — sprytnie zrobił, więc należy mu się. A i inni na tem zarobili...

— Ale żeby tak...

— I nawet dobrze zrobione. To nie musiały być jego pieniądze. A tu jeszcze nie znają się na tem — pójdą, jak nic. Myślałem, że to pan taki obrotny, żeby mnie, starego wróbla... Dopiero na drugi dzień przyjrzałem się. Ale cóż? — moja wina, więc nic nie mówiłem.

— Ech, młody człowieku, nie takie rzeczy się robiło za starych, dobrych czasów! Bywało i tak, że w oczach „vendzisty“ rysowało się byle jak pięćset milrejsów i kazało mu się „zmieniać“ na drobne. Ale teraz!... mam ziemię, mam kury, będą świnie.

— Jest polowanie — niepewnie powiedział Kobuz.

— To jeszcze nie jest to! — westchnął stary.

Nagle Kobuz przypomniał sobie całe zajście z Reichem i opowiedział je Fabriciowi, który chłonął je całą postacią:

— Bardzo interesujące! — powiedział wreszcie. — To się nie skończy bez małej historyjki... W każdym razie, gdyby coś takiego... to niech pan pamięta, że jabym jeszcze mógł...

Siedział u niego Kobuz dwa dni, podczas których upolowali — zresztą prawie wypadkiem — dzika miejscowego i piekli go sobie właśnie wprost przy ogniu, gdy rozległo się przed bramą klaskanie w dłonie.

Stary wyjrzał przez okno, następnie cofnął się i zdjął ze ściany pas z rewolwerem, który zapiął pod kurtką, poczem wyszedł przed dom. Za nim wyszedł Kobuz.

Przed bramą stało kilku konnych: Virgilio i żołnierze, Joségo nie było jednak.

Virgilio był nieco stropiony: wywoływać kogoś z prywatnego domu z podobnemi zamiarami, jakie Dyrekcja miała w stosunku do Kobuza — było czemś niezbyt przyjętem w Brazylji. To też plątał się w górnolotnym stylu i tłumaczył, że nie chodzi tu o nic więcej, jak tylko o udzielenie pewnych informacyj o nieszczęśliwym Affonso, którego Dyrekcja ma zamiar kazać szukać.

Kobuz stał długo, smakując niewyraźne milczenie, które zapadło po przemowie murzyna, aż wreszcie powiedział wyraźnie:

— Słuchaj, Virgilio! Mógłbym nie pojechać, ale właśnie mi się tak podoba i pojadę.

Fabricio spojrzał na niego ze zdumieniem, widząc, że nie orjentuje się zupełnie w sytuacji. I kiedy wrócili się do domu, i Kobuz brał swój kapelusz, Fabricio nie wytrzymał:

— To jest głupie — wybuchnął. — Pan myśli, że oni pana będą pytać, czy nawet sądzić? Zatłuką pana po drodze i powiedzą, że rzuciłeś się na nich lub chciałeś uciekać!...

Kobuz się uśmiechnął:

— Ja już dawno mam chrapkę na awanturę z tem bydlęciem! Podobno go nie ima się żadna broń — chciałbym to zobaczyć...

Fabricio patrzył na niego i powiedział półgłosem:

— Albo pan jest zupełnie nieopatrzny i dziecinny, albo...

— Albo?

— Albo z pana wyrośnie prawdziwy „valentào“.

— Hm...

— Jednak — dodał po chwili — ja nie radzę.

Dziś specjalnie. To jest na pewno bardzo dobrze pomyślane i przewidziane.

Kobuz jednak już wychodził. W tym momencie uchwycił ostatnie konspiracyjne spojrzenia między Virgiliem i pozostałymi. Trudno było mieć jakiekolwiek wątpliwości.

Już siadał na konia, kiedy do fazendy podjechał jeszcze jeden konny. Był to Lazaro na swoim koniku, który w tej chwili był zgrzany tak, jakby był wyjęty z wody. Zeskoczywszy z konia — zatoczył się prawie i szedł w stronę domu z przekrzywioną twarzą.

— Desastre! — Katastrofa! — wychrypiał wreszcie.

— Co? Jak? Gadaj!

— Botokudzi...

Złapał się za ramiona Fabricia i Kobuza, jakby się bał upaść, i łykał z wysiłkiem ślinę. Trzęśli go ze złością, żeby wreszcie coś do rzeczy gadał.

— Szuk! — bełkotał. — Cała rodzina Szuka wymordowana!

Kobuz pchnął go od siebie z taką siłą, że Lazaro zatoczył się pod płot. Następnie Kobuz skoczył do swego muła i, nie podciągając nawet popręgów, kolnął go dziko ostrogami. Muł kwiknął i wierzgnął, ale zrozumiał, że gospodarz jest zły,

i wydobył z siebie wszystkie siły. Kobuz wypadł za bramę i uderzył piersiami wierzchowca konia Virgilia. Ryknął przytem „nabok!“ z taką złością, że zrobili mu błyskawicznie drogę, a on już leciał do kolonji.

Virgilio po chwili podał się naprzód, jakby do gonitwy za nim, ale powstrzymał się i mimowoli obejrzał się na Fabricia. Stary patrzył na całą scenę z rozdętemi nozdrzami i uśmiechał się łakomie. Potem spojrzał uważnie w twarz Virgilia i kpiąco ostrzegł:

— E um bicho! — To jest numer!

Virgilio mruknął coś bez przekonania, a Fabricio dodał surowo:

— Ja ci to mówię: uważnie z nim.

Grupa jezdnych powoli obróciła konie i wracała do kolonji, nie śpiesząc się zresztą zbytnio wobec możliwości otrzymania rozkazu pościgu za Indjanami. Po chwili Lazaro wstał i podszedł także do swego konika.

— Dokąd? — spytał go Fabricio, budząc się z zamyślenia.

— Tam... — westchnął tamten, pokazując ręką w nieokreślonym kierunku.

Fabricio zrozumiał i, pomyślawszy chwilę, powiedział z uznaniem:

— Zaczyna tu być ciekawie.

* * *

Chata Szuków przedstawiała straszny widok. Kilka ubogich sprzętów, które się tam znajdowały — były rozbite w drobne kawałki, drzwi — wyłamane, na podłodze — plamy krwi. Przed chatą stała już gromadka osadników i szeptała w podnieceniu. Kobuz ułamkiem oka zobaczył Messla, który coś perorował w sporej gromadce. Spojrzeli na niego dość życzliwie i jakby ze współczuciem: był przecież najbliższym sąsiadem Szuków, i czekało go zapewne to samo. Sprytnie zemścił się dyrektor Reich!

W pierwszej izbie trupów nie było, zato druga izba, świetlica, przedstawiała widok dziwaczny i straszny: pod ścianą pousadzani byli wszyscy mieszkańcy chaty w niedbałych pozach i patrzyli szklanemi oczami. Kobuz stał, i zimny strach jeżył mu włosy od karku. Naraz wydało mu się, że Weronka poruszyła się.

— Co to? — wrzasnął na całą chatę. A potem do ludzi kupiących się we drzwiach. — Czemu nie ratujecie ich? Może przecie w którym duch się kołacze?

— Munde-ego! — zająknął się Messel, wskazując na psa.

— Właśnie — pies! Wściekł się pewnie! — potwierdzili inni.

Mundego leżał tuż koło pobitych. Tylną częścią ciała na bok, nienaturalnie i bezwładnie, ale całym przodem wpogotowiu i postawie obronnej. Oczy mu się chwilami szkliły, to znowu przejaśniały. Kobuz podszedł do niego i kucnął obok:

— Dobry pies, dobry — mruczał przez ściśnięte nagle gardło. — Bronił gospodarzy, bronił?

I dzielny Mundego, jak mężczyzna, który trzyma się ostatkiem sił do przybycia pomocy, a potem pada — zaczął zwisać Kobuzowi na rękach.

Kobuz rozejrzał się bezradnie, i znowu mu się wydało, że Weronka się ruszyła. I inni też to zauważyli. Ostrożnie zbliżali się osadnicy do osób, usadzonych złośliwie pod ścianą. Podchodzili nieufnie i przyglądali się, dotykali, doszukiwali resztek życia.

Weronka żyła istotnie, choć dawała tylko słabe oznaki życia. Kiedy zaś układano trupy jeden obok drugiego na podłodze, stary Szuk jęknął poprzez krwawe sople wąsów.

— Żyje, żyje — poszło szeptem po izbie.

Teraz zjawiły się już baby i wypchnęły chłopów z izby. Starego Szuka i Weronkę położono

na tapczanach, a trupy wyniesiono za chatę i zaraz zaczęto kopać dół.

Nie mówiono do siebie nic, wszystko to stało się zbyt nagle, i jeszcze nie przypuszczano, żeby to nieznane a wielkie niebezpieczeństwo — Botokudzi, objawiło się tak realnie i tak blisko.

Okazało się jednak, że Szukowi mało co się należy. Wszystko w nim chrypiało wewnątrz i tarło się, jak w zepsutej maszynie. Zeszli się więc poważnie do chaty, żeby przecież sam nie umierał.

Stała długa, duszna cisza. Wreszcie Szuk otworzył oczy i spytał szeptem dziwnie świszczącym, który słychać było w całej izbie:

— Żyje które?

— Żyje. Weronka — odpowiedziała, chlipiąc, jedna z kobiet.

Szuk zamknął oczy i oddychał ciężko, potem znów otworzył oczy i szukał czegoś po izbie. Napotkał rozszerzone i oszalałe oczy Kobuza i uśmiechnął się słabo, jakby odpowiadając im.

—- Kto ich teraz złapie, Franek? Nawet nie myśl...

A po chwili Szuk spojrzał na izbę i powiedział swoim strasznym szeptem:

— Ludzie chrześcijańskie... Na świadki was

biorę, jako wszystko, co mam... Frankowi Kobuzowi...

— Co ja? — szarpnął się wściekle Kobuz. — Jak ten kruk mam żyć ze śmierci?

— Frankowi — powtórzył Szuk. — I żeby ożenił się z Weronką, jak wyjdzie z tego... Przysięgnij, Franek, bo już niedługo mi...

— Przysięgam — powiedział cicho Kobuz, nie odrywając rąk od twarzy.

Kilka szeptów pobiegło po izbie, ale ucichło zaraz. Stary Szuk znowu zaczął silniej charczeć, i zaczynała mu się już czkawka. Niektórzy wyszli przed izbę i stali tam bez ruchu, patrząc na te szare pokręcone krzaki, z których wyszła ta straszna śmierć tutejszego kraju.

Po południu stary Szuk skończył, i mogli go jeszcze włożyć do wspólnej mogiły. Weronka zaś była ciągle nieprzytomna, ale żyła.

— Co z nią robić? Trzaby ją przecie gdzie do chałupy... — szeptały baby.

Nikomu nie przyszło bowiem na myśl zostać tu w tym domu morderstwa.

Ale w tej chwili wstał Kobuz:

— Biorę ją do siebie. Słyszeliście, com tu powiedział i co mi ojciec kazał?

— Jakże to? Dziewuchę... — oburzały się kobiety.

Ale już Kobuz z kilkoma chłopami brali łóżko, na którem leżała Weronka, i nieśli ku drzwiom. Nikt tak bardzo nie protestował: do kolonji było daleko, wozu nie było, a wreszcie mogło to ściągnąć zemstę dzikich. A ten... Franek i tak już „przeznaczony“. Nie dochowają się oni dzieci, nie...

Kiedy łóżko z Weronką stanęło już w szałasie Kobuza, wrócił on jeszcze raz do chaty. Wziął trochę wody w blaszankę i polał pysk psa, który leżał porzucony w kącie, jak brudna szmata.

— Zdechł przecie — powiedział ktoś w tłumie.

Ale pies żył. Poruszył pyskiem, oblizał się i spojrzał przyjaźnie na Kobuza. Z pewnym wysiłkiem podjął Kobuz olbrzymie psisko i poniósł na rękach do swego „rancha“.

Ludzie spojrzeli po sobie; wydało się to im prawie grzechem, ta opieka nad psem, kiedy tyle narodu zginęło marnie. Nie powiedzieli jednak nic, tylko wzruszyli ramionami i zaczęli się rozchodzić.

Przez kilka następnych dni przychodzili gromadkami, bo samotnie nie ważyli się, ale o Botokudach znowu ucichło, i Franek był spokojny.

— Wi-wisielcze szczęście! — powiedział Messel, i wielu tak myślało, ale nie mogli nic powiedzieć Kobuzowi. A zresztą nie było tu całkiem bezpiecznie.

Za kilka dni Mundego już chodził, i niedobrze było bez klaskania wejść na obejście Kobuza. Ale dopiero kiedy przebudziła się Weronka ze swego snu, a obudziła się dziwnie odrazu przytomna — zlecieli się ludzie po nowinki.

Patrzyli na nią i szukali w niej tego wszystkiego, co się powinno było dziać w niej: rozpaczy, strachu i wreszcie wstydu, że oto tu u kawalera w budzie leży... Ale Weronka zawiodła ich: wodziła oczami za Frankiem, gdzieby się nie ruszył i wydawała się całkiem szczęśliwa. Musiał jej już powiedzieć, co było przy śmierci ojca. Także opis wypadków, który wydobyto od niej — nie zaspokoił ludzkiej ciekawości.

Było to rano. Ojciec wyszedł na dwór, i nagle usłyszeli jego krzyk. Wypadł Walerek z fakonem, ale upadł odrazu na progu, i za nim wpadło kilka postaci. Weronka dostała okropne uderzenie po ręku, potem po głowie i ramieniu, i nie wie, co więcej się działo. Jeszcze tylko słyszała niejasno krzyki rodziny.

Nie mówili jej więc nic o tem, że Indjanie ni-

którym swoim ofiarom naprzód łamali ręce i nogi swemi kanciastemi maczugami, a potem dopiero dobijali, albo nawet zostawiali na powolniejszą śmierć — z tych ran.

Jej ręka zrastała się, a młoda natura, wracająca do życia, tak była pełna radości swego istnienia, że nie umiała dość się przejąć smutkiem śmierci. Nie bez tego, że popłakiwała czasem, ale kiedy do niej Franek zagadał — już jej i łzy obsychały.

Pewnego razu zjawił się nagle Kobuz z Weronką w kolonji. Była to niedziela, i ludzie zbierali się sporemi gromadkami. Naprzód pośpiewali sobie pod krzyżem, który postawili na skrzyżowaniu, a kiedy im ulżyło na sercu — wspominali Stary Kraj, albo gadali o Nowym. Kiedy młodzi zjawili się w gromadzie — otoczono ich zaraz. Jakby odmieniło się wszystko: baby na wyścigi pytały i przygadywały, aż Weronka w ponsach stała.

—- Jak ta matka rodzona koło mnie chodził! — odpowiedziała którejś kobiecie, i wszystkie z uznaniem zakiwały głowami.

— Może się przecie teraz ustatkujesz, Franek? — powiedziała mu Watrasowa.

Kobuz namarszczył się, ale zaraz przeleciał mu po ustach mały uśmieszek.

— Słuchajcie, Watrasowa — powiedział nagle — chciałem was prosić, żebyście wzięli do siebie na czas Weronkę. Damy wam produktów, ma się wiedzieć.

— Mądrze mówi — pochwaliły kobiety — nijako tak, bez ślubu...

— I to, że będę musiał w las pójść na tydzień — dwa... — rzucił Kobuz.

Weronka patrzyła na niego nieruchomemi oczami:

— Jakże to, Franuś? — zaczęła. — Niceś nie mówił... Gdzie ja cię tak samego puszczę, między te „dziki"?

— Weronka, uważaj se, com ci już mówił!... Nie twoja to rzecz. A wiesz, poco idę? Zapłacić za ubicie twego ojca.

Ale Weronka popłakiwała, nie słuchając prawie, co on mówił:

— Oj, doloż moja — łkała — sierota ja sama, a tu jeszcze jego mi zabiją...

Kiedy się obejrzała, Franek był już na mule.

— Franuś! — wrzasnęła, jakby się w niej coś rwało. Ale on krzyknął jej tylko zdaleka:

— Zostań u Watrasowej. Przyjadę tam jeszcze. Przecie dziś nie jadę.

Płaczącą Weronkę zabrały kobiety i nie wie-

działy, jak pocieszać. Dopiero, kiedy któryś z chłopów powiedział z uznaniem:

— To je chłop!

rzuciły się na niego z furją:

— Wam to ino w głowie, gdzieby guza oberwać! A co tam kobieta i dzieci — to wam nic! Wam ino, żeby po świecie szpanować! Żeby zabawa i bijatyka! Żeby z roboty, co wam śmierdzi, się wykpić!

— Żeby...

Zakrzyczały chłopów doszczętu i poszły. Chłopi stali nieco skonfundowani i nie znajdowali argumentu na swoją obronę. Aż wreszcie któryś powtórzył:

— Ale to je chłop! — i wszyscy zaśmiali się beztrosko i wyzywająco.

* * *

Kobuz, nie zsiadając z muła, stał przed gankiem Dyrekcji i rozmawiał prawie przyjaźnie z Reichem.

— Pan rozumie, że to i dla pana interes? Jak tak się jeszcze raz zdarzy — to ludzie z rozpaczy niewiadomo, co mogą zrobić.

Reich patrzył zpodełba i namyślał się.

— I cóż można zrobić we czterech, czy pię-

ciu? Żołnierzy mi szkoda. Przecież ja za nich odpowiadam — bąknął jakby do siebie.

W trakcie rozmowy podjechał Lazaro i zatrzymał się obok. A zrozumiawszy, w czem rzecz, rzucił z pewną emfazą:

— Jeżeli żołnierze się boją — to pójdzie „caboclo“. Tak, ja — Lazaro, pójdę z senhorem Chiciem.

— Albo — wahał się jeszcze Reich — możebyście przystali za „bugreiros“ — myśliwych na Bugrów.

— Co? — przeciągnął Kobuz — za pieniądze, jak hycle...?

— Tak robią wszystkie kolonje niemieckie — odpowiedział spokojnie Reich. — Gmina opłaca „bugreiros“, a ci uczą te małpy postrachu przed białymi.

Kobuz odwracał już muła, kiedy Reich dorzucił:

— Mogę wam dać amunicji! I wszystkie dawniejsze wasze sprawki będą wam...

— Jakie sprawki? — rzucił Kobuz.

Reich milczał.

— A co do amunicji — z patosem dorzucił Lazaro. — To niech pan się jej nie pozbywa, bo zabraknie dla... Virgilia!

Reich sięgnął gwałtownie do pasa, ale opanował się i uśmiechnął pogardliwie:

— Powodzenia, bo-ha-te-ro-wie! — przeciągnął. Zatarł potem ręce i, uśmiechając się, wszedł do domu.

Odjechali, Kobuz sapiąc z pasji, a Lazaro gadając z podnieceniem o podłości wszelkich oficjalnych „czynników“.

Wkońcu dodał z niejakiem wahaniem:

— Po tem, co powiedziałem — muszę już naprawdę jechać z wami. Zostawać na kolonji dla mnie teraz niebardzo bezpiecznie.

— Mundego już zdrów — powiedział, nie słysząc tego, Kobuz — będzie nas zawsze trzech...

— E! — potwierdził z uznaniem Lazaro. — Będzie nas trzech.

Długo mówiono o tej dziwnej wyprawie i wróżono przeważnie źle. Obawiano się też naprowadzenia i rozdrażnienia „dzików“. Wreszcie, gdy minęły trzy miesiące, a nie słychać było nic o śmiałkach — zaczęto powoli zapominać. Jedna tylko Weronka pamiętała ciągle i marniała z płaczu. Ta krępa i silna dziewczyna wyschła na wiór, a w dodatku wracały się jej dziwne szumy w głowie od uderzenia pałką. Ręka jej, źle zrośnięta, bolała ją też często i była chudsza, niż dru-

ga. A wreszcie i Watrasowie przebąkiwali o tem, że jakoś trzebaby postanowić względem prowjantu, boć ten się już kończy... Niewesołe życie na cudzem — wiadomo.

* * *

Kiedy do świeżo zbudowanej, drewnianej kaplicy zjechał wreszcie ich „własny“ ksiądz — ludzie popłakali się, jak dzieci.

Ksiądz był krępy, tęgi, czerwony, z silnym głosem i ostremi ruchami.

— No, no — pocieszał kobiety — niema czego beczeć. Bóg nad nami, panie tego... A kolonja, widzę, okazała! Kilka wend, domy spore, pola, słowem, błogosławieństwo Boże, panie tego!

— Zawsze to nie to, co u nas — chlipała któraś. — Ani ludzkiego jedzenia, ani żyta jak się patrzy, ani...

— Nawet za tym śniegiem człowiek się stęsknił! — rzuciła druga.

Ksiądz namarszczył się okrutnie i krzyknął:

— Bóg jest wszędzie, powiadam, panie tego! No i ten, jakoś przecie będzie — stropił się nieco sam.

— A z Indjanami nie mieliście tu jakich, panie tego? Bo to mi mówili w Rio Negro...

— Było, było, proszę księdza... — odezwało się naraz kilka głosów.

— Ot, Kobuzowie naprzykład...

— Franek, pokaż się!

— Kobuzowa, idźcie do księdza! Całą rodzinę jej wybili... Ponoć na ich cmentarzu się pobudowali...

— Dopiero jej chłop ją odratował... Poszedł w lasy się mścić.

— Z pół roku go nie było... Wrócili, jak te dziady.

— Ano opowiedźcie! — zaciekawił się ksiądz i obejrzał się, gdzie usiąść. Siadł też byle gdzie, na jakimś balu, bo nie był hardy i z narodem był poprostu.

Ale Kobuz niewiele umiał powiedzieć. No, i cóż tam takiego? Szli z Lazarem i Mundegiem. Polowali trochę, ale się bali, żeby nie dać znać o sobie. Więcej jedli „farofę“. Kilku utłukli. Potem głodowali. Dowlekli się jakoś.

— A ot, moja kobita, to wojenna — śmiał się Kobuz. — Do tej pory ma jeszcze rękę nierówną. Pokaż, Weronka!

— Ee, tam! — zawstydziła się i zagadała. — Aleś ty opowiedział tak, jakby nic. A o Affonsie? Proszę księdza, znaleźli jednego takiego, co się

na niego nasadzał. Już były same kosteczki, a w głowie kula, w czaszce. I pistolet trzymał, co od mojego dostał. Widać zabłądził i tak sam sobie zrobił.

Kobuz spojrzał jakoś naraz ponad tłum i księdza, poruszony tym obrazem:

— Leżał biały i czysty, jak sama śmierć — powiedział. — Trzymał jeszcze mój „picapau“, a w białej czaszce była okrągła dziurka. I śmiał się temi zębami...

Wstrząsnęli się słuchający, i ksiądz naraz się ocknął:

— Wielki to grzech, panie tego — powiedział, a potem, przypomniawszy sobie. — I zemsty szukać też grzech!

Kobuz go, zdaje się, nie słyszał.

Ksiądz poszedł na obiad do Messla, bo ten mógł najlepiej wygodzić z jedzeniem, a kto tam nie szedł — zbierał się do domu.

— Franek, pójdziemy do domu — zaczęła Weronka.

— Idź, idź. Ja zaraz przyjdę.

— Do wendy pójdziesz, na pijaństwo? — rzuciła z goryczą.

— Do wendy pójdę, na pijaństwo — odpo-

wiedział temi samemi słowami i spojrzał na nią zimno.

— Franek, tyle razy cię proszę... Franek, przecie sam sobie krzywdę robisz... Ta wódka...

— Co ty wiesz! — powiedział naraz Kobuz bardzo smutnie. — Wiesz, co to wódka?

Odwrócił się od niej i szedł ku wendzie. Zebrało się tam już sporo mężczyzn i huczało w głębi głosami. Wszystkie kobiety kupiły się koło wendy Messla, żeby być bliżej księdza. Tutaj, u Pankosza, było brudniej, huczniej i bardziej swojsko.

Z okazji przyjazdu księdza i jego pytań — wspominali sobie to i owo.

— Ho, ho! To były ciężkie czasy! A pamiętacie, jak kobietę Jankowskiego „dzik“ strzałą trafił? Nie wyszłaby kobicina, żeby nie to sadło z „kapiwara“...

— Pewnie. A z Szukiem?

— Przecie tu, gdzie teraz Jurkowy „pajorek“ stoi, najlepiej biło się „anty“.

— Albo nie? Teraz gdzie lżej: ani „dziki“ tak nie podchodzą, ani co...

— A przecie coś ze dwanaście rodzin poszło na piechty zpowrotem. Teraz byłoby im lepiej.

Kobuz siedział i nic nie mówił. Pił tylko szyb-

ko kieliszek za kieliszkiem. Naraz zbliżył się do rozmawiających:

— Tylko moje rancho stoi, jak stało — powiedział.

— Jeszcze się pobudujecie — pocieszył go ktoś. — Stać was na to. I tak aż ludziom dziwno, że sobie uczciwej chałupy nie pobudujecie. Dla kogo te „mile“ dusicie? Dzieci nie macie...

— Ja duszę? — zaśmiał się Kobuz. — A ma który takie siodło? Albo takie muły i szkapy, jak ja?

— Wojsko będzie z tych mułów robić, czy co? — śmiali się.

Kobuz wzruszył ramionami:

— Lubię to.

— Niedługo z was będzie fazender, zamiast starego — zazdrośnie powiedział ktoś z kąta.

— Nie stoję o to — mruknął Kobuz.

Postał jeszcze chwilę, ale gawęda nie wiązała się. Zawrócił do swego kąta i pił dalej. Było już dobrze pod wieczór i kurzyło się już dobrze z czupryn, gdy do wendy wszedł ksiądz. Uciszyło się powoli, i słychać było wyraźnie powitanie księdza, które jakoś dziwnie zabrzmiało.

— Na wieki! — odpowiedzieli mu chórem.

— Który tu Kobuz? — zapytał wtedy ksiądz.

— Ja.

— Człowieku, ty tu pijesz, a twoja żona leży bez pamięci!

Kobuz przepychał się ku niemu:

— Co jej? — spytał prędko i ostro. — Żmija? Gdzie jest?

— Nie żmija, ale zgryzota. Do Watrasów zaszła i tam z płaczu zaniemogła. Podobno często na głowę słabuje.

— To jeszcze od tych „dzików“ — mruknął Kobuz i, odsunąwszy nagle księdza z drogi, zniknął w drzwiach.

Ksiądz był nieco zdziwiony, ale zaczynał już powoli się przyzwyczajać do swobodnego sposobu bycia osadników.

A w wendzie po chwili gwar wzmógł się na nowo. Nawet do księdza podeszli ze szklaneczką.

— Dziękuję, ja nie piję — powiedział surowo ksiądz.

— Nie niewolimy — odpowiedzieli mu wyrozumiale. — Ksiądz, ma się rozumieć, ma swój gust do tego, albo owego.

Ksiądz chciał jeszcze coś powiedzieć, ale rozmyślił się i wyszedł.

Komentowali to.

— Tak być powinno! — dowodził Wąso-

wiak. — Ksiądz ma być za przykład dla narodu.

— Pewnie! — odpowiedział mu Pankosz z przekąsem, czując, że dyskusja obraca się przeciwko konsumpcji „kaszasu“ — ale niech innym nie rządzi. Bo dorosłe chłopy jesteśmy. No nie?

Od chwili już stał w drzwiach nowy przybysz, którego nikt nie znał. Ubrany był z miejska, ale obniszczony i pomięty. Słuchał z uwagą dyskusji i nawet powiedział głośno:

— Chłop, co nie pije — nie żyje, a gnije!

Obejrzeli się na niego zdziwieni i patrzyli, milcząc. Uznał to za oczekiwanie prezentacji i zdjął kapelusz:

— Jestem nauczyciel. Szumny się nazywam. Przyjechałem tu niedawno z Polski.

Niektórzy wstali i podeszli do niego, inni nieufnie patrzyli ze swoich miejsc. A on gadał dalej:

— Co masz, chłopie, jak ci dzieci na łeb wlizą i baba trajkocze? — Wódkę! Co masz, jak ci życie dokuczy, że niewiadomo, co z sobą robić? — Wódkę! Gdzie jesteś jeszcze panem i zuchem? — Przy wódce. Cobyś robił, bracie kochany, żebyś nie miał tego pocieszenia? Jak ten wół roboczy, orałbyś z dnia na dzień, bez żadnego wesela... Wesela — powiadam!... — zaciął się.

Zrozumieli po chwili, że dziwny gość jest dobrze pijany, i to ich odrazu dobrze usposobiło dla niego.

— A może pan się napije z nami? — zapytał wreszcie Wałecki.

— Chorego się pytają — zdrowemu dają! — odkrzyknął Szumny i przystąpił do towarzystwa.

Podawali mu niezgrabnie ręce i przysuwali się do niego.

— Co kompanję skleja? — powiedział jeszcze dziwny prorok wódki.

I teraz już mu odpowiedzieli chórem śmiejącym się:

— Wódka!

Istotnie kompanja skleiła się odrazu, i Szumny wkrótce klepał się ze wszystkimi po łopatkach.

* * *

Podczas długiej choroby Weronki Szumny zaglądał często do „rancha“ Kobuzów i siedział nieraz całemi dniami. Weronka leżała bez pamięci, ale Kobuz mógł wysłuchiwać nieustannego gadania Szumnego i, choć nie odzywał się — można było wnosić, że był zadowolony z jego obecności. Ustaliło się jakoś tak samo przez się, że Szumny gadał i odpowiadał sam sobie, a Kobuz jakby nie

zwracał na niego uwagi, ale od czasu do czasu odwracał głowę i słuchał uważniej. Czasem się uśmiechał, a często rzucił jakieś słowo, jakby nieco kpiące, nie odrywając się od swoich zajęć.

W oczach Kobuza dużo zyskał Szumny tem, że odrazu pozyskał sobie przyjaźń nieufnego Mundega. Wreszcie Szumny prawie zadomowił się u Kobuzów, bo choć niby uczył dzieci w kaplicy, jako nauczyciel, ale nocował to tu — to tam, jak popadło.

. . . .

Weronka miała ten zaszczyt, że jej pierwszej sprawili „prawdziwy" pogrzeb. Szedł ksiądz, nieśli krzyż, były odpowiednie modlitwy, wszystko, jak należy. Można powiedzieć, że Kobuz nie pożałował grosza na uczciwy pogrzeb i na poczęstunek.

— A no, cóż? — rozpowiadał Szumny, gdy wracali z wendy do domu. — Zmarło się kobiecie.

— Zmarło... — bezbarwnie powtórzył Kobuz.

— Ale ty się tem nie gryź, Franek — ciągnął Szumny. — Bo ja ci powiem, jak to było.

— ?

— Widzisz... ty się gryziesz, że niby, jakby z twojej winy. A to nic podobnego.

Kobuz odwrócił się ku niemu uważnie. Nie po raz pierwszy to wydało mu się, że Szumny był jakby jego mową wobec świata. Bo na mówienie trudno było się samemu Kobuzowi zdobyć. On wiedział, jak się zasadzić na „antę“, jak konia „umansować“, ale w słowach był ciężki — wstydził się jakby nieco mówienia.

— Każde z was było z innej gliny. Ona do domu, do obejścia, a ty do lasu, do drogi.

— Do obejścia. Prawda — mruknął Kobuz.

— Była ona w twojem życiu tak, jakby jej nie było.

Kobuz spojrzał znowu na niego i zdziwił się tem bardziej, że Szumny zataczał się co jakiś czas i chwytał za rękę maszerującego obok szybkim krokiem Kobuza.

— To nic, żem pijany, Franek — odpowiedział natychmiast Szumny na tę myśl. — Ja, widzisz, jak jestem pijany, to wiem to, czego nieraz na trzeźwo nie wiem. Był taki poeta w Polsce, pisarz... Ty, ma się rozumieć, nie wiesz o nim. Zresztą to lepiej. Żebyś czytał — to już nie byłbyś w stylu, rozumiesz? Ja cię kocham za to, że

jesteś taki właśnie, jak jesteś. Otóż, co to ja chciałem powiedzieć...

Mimo zapewnień, Szumny coraz silniej zwisał u ręki Kobuza i nic już więcej nie powiedział. Od tej pory jednak zamieszkali we dwóch w „rancho“ i prawie nie rozstawali się. Szumny niby to uczył dzieci, ale często gęsto siedział tylko na krześle i kiwał się, uśpiony kaszasem, który mógł pić o każdej porze dnia i nocy. Na tem tle wynikały też spory z zarządem szkoły i księdzem, czego zresztą Szumny nie brał zbyt tragicznie.

— Nie płacicie mi — to ze zmartwienia piję — odpowiadał beztrosko.

Ponieważ zaś zarząd nie miał w tej dziedzinie istotnie czystego sumienia, sprawa kończyła się zazwyczaj na niczem.

— Mógłby pan jaką „festę“ zrobić — przedstawiali mu — tańce, z muzyką, albo żeby dzieci coś do rymu mówiły. Byłby dochód dla towarzystwa i panuby się zapłaciło.

Szumnemu jednak nie chciało się czegoś podobnego robić, a pozatem miał sprzeciwy natury zasadniczej, które wypowiadał w języku bardzo uroczystym, w którym osadnicy węszyli jakieś kpiny.

— Sumienie mi nie pozwala! — wołał. —

Nie pozwala mi pod pozorem strawy duchowej uświęcać waszych orgij narkozy...

I tak tam dalej.

Zwracał mu też uwagę ksiądz. Szumny uścisnął go za rękę i powiedział:

— Kleru rzymskiego nie uznaję. Rozumie ksiądz? — Nie uznaję za-sad-ni-czo. Ale księdza bardzo lubię, bo ksiądz jest bardziej romantyczny i egzotyczny, niż się księdzu wydaje. A ja właśnie — uważa ksiądz — jestem spóźnionym romantykiem i — jakby to określić — poszukiwaczem „wogóle".

Gadał coś jeszcze, ale ksiądz się wyrwał i poszedł zły. Zły był właściwie dlatego, że nie mógł się naprawdę rozgniewać na Szumnego, sam nie wiedząc dobrze, dlaczego.

Wreszcie sprawy Szumnego zepsuły się jeszcze bardziej. Messel oddał jedną izbę u siebie na drugą szkołę, która konkurować zaczęła ze szkołą Szumnego. Messel oparł swoją szkołę na „zasadach swobody religijnej", ponieważ wpływ księdza zaczął mu nieco ciężyć i w sprawach natury ekonomicznej, i na godności go pomniejszał.

Kolonja się rozbiła na dwa obozy: księży i wendziarski. Jednak pierwszy zdecydował, że nie może mieć pijaka na posadzie nauczyciela i dał

odprawę Szumnemu, który twierdził zresztą, że chociaż jest przeciwny religji, jako teorji, to jednak katolicyzm u ludu ma swój urok, i właściwie mógłby poprowadzić szkołę wyznaniową. Następnie porozumiewał się z Messlem, i już prawie dochodzili do zgody, ale Szumny nie mógł znieść tego, że Messel nie uznawał rewolucji, jako środka postępu. A pozatem okazało się, że bardzo się nielubią wogóle.

Ostatecznie więc w kolonji nie było żadnej szkoły. Szumny siedział teraz stale w chacie u Kobuza i dopraszał się, żeby poszli na jaką „wyprawę“.

— Polowanie, czy co? — pytał Kobuz.

— No, niby tak... Nie wytłumaczę ci tego, Franek, o co mi chodzi. Bo widzisz... Hm, ty wiesz, co chcesz. Ty robisz to właśnie, co ja myślę. Ale kto wie, czy to nie wygląda ładniej tylko pomyślane... Kto wie? Jabym chciał wyprawę taką, jak to powinno być: z sucharami, ze składanym nożem, z przygodami, ukrytym skarbem. Widzisz, ja jestem jak dziecko. Ja już wiem, że to tak nie jest — ja już jestem tu cały rok, w tym kraju. Wiem, że podczas deszczu tak samo przemakają tu buty, i człowiek się ubłoci, jak w Europie. Ale staram się w to nie wierzyć...

— No, więc jak? — uśmiechnął się Kobuz.

— A, no — chodźmy! — westchnął Szumny.

Kiedy doszli do nawpół rozwalonego „rancha“, gdzie zwykle rozbijał Kobuz swoje „campamaneto“ — Szumny zaczął się wszystkiem zachwycać. I tem, jak szybko Kobuz rozpalił ognisko i jak zrobił to, że żarzyło się stale i równo na sękach pinjorowych. I tem, że, robiąc posłanie z „putingi“, przeciągał ją nad ogniem, żeby pozbawić kleszczy i innych drobnych owadów. I tem, że polowanie miało być naprawdę serjo, o czem go głównie przekonywały poważne miny psów, nieumiejących przecież udawać.

Kiedy poszli po raz pierwszy na „careirę“ szukać śladów — zachwycał się znowu, że Kobuz naprawdę wynajduje i przygląda się poważnie śladom, i że psy się niepokoją. Potem znowu zachwycał się, jak Kobuz umie zrobić z bambusowej trzciny „taquary“ czerpak do wody, lub zagotowuje w niej wodę w małem ognisku, żeby przyrządzić trochę wrzątku na „szimaron“. A wreszcie zachwycił się oświadczeniem Kobuza, że, jeżeli czegoś nie zastrzelą — nie będą mieli co jeść, bo za mało wzięli „pasoki“.

— Nadzwyczajne! — gadał. — Polowanie,

które nie jest fantazją, ale jest konieczne i poważne. Nareszcie odczuwam trochę egzotyki!

Na drugi dzień Szumny stracił nieco humor i starannie obierał się z kleszczy wszelkich kalibrów. Z niemym podziwem przyglądał się tylko, jak Kobuz przeciąga swoje suche, ale niespożyte łydki nad ogniem, jakby „sapekował“ gałąź herwy.

Łazili tak cztery dni, ale mimo wyraźnych śladów — tapira nie spotkali.

— Ja się wcale nie dziwię — mruczał Szumny. — To jest mój los, i do tego się już przyzwyczaiłem. Zawsze tylko przeżywam w fantazji to lub owo, a czegoś „naprawdę“ — nie udaje mi się spotkać. Gdybym ja przeżył to, co ty, a ty gdybyś widział w tem to, co ja — wzdychał.

Polowanie nie szło im we dwójkę, a w ranszu nudzili się bezczynnością. Wychodzili wtedy na obejście, gdzie Kobuz trzymał konie i muły.

— Krów nie masz? — spytał kiedyś Szumny, ziewając.

— Nie.

— Może to byłoby praktyczniej? — powiedział, byle coś powiedzieć.

— Ale ja to wolę.

— O, widzisz — zagadał znowu Szumny. —

Ja cię rozumiem. Koń — to poezja. Koń, to ruch, nowe okolice, nowe wrażenia. Ty to masz, a ja tylko się przyglądam. I nawet nie umiem dobrze na koniu siedzieć. Chyba na bryczce...

Kobuz stał i i myślał nad czemś. Potem, już w chacie, odezwał się nagle:

— Chcecie, tobyśmy spróbowali „karośnictwa“?

Są poważne przyczyny, dlaczego „karośnicy“ cieszą się w Brazylji taką wątpliwą opinją. Tygodnie całe i miesiące, spędzane w koczowniczym trybie życia, zrywają wszelki związek człowieka z ziemią i gromadą. Łatwość przeniesienia się z okolicy jednej do innej zapewnia pewną bezkarność, a spore dochody mogą być wydane tylko w krótkich postojach po wendach i miastach. Są to marynarze i w swoich portach muszą pić i awanturować się, żeby odpłacić sobie samotność i monotonję długich, czerwonych dróg brazylijskich.

Tak, czy owak, gdy gruchnęło po kolonji Tayopol, że Kobuz przystał do karośników, zakiwali ludzie głowami.

— Nic innego po nim nie można się było spodziewać. A jeszcze kompanję zaczął z tym obieżysasem — wiadomo...

Dyrektor Reich jednak twierdził, że wychodzi

tu najaw chytrość, co do której nie miał już teraz wątpliwości. Poskupywał wszystkie możliwe konie i muły w kolonji i na fazendzie i teraz będzie dyktować ceny za transport. Naprzód zaopatrzył się w ziemię w takiej ilości, jakby jaki fazender, zrywał siły, ażeby usunąć z niej las, a kiedy wszyscy myśleli, że on się zniechęcił do pola — okazało się, że chce on jeszcze powiększyć swoje zarobki.

— A skończy na tem, że wam tu założy wendę pod nosem! — mówił złośliwie do Messla.

— I tak nas jest tu za dużo. „Absolutamente“ — odpowiedział nie bez ukrytej myśli Messel, bo nowo założona duża wenda Reicha groziła zdławieniem wszystkich innych.

Tylko baby miały inne zdanie:

— Włóczęgi mu się zachciało. Mało ant natłukł i nawycierał się po lasach — to teraz na wender pojechał.

I wyglądało na to, że miały one nieco racji: po jakimś czasie zaczęły dochodzić wieści z Czarnej Rzeki, z Portu Zgody i innych miejscowości o awanturach, wyprawianych przez dwóch karośników.

Jeden z nich miał zwyczaj gadać bardzo dużo i pić niemniej, drugi tylko pił. Ale kiedy coś mu

się nie podobało — wszczynał taką awanturę, że zawsze komuś coś się oberwało poważniejszego. Transporty dostawiał błyskawicznie, bo konie żywił, jak na ubój. Zarabiał ogromnie, ale wydawał też sporo. Wśród karośników miał wielki mir, i często jako pretekst wybierał sobie obronę zaczepionych karośników, co go czyniło jakimś królem tego niespokojnego żywiołu. Zazwyczaj siedział cicho, i nic nie zapowiadało, że rzuci się z głową w awanturę, aż nagle oczy mu błyskały i wybuchał. Znano go już na jego zwykłych torach i nazywano „Chico Bravo“.

Niektóre rzeczy sprzedawał też na swoją rękę, zwłaszcza różne ozdoby i wyroby galanteryjne, zarabiając w niesłychany sposób. Nie wahał się też pożyczyć lub zapłacić za jakiegoś kamrata, będącego w potrzebie.

Istotnie zdawało się, że Kobuz nareszcie znalazł właściwy dla siebie teren. Odżył i rozhulał się, jak nigdy. Zniknęły mu ostatnie zamyślenia, i kipiał cały życiem, które rozsiewał w awanturach, zarobkach i stratach. Był znowu tym samym, jeśli nie twardszym i szumniejszym Kobuzem, który wżerał się w las nienawistny a ukochany z toporem w ręku.

Wreszcie któregoś dnia — niespodziany

a dawno niewidziany — wjechał Chico do Tayopolu.

Trzeba było widzieć jego dobrane muły, jednej maści z „madrińją“ — tęgą skarogniadą klaczą! Trzeba było słyszeć dzwonki u karos (było ich dwie). To nie były żelazne dzwonki kolonistów: dźwięk miały melodyjny a donośny, nie grzechotały tępo, jak tamte. Były na pewno z miedzi, a kto wie, czy nie ze srebra?

Karosy były duże, kryte płóciennemi dachami, koła solidne, uprząż wysmarowana dobrze tłuszczem, a bat strzelał co najmniej jak „picapau“.

Na pierwszej karosie, która miała dach odsłonięty zprzodu, siedział Chico Bravo, ubrany zupełnie już po tutejszemu, z tą tylko różnicą, że nie na kaboklerskiem ubraniu się wzorował, ale raczej na kostjumie „gaucha“ z buńczucznego stanu Rio Grande. Miał wspaniałe żółte buty wyżej kolan, spodnie bufiaste, duże ostrogi, pas nabijany z bronią w futerałach, duży, czarny kapelusz na głowie, takąż chustkę na szyi, złożoną w trójkąt na plecach; koszulę zaś miał białą, co dowodziło, że powodzi mu się już bardzo dobrze.

Drugą karosą powoził Szumny, wymięty, jak zwykle, choć nieco lepiej ogarnięty i nie tak po miejsku, jak dawniej. Zatrzymali się przed

wendą Pankosza, bo ona była jak raz w środku osady, a do Messla, który był teraz na skraju i daleko od kaplicy, mało kto zajeżdżał. Coprawda naprzeciwko Pankosza była nowa wenda — Reicha, ale tam więcej kupowano, niż pito i bawiono się.

Niebardzo poznał Pankosz Kobuza, ale gdy się rozgadali — zapomniał nawet kolejek liczyć. Pytali się o nowiny wzajemnie.

Powoli zaczęli się schodzić inni, i gwar powstał, jak rzadko. Teraz mogli zobaczyć, co zrobiło się z Kobuza: śmiał się szeroko, i oczy mu patrzyły psotnie, jak chłopakowi, co wyrwał się z domu na wender.

— Zuch z ciebie, Franek! — krzyczał Pankosz, który sam trzymał się kolejki, jakby gość. — Pokazujesz czarnym, co to Polak!

— E! — roześmiał się Kobuz.

Szumny z drugiego końca zaczął opowiadać jedną z większych awantur, więc odwrócili się do niego i słuchali. Kobuz przytakiwał głową i podśmiewał się.

— ...Więc kiedy ten kabukier powiedział „polaco sem bandeira“ — Franek pchnął tylko na niego stół i zaraz sam się rzucił. Ale nawet „faka“ nie wyjął, powiadam wam...

— Moi ludzie!...

— Cie chłop!...

Oczy mężczyznom się paliły, i cisnęli się, żeby lepiej słyszeć.

W pewnej chwili Kobuz podniósł się i zmierzył ku drzwiom.

— Idziesz już? — żałośnie zawołał Pankosz, nieco już podlany kaszasem.

Kobuz zatrzymał się we drzwiach i stał, śmiejąc się do gromady.

— Nie — powiedział po chwili. — Tylko idę dobrze podrzucić „milji“ szkapom, bo tu będzie długa pijatyka!

Hucznie zaśmiali się wszyscy, i dwóch czy trzech wyszło, żeby mu pomóc. Dumni byli z tego zucha, no i to, że pachniało od niego dostatkiem i groszem.

Pijatyka, która się potem zaczęła, długo była wspominana w Tayopolu i została nawet otoczona rodzajem legendy grzesznej, w której potępienie mieszało się z uśmiechniętą dumą.

Trzeciego dnia wenda przedstawiała istny obraz sądu ostatecznego. Ludzie, którzy po raz trzeci trzeźwieli i mieli zamiar iść do domu — po raz trzeci wpadali w ramiona kaszasu i przysięgali komuś dozgonną miłość, lub przypominali

sobie spory, poprzedniego dnia przy tymże kaszasie załagodzone.

Kilka razy przychodziły baby, ale odchodziły z kwitkiem. Chłopi jakby nabrali odwagi przy Kobuzie i na obelgi — odpowiadali takiemi piorunami, że kobiety cofały się z tej rozhukanej wendy. Wreszcie przyszły całą kupą i wywarły całą swoją złość na Kobuzie:

— Obieżyświacie! Włóczęgo!... Kabukrze!... — wrzeszczały.

— Swoją żonę pochowałeś, a teraz inne chcesz zgubić? — wrzasnęła któraś.

Kobuz wstał nagle i nadspodziewanie pewnym krokiem podszedł do drzwi. Oczy zmrużył w ukośne szpareczki i powiedział bardzo cicho:

— Jak mi która jeszcze zaszczeka coś podobnego....

— No, to co?... — krzyknęła ta sama pisklìwie... — Z „fakiem“ na nas pójdziesz?...

— To wam takie jatki z waszych chłopów zrobię, że ruski miesiąc popamiętacie — dokończył spokojnie Kobuz.

— A cóżto nasze chłopy kaleki! — krzyczała Wąsowiakowa.

I dodała zaraz:

— Albo to cię nie znają, zbóju, żeś Weronkę

do grobu wpędził? Myślisz, że jakeś po świecie nabuszował, to możesz tu się rządzić po swojemu?

Kobuz odwrócił się w głąb izby i krzyknął, ale tak silnym głosem, że gwar w wendzie natychmiast ustał.

— Wąsowiak! Zamknijcie swojej babie pysk, bo wasz pysk będzie za to odpowiadać!

Wąsowiak był pijany do tego stopnia, że nie wiedział dokładnie, skąd do niego mówią, ale zadziorny też był ponad miarę.

— Co ty masz za prawo do mnie? — wrzasnął, ucinając koguta w środku zdania. — Ja ci powiadam, mojej baby nie rusz, bo tem...

Nagle Wąsowiak wyleciał wgórę i wpadł w sam środek kupy bab, które z piskiem się rozleciały.

— Kobuz! Opamiętaj się — krzyknął szwagier Wąsowiaka, Jurko Tymoszczuk, prawie trzeźwy jeszcze.

— Won! — powiedział spokojnie Kobuz.

— Kto won? — zaczerwienił się tamten.

— Ty, psubracie — powoli, cicho cedził Kobuz, któremu ręce latały koło pasa.

— Ludzie, zejdźcie mu z drogi, bo będą tu takie rzeczy...

Naraz wśród bab buchnął okrzyk:

— Jezu! Chłopy się biją!...

W tej chwili w progu wendy, jak niegdyś, kiedy to zachorzała Weronka — stanął ksiądz. Krew go aż zatykała i słowa strzępiły mu się w ustach:

— Poganie!... Djabelskie pachołki!... Precz, bo jak mi Bóg miły...

Kobuz wstał z ziemi i patrzył oszalałym wzrokiem na księdza.

— Ty... ty... — szedł ksiądz na niego z palcem wyciągniętym — zarazę wniosłeś... Od gromady odszedłeś — to nie wracaj! Rozumiesz? — Nie wracaj. Zabraniam ci!

— To ksiądz tak za babami oręduje? — spytał z kąta Szumny.

— Gromady bronię! — huknął ksiądz.

— My się do stada nie prosimy! — odpowiadał dalej w imieniu spółki Szumny. — Chłopyśmy są, a nie baby, co księżej sutanny się trzymają.

— Włóczęgi jesteście! — krzyknął ksiądz.

— Włóczęgi jesteśmy — powtórzył spokojnie Szumny.

Ksiądz odwrócił się do gromady i powiedział:

— Żebyście mi z tą parszywą owcą... ani słowa. Obcy jest dla nas!

— I w tej chwili z tego przeklętego miejsca!

Chłopi pokornie wychodzili w ciszy, tylko odezwał się jeszcze przekorny głos Szumnego:

— Spódnice portki wygnały!

To przerwało w Kobuzie jakąś zaporę, i zaśmiał się tak wesoło, jakby nic się nie zdarzyło.

— Trzeba jeszcze zapłacić za te nie-parszywe owce! — przypomniał Szumny.

Za chwilę jechali do siebie w swoich karosach i kilka dni nie było ich widać na kolonji. Ponoć naprawiali obejście i ranszo, a także mieli coś w polu zrobić.

Dopiero w tydzień coś potem wyjechali na świat na dobrych koniach, w srebrnych rzędach, uzbrojeni i wyświeżeni, jak na wesele. Ludzie patrzyli na nich zpodełba, a oni się śmiali im w oczy, jak te potępieńce prawdziwe.

Zatrzymali się przed fazendą Reicha i zsiedli z koni. Po kilku słowach powitania dyrektor Reich powiedział z naciskiem:

— Senhor Chico, trzeba teraz być spokojnym. Czasy są niedobre, „fanatycy“ się włóczą po okolicy, więc policja jest bardzo zawzięta na

wszelkie niepokoje. U mnie nawet kwateruje tenente Cataldi..

— O, tu jest Cataldi? — poruszył się Kobuz.

— Tak... Senhor go zna?

— Nie, nie znam, ale chciałbym poznać.

— Ho-ho-ho! — śmiał się Reich. — Oto chyba pierwszy człowiek, który chce poznać porucznika Cataldi. A dlaczegóż, jeśli wolno wiedzieć?

Kobuz popatrzył na niego wesoło:

— Mówili mi, że bardzo przyjemny człowiek. Podobno wozi ze sobą pumę na łańcuszku... Widać, lubi zwierzęta.

Reich skrzywił się trochę, jak na przypomnienie o czemś nieprzyjemnem, i nic nie powiedział.

Kiedy już wychodzili, rzucił jeszcze za nimi:

— Tylko nie radzę jeździć na fazendę!

— Dlaczego? — spytał Kobuz.

— Bo... tam są zmiany. I tam bywa porucznik Cataldi.

— Aha! — z udaną powagą powiedział Kobuz i zwrócił się do Szumnego:

— A więc? Gdzież my w takim razie pojedziemy?

— Na fazendę — niewinnym głosikiem pisnął Szumny.

— Ha, to w takim razie na fazendę! — równie nieszczęśliwym głosem powiedział Kobuz, i podreptali drobnym, równym kłusem, jakby zalotnie kręcąc zadami końskiemi.

— Diavo! — mruknął z uznaniem subjekt Reicha. A Reich niepoprawny powiedział głośno:

— Ciekawym, co on w tem ma za interes?

Stary Fabricio dziwnie się starzał: nie niedołężniał, nie „rozklejał“ się, lecz jakby wiądł i wędził się na sucho. Powitał Kobuza z radością, ale — jak zawsze — z powagą i umiarkowaniem. Wydawał się czemś zakłopotany i niepewny, ale rozchmurzył się odrazu, gdy zaczęto rozmowę o przygodach Kobuza.

— To jest życie, hę? — zapytał poufale i — doprawdy — mrugnął po łobuzersku okiem. W tej samej jednak chwili spojrzał podejrzliwie w kierunku drzwi, zasłoniętych obrzydliwą, miejską portjerą z zielonego pluszu i zagadał przesadnie głośno.

— Jedno tylko, mój przyjacielu! — mówił z patosem. — Nie należy nigdy krzywdzić słabszego i łamać słowa. Nie należy też przesadzać... Bo przesada, senhor...

Stary się plątał i coraz zerkał ku drzwiom, wreszcie przeprosił gości i poszedł za przepierzenie. Słychać tam było jakieś szepty, ruchy ostrożne i szmer przedmiotów.

— Boi się swojej Niemkini, czy co? — półgłosem spytał Szumny.

Za chwilę stary wrócił i zaczął znowu:

— Tak, tak! Teraz zapewne senhor osiądzie na swojej „fazendzie"? Boć, mój Boże! Masz pan już doprawdy fazendę...

Kobuz patrzył na niego zdziwiony, ale stary odwracał głowę i patrzył w okno. Zdawało się, że teraz stamtąd oczekuje niebezpieczeństwa.

Kiedy zaklaskano przed bramą — stary wstał szybko i, mruknąwszy coś niejasno, wyszedł szybko na dwór. Przy sposobności zauważył Kobuz, że Fabricio ma na sobie pas z rewolwerem i że futerał ma odpięty pasek. Zaczęło go to zastanawiać.

— Zaraz, zaraz, tylko zamknę psy — usłyszeli głos Fabricia.

Po chwili dał się słyszeć pod oknami brzęk jakby łańcuchów, i drzwi otworzyły się powoli. Na progu stał mały człowieczek w uniformie wojskowym, o bronzowej twarzy ze skośnemi

oczami, i patrzył nieruchomo na dwóch przybyszów. W ręku trzymał koniec łańcucha.

Kobuz i Szumny poczuli gwałtowną potrzebę sięgnięcia do futerałów od rewolwerów, tak sama obecność tego człowieka promieniowała niepokój i pachniała krwią. Nie ruszyli się jednak z miejsca.

W tej chwili koło kolan małego człowieczka ukazała się kwadratowa morda wielkiego kota, szara, w ciemniejsze pręgi. Otarła się o nogę swego pana i bezgłośnie miauknęła, patrząc zimnemi, histerycznemi oczami na obcych.

— Wejdźcie, proszę — odezwał się ze dworu niepewny głos Fabricia. Wojskowy uśmiechnął się szeroko i cicho, podobnie jak jego kot, i przekroczył próg. Ostrym ruchem zasalutował przybyszów i szarpnął gwałtownie kota, rzucając go prawie w powietrzu aż w drugi koniec izby. Kot wyzwierzył się na niego natychmiast i mruczał wściekle.

— A, bicho! — półgłosem krzyknął oficer i natychmiast się roześmiał nieprzyjemnie.

Za nim wszedł stary Fabricio, z poszarzałą twarzą i świecącemi się oczami. Kobuz i Szumny wiedzieli już, że mają przed sobą porucznika Luiza Cataldiego. Miał on swego rodzaju sławę, na którą dobrze zarobił. Mogliby coś o tem powie-

dzieć mieszkańcy pewnego miasteczka w stanie Parana, którzy o mały włos nie stracili wszyscy życia z łaski senhora „tenente“. Ponieważ mieli nietakt być zwolennikami prezydenta, który uzyskał mniejszość, i wydawali się podejrzani — posłano porucznika Luiza, aby przeprowadził śledztwo. Porucznik jednak był przeciwnikiem stanowczym półśrodków, a przytem rozumował logicznie, że obawa buntu upada całkowicie, gdy zabraknie buntowników. Dlatego wymyślił genjalny a zarazem prosty plan: kazał kapandze swemu, imieniem Pinheiro, udać zdrajcę i zawiadomić wszystkich mieszkańców miasteczka, że porucznik ma zamiar o zmroku zaatakować miasteczko od wschodu i wyrżnąć wszystkich. Ponieważ dworzec kolejowy był jedynym ratunkiem, a właśnie znajdował się na zachodzie — radzić miał Pinheiro, aby wszyscy uciekali na dworzec i to możliwie w największej gromadzie.

Mieszkańcy postąpili tak, jak im radzono. Porucznik zaś umieścił w drzwiach i oknach dworca karabiny maszynowe, które niedawno sprowadzono ze Stanów Zjednoczonych i z których był bardzo dumny. Gdyby ten plan się powiódł, miasteczko owo na długi czas prawdopodobnie nie podniosłoby buntu. Plan ten jednak

nie udał się. Nie z winy porucznika, lecz podoficera, który kierował karabinami, a który w momencie słabości ducha i niewczesnej humanitarności — popsuł karabiny, wyjmując coś tam bardzo potrzebnego. Ponieważ podoficer ten był bardzo potrzebny przy karabinach, i ponieważ w Brazylji jest bardzo niebezpiecznie dla oficera być zbyt stanowczym wobec żołnierzy, gdyż pachnie to zarżnięciem brzytwą przy pierwszej okazji — podoficer nie postradał życia. Dla wyjścia z jakim takim honorem — porucznik zastrzelił tylko kilku mężczyzn, którzy podbiegli bliżej.

Znany też był ogólnie ceremonjał zapraszania przez porucznika swych wrogów na „jantar“ — obiad. Odbywało się to zwykle o zmroku. Porucznik jadł zwykle mało, ale zapraszał usilnie gościa. Gdy zaś ten odmawiał — mawiał porucznik uprzejmie:

— Doprawdy, niech pan je! Kto wie, czy to nie ostatnia pana kolacja?

To melancholijne westchnienie filozoficzne nie miało jednak zazwyczaj dodatniego wpływu na apetyt gościa.

Po skończonej kolacji porucznik Cataldi wołał zwykle jednego ze swych dwóch „kapangów“, aby odprowadził gościa do domu, z latarnią.

Jeżeli kazał to zrobić Saturninowi — gość oddychał z ulgą i dziękował Bogu, jeżeli jednak uprzejme to posłannictwo miał pełnić Pinheiro — gość z płaczem wymawiał się i ręczył, że sam trafi do domu.

Dziwna rzecz, że jakiś nieznany sprawca sprzątnął właśnie owego Saturnina. Wywołało to wielki popłoch w okolicy, w której znajdował się właśnie wówczas Cataldi, ale porucznik, który nie lubił monotonji i miał dosyć pomysłowości — zarzucił zupełnie system „jantaru“. W owym czasie dostał właśnie, czy znalazł wielkiego kota dzikiego, t. z. „jaguatirica“, ale tak wielkich rozmiarów, jak tego dotąd nie widziano. Był on mało co mniejszy od wyżła, a na pewno większy od pudla, podczas gdy zwykle „jaguatirica“ jest mniejsza od pudla a niewiele większa od foksterjera.

Nazywał ją pieszczotliwie „Peste“, to jest „zaraza“ i tresował do różnych sztuk, zamknąwszy się z nią sam na sam w pokoju, przyczem zwierzę miało łapy owinięte szmatami, aby nie mogło drapać, i kaganiec na pysku. Cataldi zaś uzbrajał się w ogromny, specjalnie zrobiony bat, zakończony kolczastą kulą. Osiągnął wreszcie to, że kot bał

go się, jak djabła, ale z całej tresury nauczył się tylko warować i reagować na rozkaz szczucia.

Przyjazd porucznika Cataldiego w te strony świadczył, że rząd spodziewa się jakichś poważnych rozruchów i w doświadczone ręce tego oficera oddaje misję zapobieżenia powikłaniom politycznym.

Kobuz przyglądał się ciekawie Cataldiemu i myślał, czy to prawda, co o nim mówią, że jest nałogowym samotnym pijakiem, morfinistą, a nawet zupełnie pewnym warjatem. Ale w nieruchomych, małych oczkach porucznika nic nie można było wyczytać.

— Panowie z podróży? — zagadnął nagle Cataldi ogromnie słodkim głosem.

— Sim.

— Ciekawa rzecz podróżowanie — westchnął Cataldi. — Człowiek widzi wielu ludzi, rozmawia z nimi, wymienia poglądy... Często sam zmieni pogląd, gdy zwolennik zagorzały jakiegoś ruchu trafi mu do przekonania...

Kobuz zaczął uważać na to, co mówił Cataldi, ale nie chciało mu się odpowiadać. Natomiast Szumny rozpoczął łamanym językiem zawiłą dyskusję teoretyczną na temat wymiany myśli

wogóle, a zmiany poglądów w szczególności. Cataldi słuchał go uważnie, nachylony ku niemu.

— Nie zajmujemy się tem — powiedział nagle Kobuz.

— Pan nie jest zwolennikiem filozofji? — uśmiechnął się Cataldi.

Kobuz przesunął swój pas z futerałem ku przodowi i poklepał po nim:

— To jest moja filozofja. Najlepiej przekonywa.

Cataldi zaśmiał się szeroko, ale nic nie odpowiedział. Pochylił się nad swoją bestją i pogłaskał ją po łbie, mimo że szczerzyła zęby. Za kotarą znowu rozległ się szmer, i weszła nagle młoda kobieta. Cataldi zerwał się i pochylił w ukłonie. Dwaj młodzi ludzie również wstali i patrzyli na nowoprzybyłą. Skłoniła im lekko głową. Melodyjnym krokiem, bo tak tylko można go było nazwać, podeszła do Fabricia i spytała go o coś półgłosem. Stary rozjaśnił się cały na jej widok, ale nie stracił tego stroskania, które już przedtem widać było na jego dumnej twarzy.

A kobieta powlokła niedbale oczami po wszystkich mężczyznach, stojących jeszcze nieruchomo, i popłynęła ku kotarze.

— Moja córka — powiedział po chwili Fabricio, patrząc jeszcze na kotarę — Gabriella.

Nikt mu nic na to nie odpowiedział. A kiedy siedli, zapanowało między nimi coś nowego. Było tak, jakby się już coś stało w powietrzu, co dopiero miało się ucieleśnić potem w życiu.

— Matka chora — powiedział jeszcze Fabricio — musi więc trochę mała zająć się domem.

Za chwilę z poza kotary ukazała się tylko ręka Gabrielli i postawiła na pobliskim stoliku czajnik z gorącą wodą i kuję do „szimaronu".

Po tej wizycie Kobuz zaczął bywać na fazendzie w różnych, nieraz najzupełniej nieodpowiednich porach dnia, ale nie zobaczył ani razu Gabrielli. Gadał zato dużo z Lazarem, który wrócił z dłuższego polowania i nie mógł się nacieszyć dawnym towarzyszem.

Okazało się, że senhorita Gabriella była wychowywana w mieście, u rodziny matki, i tam pobierała jakieś nauki, ale ponieważ rodzinie tej zaczęło się gorzej wieść, a Fabricio nie miał pieniędzy na opłacenie pobytu Gabrielli w mieście — powróciła ona do domu.

— Pewno długo tu nie będzie? — pytał Kobuz. — Źle jej pewno tu bez miasta?

— Otóż nie! — zachwycał się Lazaro. —

Wyobraź sobie, senhor, że uczy się ode mnie „cansonów“ kaboklerskich, lubi psy, pyta się o polowanie i chce jeździć konno.

Któregoś dnia spotkał niespodzianie Kobuz w wendzie — Fabricia. Nic nie mówiąc, pili razem „kaszas“ i pojechali potem jedną drogą. Fabricio był nieco podniecony i niedługo rozpoczął gawędę.

— Widzisz, senhor, dziecko to jest to, co jedynie może pocieszyć człowieka, który się skończył. Nie, nie! Nie zaprzeczaj mi pan: stary Fabricio się skończył. Gdyby był młodszy... Ha! gdyby był młodszy, to nie ośmieliłby się żaden... Zresztą, co tu gadać: zestarzałem się. Albo gdybym miał syna.

Kiwał głową z uśmiechem, a Kobuz nie śmiał mu przerywać i czekał z niepokojem czegoś jeszcze. Stary podniósł głowę i uśmiechnął się:

— Moja krew, senhor! Gdyby była chłopcem, ba! Jak ona tam się nudziła u tych... — chciał powiedzieć coś ostrego, ale skończył tylko — u tych krewnych. Wyobraź sobie, co mi powiedziała, że mogłaby tylko pokochać takiego człowieka, jak ja. Rozumiesz? Mimo, że „tam“ mówiono o mnie, jako o bandycie. Romantyczna

głowa. Tak mi o niej napisał brat Elzy. „Romantyczna głowa“...

Odprowadziwszy starego do fazendy, wracał Kobuz w najgorszym humorze w stronę kolonji. Plątał mu się po głowie Cataldi z jego dziką sławą, i uśmiechał się ironicznie, przypominając sobie, że Gabriella wyszła dopiero wtedy, gdy zjawił się ten pokurcz. A stary? Stary albo się boi, albo sprzyja. Gdzież? — taki „valentao“, jak Cataldi! Budził w sobie różne pogardliwe i wrogie uczucia ku tej pięknie chodzącej pannie, ale chował je przed samym sobą, jak świętość bolesną.

Nie znał tego stanu i czuł go, jak łkanie gdzieś w sobie, jak chorobę, i naiwnie szukał gdzieś winnego tej całej sprawy. Nie wiedział, czy to się nazywa i jak to się nazywa, wiedział tylko, że zgubił ten szeroki śmiech, jaki przywiózł z szerokich gościńców, że mięśnie mu zwiotczały, i wszystko stało się niepotrzebne, brzydkie i niezdarne. Chytrze krył jeszcze przed sobą, że jest tylko jeden punkt na całym świecie, który jest ważny. Że wszystko kręci się dokoła jednego słońca i że poza niem wszystko jest zupełnie ciemne.

Naraz trzepnął konia szpicrutą i puścił go w taki galop, że kiedy zarył go przed wendą

Reicha — koń aż siadł prawie na zadzie, jak pies. Nie wiążąc go, wpadł Kobuz do wendy i powiedział do Reicha rozkazująco:

— Daj mi pan „szklaneczkę“!

Potem wypadł z wendy z takim samym pośpiechem, aż Reich podniósł brwi i wyszedł za nim na próg. Kobuz gnał do swojej fazendy, gdzie jednak nie zastał ani Szumnego, ani Lazara. Nie rozsiodływał konia, lecz stał bez ruchu, jakby czekając jakiegoś natchnienia, podnoszącego się zwolna z jego własnego wnętrza.

Z „rancha“ wyszedł zdziwiony Mundego i patrzył na swego pana, prężąc powoli wszystkie swoje potężne mięśnie. Patrzył na niego Kobuz naprzód niewidzącemi oczami, potem przyglądał mu się uważnie, wreszcie się uśmiechnął. Przypomniały mu się walki z lasem, potem ze zwierzyną, potem z Indjanami i wreszcie z przestrzenią i ludźmi. Wsiadł na konia, gwizdnął na psa i pojechał znowu na fazendę.

Reich wyszedł na próg i tym razem już gwizdnął, widząc Kobuza. Zbliżał się wieczór, gdy Kobuz podjechał do fazendy i zobaczył konia Cataldiego, stojącego przed domem. Do tej pory zajeżdżał Kobuz zwykle w dzień i nigdy nie zastawał jakoś porucznika. Znowu podniosła się

w nim fala wściekłości. Psy były zamknięte w szopie i stamtąd tylko podniosły larum, gdy Kobuz zaklaskał. Mundego się nastroszył, ale nie szczeknął, ani nie pobiegł użerać się bezmyślnie z niemi przez wrota: zbyt dobrze znał on prawdziwe niebezpieczeństwa, aby przejmować się głupstwami. Natomiast kiedy Fabricio otworzył drzwi — Mundego zamruczał w głębi swego potężnego cielska, jakby chmury w nim się rodziły.

— Lepiej zostaw psa! — powiedział cicho.

— Nie, nie, dlaczego? — odezwał się z wnętrza głos Cataldiego. — „Peste“ jest uwiązana i nic mu nie zrobi.

Kobuz wszedł i, bylejak pozdrowiwszy porucznika, siadł naprzeciw drzwi z kotarą. Siadł i uparcie, i głupio wpatrzył się w zielony plusz. Chciał, żeby mu ktoś nareszcie powiedział, co to ma wszystko być i co on ma robić.

Fabricio kręcił się po izbie i zachowywał się co najmniej dziwnie. To patrzył na obydwóch mężczyzn, prostując się i marszcząc, to znów garbił się i oglądał z trwogą na drzwi.

Cataldi głaskał swojego kota, który wyrywał mu się i próbował pełznąć, dokąd mu pozwalał łańcuch, w stronę Mundego. A Mundego po pierwszych próbach marszu w tamtą stronę na

sztywnych z pasji nogach — położył się na rozkaz Kobuza tuż przy jego nogach, i tylko tylne nogi podrywały mu się co chwila drobnym podrzutem instynktu.

Po chwili weszła Gabriella, kiedy się tego najmniej spodziewali. Zerwali się, ale zaraz usiedli, bo nie podeszła do nich, tylko siadła tuż przy drzwiach z kotarą, jakby wpogotowiu do odlotu.

Cataldi wpadł naraz w jakiś dziwny trans i, śmiejąc się oraz robiąc tragiczne miny, zaczął opowiadać z patosem o jakiejś miejscowej rewolucji, w której brał udział. Gabriella słuchała go ze zmarszczoną brwią, ale nie patrzyła na niego. Nie patrzyła też w stronę Kobuza. To też zdziwił się, gdy, przerywając Cataldiemu, spytała nagle cicho:

— To pański pies, senhor Chico?

To niby nic, prawda? — a jakiż może być urok w kilku zwyczajnych słowach, i jak mogą one napełnić człowieka czemś nieznanem a radosnem.

— Tak, to jest mój pies — powiedział głupio i niezdarnie, nagwałt wysilając się, żeby podtrzymać rozmowę. Nie wymyślił jednak nic i z rozpaczą zamilkł. To ona powiedziała jeszcze:

— Czy jest zły?

— Bardzo zły!... To jest — właściwie dobry — plątał się beznadziejnie Chico, wreszcie skończył porywczo. — On wie, kiedy ma być zły. Ten pies wiele dokonał w swojem życiu. On jest... — zawahał się.

Gabriella obróciła tak pięknie pytające oczy, że Kobuz poczuł się naraz tylko niezdarnym, gburowatym chłopakiem.

— On jest, jak dzielny, uczciwy mężczyzna — powiedział ze wstydem.

Cataldi uśmiechał się nieszczerze. Potem rzekł:

— Nie myślę, żeby był dzielniejszy od mojej „Peste“!

I naraz jednym rzutem spuścił kota z łańcucha, wskazując w stronę, gdzie siedział Kobuz. Krzyknął przytem krótko, jakimś nieartykułowanym głosem, coś jakby: „Iiijjo“.

Kot rzucił się w stronę Kobuza, zanim patrzący zrozumieli, o co chodzi. Kobuz jednak zdążył wyszarpnąć rewolwer i chciał strzelić.

— Nie strzelać! — wrzasnął Cataldi. — Ona z psem będzie walczyć!

A kiedy Kobuz istotnie powstrzymał się, bo bał się zranić Mundega, z którym kot się już kotłował po podłodze, Cataldi dodał spokojnym, choć dziwnie chrapliwym głosem:

— Będziemy mieli rozrywkę.

Jeszcze Kobuz usłyszał tylko cichy okrzyk Gabrielli i trzask kurka od strony Fabricia. (Stary miał teraz rewolwer stale przy sobie.)

Zwierzęta zaś splątały się ze sobą tak szybko, jakby oba naraz miały w tem największy interes, aby się wzajemnie pożreć. Obecnie nie można było rozróżnić, które ma przewagę, bo robiły straszny wrzask i szamotały się tak szybko, jakby chciały samem potrząsaniem pozbawić się życia.

Wszyscy mężczyźni mieli broń napogotowiu, ale żaden z nich nie interwenjował, a wszyscy zbliżyli się nieco i patrzyli z dzikim wyrazem oczu a drgającemi szybko nozdrzami.

Gabriella stała uczepiona ramienia ojca i drżała szybkim, drobnym dreszczem. Mimo to, również nie odrywała oczu od tego, co się działo na podłodze.

Kot stracił swój pierwszy atut zaraz w początku walki, ponieważ nie zdołał skoczyć psu na kark, jak to robi cała rodzina kotów. Mundego miał się cały czas na baczności i w tym samym momencie, kiedy kot się na niego rzucił — odwrócił się do niego frontem. To też „Peste“ zdołała mu tylko pokaleczyć pysk. Natomiast Mundego złapał ją za skórę podgardla i cały wysiłek

włożył w poprawienie tego uchwytu, który był tylko powierzchownym i nie mógł decydować o wyniku walki. Kot miał przewagę czterech łap, opatrzonych strasznemi pazurami, i niesłychanej gibkości, pies górował wielkością i siłą, i jakimś rozmachem nienawiści.

W pewnym momencie „żaguatirice“ udało się nadzwyczaj boleśnie przeorać brzuch psa przez całą długość, aż pazury tylnych łap zatrzymały się na chwilę w ciele. Okropny ból podciął psa, jak biczem, przyczem puścił na chwilę gardło przeciwnika. Zaraz jednak w następnej chwili rzucił się na toż samo gardło z taką pasją, że objął je całe swoim pyskiem i, zaciąwszy kurczowo szczęki, zaczął potrząsać coraz silniej kotem w prawo i lewo. Kot wrzeszczał jakimś niespotykanym w przyrodzie głosem i rozwartemi, jak do serdecznego uścisku, łapami usiłował uchwycić przeciwnika w bolesny uchwyt pazurów.

Po chwili jednak ciało kota zaczęło się wstrząsać łatwiej, skuteczniej i trzepało się na strony niby mokra szmata.

— Chega! — Dosyć! Dosyć! — rzucił się Cataldi ze swoim ogromnym kańczugiem w jednej a rewolwerem w drugiej ręce.

— Calma! — Spokój! — powiedział Kobuz

tak cichym głosem, że stawało się to straszniejsze, niż gdyby krzyczał. Ścisnął przytem rękę karłowatego oficerka i trzymał ją, nie oglądając się nawet na niego. W pewnej chwili puścił tę rękę i podszedł do psa. Położył mu dłoń na głowie i powiedział:

— Mundego. Już. Puść, piesku, puść.

Pies przestał wstrząsać ciałem wroga, ale szczęk nie rozwierał. Wszystkie mięśnie, wnętrze całe i struny głosowe drgały jeszcze burzą walki. Wreszcie potrząsnął nim jeszcze raz i odrzucił nabok.

I w tej chwili Gabriella krzyknęła ostro, a Kobuz i Cataldi jednocześnie schwycili za rewolwery. Twarda bowiem natura kota jeszcze się nie poddała bezwładowi śmierci: wrzasnął on jeszcze i próbował się ciskać. Ruchy jednak jego były bezcelowe i urywane, wywracał koziołki i drgał, aż wreszcie chwyciły go drgawki, wyraźnie już przedśmiertne. Mundego nie rzucał się na wroga, ale stał pochylony do przodu i gotów na wszystko. Wreszcie kot wyciągnął się wygodnie i uspokoił się.

— Acabou - se! — Skończył się — powiedział Fabricio bezbarwnie, ale z jakimś odcieniem ulgi.

Cataldi stał nad ścierwem zwierzęcia i nie wierzył jeszcze w jego śmierć. Wreszcie wyprostował się i spojrzał źle na Kobuza. Potem kopnął ze złością trupa i wyszedł. Z progu tylko rzucił zwykłe, ale dziwnie zaakcentowane pożegnanie:

— Até logo! — Do rychłego!

Mundego był poraniony obficie, ale rany nie były zbyt głębokie. Pozwolił sobie teraz na ciche poskamliwanie, gdy jego pan, razem z tą nieznaną panią, opatrywali mu rany. Wiedział dobrze, jakie wrażenie wywarł, i oglądał się, czy go dość oceniają. Tę słabość ma przecie każdy dzielny wojownik.

Od tego czasu Kobuz zaczął bywać na fazendzie coraz częściej, i udawało mu się od czasu do czasu zobaczyć Gabriellę, choć nie zamieniali ze sobą więcej, niż kilka słów.

Musiała siedzieć przy matce, z którą rzeczywiście coś źle się działo. Wybiegała tylko na chwilę z za kotary, aby rzucić powitanie i dowiedzieć się o zdrowiu Mundega. Cieszyła się, że był już prawie zdrów.

Stary Fabricio jakby odżył na nowo, choć kręcił głową z powątpiewaniem, ilekroć coś mu przychodziło na myśl. Wreszcie ostrzegł Chica. Prawdopodobnie Chico nie orjentuje się, z kim

zaczął, i że wyrządził śmiertelną obrazę Cataldiemu? A on nie zapomina. O, nie zapomina!

— Tak samo pan mnie straszył Virgilem! — zaśmiał się Kobuz i naraz zapytał. — A, prawda: dlaczego go nigdzie nie widać?

— Właśnie, właśnie! — powiedział stary. — Virgilio jest w oddziale Cataldiego. Stoi w Rio Negro. Jest sierżantem i „kapangą“. Zdaje się, że oni pilnują czegoś nad Rzeką.

— Cóż mnie to obchodzi! — śmiał się Kobuz i latał oczami za ruchami Gabrielli.

— Och, och! młodość! — szemrał dobrodusznie stary. — Wszystko to oznacza, że będą tu poważne rozruchy. Mówią nawet o... — tu stary głos zniżył — o „fanatykach!“

— O fanatykach?

— Ach, tak. Pan nie wiesz? Fanatycy to uczniowie jakiegoś proroka.

— A cóż ma do nich policja?

— To trudno wytłumaczyć — bąkał stary. — „Fanatycy“ co jakiś czas zjawiają się, i wtedy są rewolucje. Czasami znów są oni wygodni dla rządu. Zwłaszcza tu, na „contestado“.

Trudno było istotnie połapać się, kim są „fanatycy“, o co im chodzi, kto ich zwalcza, a kto ich podtrzymuje. Wieści chodziły o nich najróż-

niejsze. Więc jedni twierdzili, że są to istotnie święci ludzie, ponieważ głoszą nową wiarę, wiarę w przywoływanie duchów, oraz odbierają pieniądze bogatym, aby je oddać biednym. Inni twierdzili, że są to spryciarze, którzy pod pozorem apostolstwa grabią i gwałcą. Inni jeszcze twierdzili, że rząd Parany celowo podtrzymuje te ruchy, aby dowieść, że teren sporny (czyli „contestado“) wymaga natychmiastowego objęcia przez władze i to oczywiście władze stanu Parana, jako lepiej zorganizowanego, starszego i większego. Rząd zaś St. Cathariny podobno zwalcza ich energicznie, wykazując przez to, że jest już faktycznym gospodarzem spornego terenu.

Ponieważ chodziło tu tylko w części o ambicje polityczne i pewne urozmaicenie rewolucyjne, które jest tak mile widziane w Brazylji, a przedewszystkiem odgrywały rolę wielkie tereny rządowych ziem, na których mogły dorobić się będące u władzy rodziny w obu stanach — sprawa zatem przedstawiała się dość poważnie.

Contestado ciągnęło się wzdłuż całej dzisiejszej granicy obu stanów i obecnie jest przyznane w przeważającej części (co nawet wywołało zarzuty zdrady w stosunku do ówczesnego prezydenta Parany) stanowi St. Catharina; nie istnieje

już więc, ku wielkiemu żalowi pewnych elementów i grup społecznych. W owym jednak czasie szło wielkiem pasmem od wschodu, wzdłuż rzeki Iguassu, i dochodziło aż do granicy argentyńskiej, pomiędzy rzekami Iguassu, Rio Chapeco i miejscowości, zwanej Xanxere. Na zachodzie więc obejmowało szerszy pas, ale część wschodnia miała większe znaczenie, jako bardziej zaludniona, bliższa morza i centrów. Tu też ogniskowała się akcja „fanatyków", wpobliżu Rio Negro i na południe od niej, aż do nowych kolonij.

Że stawało się gorąco — nie było wątpliwości: konni żołnierze włóczyli się stale po drogach, co zresztą nietylko nie uspokajało podróżnych, ale przeciwnie — kazało im starannie omijać tych obrońców. Żołnierze owych czasów, wobec niemożliwości zorganizowania normalnego poboru rekruta oraz masowych ucieczek z koszar, byli poprostu bandytami, którzy „dorabiali" do swego żołdu „rewizjami" poszczególnych obywateli, o ile ci nie byli zbyt dobrze uzbrojeni i nie jechali w większej gromadzie.

Tkwili też ciągle w wendzie, i zdarzało się, że nie płacili za kaszas, albo dawali tak niedbale podrobione banknoty, że nie było żadnej nadziei puścić ich dalej. Na to niedbalstwo słusznie za-

patrywano się, jako na krzyczącą krzywdę i lekceważenie przyjętych form rabunku w interjorze.

Samych „fanatyków“ jednak nie było widać i słychać, choć chodziły głuche wieści, że gdzieś rozbito ich, czy tylko rozpędzono. Cataldi ukazywał się w kolonji mało, natomiast było wiadomo, że ściągnął z Rio Negro cały swój oddział i, mimo szemrania żołnierzy, nieprzyzwyczajonych, aby ich pędzano bez zastanowienia po lasach i drogach — ruszył w okolice kolonji na jakieś tajemnicze pochody.

Pewnego dnia Kobuz, wróciwszy z fazendy, zastał w „rancho“ jakiegoś obdartusa ze sporą brodą, który pił łapczywie ukrop szimaronu. Szumny siedział naprzeciwko i przyglądał mu się, jak dzikiemu zwierzęciu.

Kiedy Kobuz wszedł, obdarty Caboclo zerwał się, jak ścigana zwierzyna, ale uspokoił go Szumny — kucnął więc znowu przy kominku.

— Prorok! — wskazał na niego Szumny ze śmiechem w głosie. — Ma osobiste znajomości w niebiesiech, a głównie spoufalony się wydaje ze świętym Józefem. Obiecał mi protekcję.

A widząc, że Kobuz patrzy surowo, dorzucił:

— No, co miałem robić? Siedzę na progu — ty się teraz, djabli wiedzą, gdzie włóczysz i zro-

biłeś się całkiem nie do użytku — siedzę więc, a tu z zarośli wyłazi na czworakach ten prorok i prosi, żeby mu dać odpocząć. Dałem mu trochę fiżonu, a teraz parzy sobie złotouste wargi szimaronem. Opowiadał mi bardzo dużo, ale teraz całkiem go zatkało. Zdaje się, że się obraził na mnie, bo traktowałem go za mało uroczyście. Trzeba ci wiedzieć, że jest to sam José Maria i że ściga go Cataldi. Myślałem więc, że będziesz zadowolony, że utrudnimy panu porucznikowi polowanie na proroków.

Kobuz wzruszył ramionami, dając znak, że ostatecznie wszystko mu jedno, i począł także przyglądać się „fanatykowi". Ten zaś, usłyszawszy swoje imię, podniósł głowę i powiedział:

— Stary, zły świat musi zginąć we krwi, jak bestja o czterech głowach, jak królestwo Goga i Magoga, aby urodził się świat nowy, pod wodzą gminy świętych.

— Hm, projekt niczego! — gadał Szumny. — Choć — o ile wiem — św. Józef nie projektował takich poważnych zmian.

W tej chwili zaszczekał Mundego krótkim, ostrzegawczym głosem. Wszyscy trzej mężczyźni porwali się niespokojnie i wyjrzeli z budy. Przez wrota przejeżdżała właśnie spora kawalkata

jeźdźców, porając się z bramą, która zamykała się za każdym z nich.

— Hola! Toć to Cataldi! — mruknął Szumny.

— A koło niego Virgilio! — powiedział do siebie Kobuz i poprawił rewolwer, przesuwając zarazem futerał ku przodowi.

— Co będzie? — spytał niespokojnie Szumny, tracąc zwykły tupet.

— Koniec — krótko odpowiedział Kobuz i z żalem przywiódł przed swoje oczy muzykalny chód Gabrielli i jej czarne oczy, które tyle miały głębi, że można w nie było patrzeć, jak w głąb lasu.

Sięgnął poza siebie po Winchester i błyskawicznie liczył w myśli: dwanaście kul w karabinku, sześć... a prawda, tylko pięć, w rewolwerze, bo pod kurkiem nie było kuli. Razem osiemnaście. Ich jest ośmiu. Ba! ale nie dadzą wystrzelić. A może już do nich zacząć? Nie, głupio. Na Szumnego niema co liczyć — najwyżej jednego sprzątnie, o ile nie zgłupieje całkiem. Tamten zaś, warjat, z nieruchomemi oczami będzie tylko przeszkadzać...

Konni zbliżali się galopem i mieli rewolwery w rękach.

— Koniec — raz jeszcze mruknął Kobuz.

Potem chwyciła go nagła złość i, kiedy Mundego wysuwał się z głośnem ryczeniem naprzód, krzyknął:

— Odkąd to wjeżdża się na czyjeś podwórze bez pytania gospodarza?

— Odkąd gospodarz ukrywa „fanatyków“! — wrzasnął w natchnieniu Cataldi, osadzając konia.

Kobuz stał bez myśli, czekając, aż sytuacja dojdzie do takiego punktu, kiedy będzie mógł użyć broni. A może czekał, aż nazbiera się w nim dosyć owej pasji, która wybuchała u niego, jak dynamit, i zyskała mu przydomek „bravo“.

Cataldi był już pewien swego, więc przestał się krępować:

— Widzisz, durny cudzoziemcze — powiedział słodko. — Nie zdawałeś sobie zupełnie sprawy, że to z Cataldim sprawy. Ty sobie jeździsz z zamglonemi oczami do fazendy, a ja już trzeci tydzień poluję na tych warjatów, żeby ci ich napędzić do chaty!

W tej chwili ugryzł się w język i dodał:

— Oczywiście, chcąc się przekonać, czy przyjmiesz ich i okażesz się przeciwko rządowi,

czy za nimi. A teraz mamy odrazu dwóch ptaszków: „proroka“ i „Chico Bravo“ — „groźny“ nie wie, którędy uciekać — taki jest zły!

Żołnierze zaśmiali się, a zwłaszcza cieszył się Virgilio, który także zbliżał się, popychając zwolna konia. Nie miał w rękach ani karabinu, ani rewolweru, co pozwalało przypuszczać, że ma zamiar użyć swej strasznej broni — brzytwy.

W tej chwili mata, wisząca u wejścia do ransza, poruszyła się, i wszyscy nastroszyli się w tym kierunku.

Z chaty wyszedł powoli Szumny, przeciągając się, jak z wielkiego snu, i zapytał zdziwiony:

— Co to takiego? Co oni chcą?

— A jest jeszcze jeden ptaszek! No, niechże i „prorok“ wyłazi?

— Kto taki? — zdumiewał się Szumny. — Przecież u nas nikogo niema i nie było.

I gwałtownym ruchem, który odezwał się Kobuzowi w sercu, odsłonił wnętrze szałasu.

Zarówno Kobuz, jak przybyli, oniemieli. Proste wnętrze chaty było bezspornie puste.

Cataldi zeskoczył z konia i szedł ku ranszu, krzyknąwszy tylko na Kobuza:

— Trzymaj tam to twoje bydlę, bo strzelę w łeb!

Mundego stał i ryczał jakimś podziemnym grzmotem.

Nie było zresztą co sprawdzać: w szałasie nikogo nie było. Nie było też widać, żeby w której ścianie zrobiono otwór.

— Uciekł od tyłu! — wrzasnął Cataldi. — Do rzeki uciekł!

Żołnierze ruszyli w kierunku rzeczki, ale niezbyt chętnie.

— To czary — mruczeli między sobą.

— Może on przemienił się w tego czarnego psa?

— Nie — odpowiedział stanowczo inny — tego psa znam już dość dawno.

Zresztą „tamten“ był siwy, a pies jest czarny.

— Możliwe — zgadzali się, ale jechali powoli i niechętnie.

Kiedy powrócili, oświadczyli Cataldiemu, że rzeczka jest tak bystra, a brzegi tak strome, że niema mowy, aby ktoś przeszedł.

— A kładki niema? — spytał Cataldi podejrzliwie.

— Nie, kładki niema.

Odjechali więc, żegnani pogróżkami oburzonego Szumnego, bo Kobuz milczał tylko i patrzył.

Od bramy tylko Cataldi odwrócił się jeszcze i krzyknął:

— Zobaczymy się!

— Będziemy się starali! — przywtórzył Kobuz.

W trakcie najbliższych kilku dni zdarzyło się dwukrotnie, że ktoś niewiadomy strzelił z ukrycia do wracającego o zmroku z fazendy Kobuza. Nie mówił o tem na fazendzie, powodowany wstydem, że zechcą go podejrzewać o chwalenie się, ale i tak wieść o tem dotarła do starego i do Gabrielli.

W pewnej chwili, gdy rozmowa zamilkła, powiedziała cicho:

— Senhor nie powinien jeździć o zmroku...

Spojrzał na nią bystro i czekał niecierpliwie, co powie jeszcze. A ona z ociąganiem mówiła:

— Właśnie ojciec mówił, że do pana strzelali. Trzeba być ostrożnym...

Chico promieniał cały i szukał gwałtownie jej oczu, które chowała równie starannie:

— Jakby się coś stało — byłoby bardzo przykro...

— Komu? — ze ściśniętem gardłem zapytał Kobuz.

— No, tatusiowi i wogóle... — powiedziała cichutko.

Kobuz zaraz spochmurniał i spuścił głowę.

Ach, jacyż zabawni i niemądrzy są mężczyźni!

Wreszcie jednak ta kipiąca atmosfera musiała wybuchnąć. Kiedy Kobuz wstąpił na kieliszek „cachasu“ do wendy Reicha (do Pankosza teraz nie zajeżdżał) — zastał tam Virgilia, który wyglądał na to, że oczekuje go.

Musiał być dobrze pijany, bo bez żadnych ceremonjalnych i pomysłowych wstępów, które zachowuje każdy przecież przed krwawą awanturą, podszedł do Kobuza i ryknął:

— Covardo! Ladrao! — Tchórzu! Złodzieju!

Kobuz zdążył zaledwie o cal uchylić się od brzytwy, którą mignął i która prawie bezboleśnie przecięła mu ramię. Natychmiast jednak rozległ się strzał, i Kobuz prawie się zdziwił, gdy zobaczył, że ma w ręku rewolwer i że Virgilio chwieje się dziwnie.

Reich rzucił się do wyjścia z lady i krzyknął do swego dawnego „kapangi“:

— Bierz go, tego bandytę!

Virgilio nachylił się do skoku, ale w tej chwili rozległ się drugi strzał — Kobuza, i trzeci — Reicha.

Kobuz skoczył jednym rzutem do drzwi, zatrzasnął je za sobą i, nie namacawszy jeszcze strzemion, rzucił konia w galop. Usłyszał tylko za sobą jakieś wrzaski i strzały, ale za chwilę już i to ucichło.

Podświadomie kierując koniem, znalazł się na fazendzie i prawie nieprzytomny zwalił się w ramiona Lazarowi, który kręcił się po podwórzu. Natychmiast wybiegł też Fabricio i zawołał, nie rozpytując o nic:

— Tu będą cię szukać. Nie możesz tu być. Lazaro, wsiądziesz na konia i opatrzysz go w lesie.

Kiedy wpadł na wąską „tropę“, w zamglonych oczach Kobuza mignęła przy płocie jakaś postać, i zdawało mu się, że słyszy żałosny głos:

— Chico!...

Nic więcej, tylko to imię. Ale kiedy po chwili oprzytomniał i zrozumiał, że leży gdzieś głęboko w lesie w „rancho“, które służyło za nocleg w czasie polowań — poczuł jeszcze ten sam uśmiech na ustach, który mu wykwitł wtedy, gdy usłyszał tamten okrzyk. A może nawet wszystko mu się wydało, bo i teraz widział to Virgilia, z którym walczył Mundego, to Cataldiego, który czaił się pod ławą, jak „żaguatirika“, to Gabriellę, która chowała się za kotarę.

Od tej pory Kobuz znikł z kolonji. Po jakimś zaś czasie zaczęły chodzić słuchy, że między Rio Negro a kolonją zjawia się „valentâo“, który przedewszystkiem zabiera amunicję do Shmita kal. 32.

Nie brał tego pod uwagę Cataldi, ponieważ wiedział z doświadczenia, że wśród „polacos“ niema „walentonów“. Nie zdawał sobie jednak z tego sprawy, że Kobuz był zupełnie inny, niż jego gromada, i że wszyscy dokoła zdają sobie sprawę, kim jest ów „valentâo“.

W kolonji mówiło się o tem z oburzeniem. „Na bandytę się wykierował!“ — ale wśród żołnierzy, kabokli pijących w wendzie i nawet... na fazendzie mówiono o nim z uśmiechem pobłażliwym, jakby się ganiło psotnego, ale sprytnego syna. Trzeba zresztą przyznać, że nie słychać było o zabójstwach, a zwłaszcza cywilnych ludzi.

W każdym razie w miesiąc już po jego ucieczce wiedziano, w promieniu kilkunastu kilometrów od Rio Negro, że Chico Bravo „wyszedł na drogę“, że ma gniadego konia, że zajeżdża drogę tylko o zmroku lub przed świtem i że interesuje się bardzo ruchami oddziału porucznika Cataldiego.

Prawie wszędzie w takich wypadkach sympatja jest po stronie awanturnika, a nie władzy;

w Brazylji zaś ma on po swojej stronie nawet entuzjazm. Temu chyba należy przypisać, że Cataldi nie mógł nigdy otrzymać dokładnych wieści, gdzie mianowicie ukazał się nieuchwytny Chico. Zeznania były sprzeczne ze sobą, plątały miejsce i czas, tak, że wszystkie prawie wyprawy były daremne. Zaczął nawet Cataldi podejrzewać, że stamtąd właśnie go wysyłano, dokąd miał ochotę udać się Chico, bo przewąchiwał, że w czasie jego nieobecności na kolonji zajeżdżał tam cichaczem.

W tym też mniej więcej czasie zniknął mu jeden i drugi żołnierz, posłany w pojedynkę. Odtąd żołnierze nie chcieli wyjeżdżać samotnie, co znowu krępowało ogromnie ruchy Cataldiemu. Odgrażał się i klął, albo zamykał się i nie wychodził całemi dniami. Co go jednak do rozpaczy doprowadziło, to fakt, że na jego klaskanie nikt z fazendy nie wyszedł za ostatnią jego bytnością. Podobno żona Fabricia była umierająca, ale Cataldi gotów był przypuszczać, że i to robiono mu na złość. Istotnie jednak pogrzeb Elzy odbył się w kilka dni potem, i trudno było podejrzewać, że wszystko to działo się tylko w pikę małemu porucznikowi.

W tydzień coś po pogrzebie jechał Cataldi w gromadce kolonistów od wendy w stronę Rio

Negro. Oni jechali przewiedzieć się o cenę herwy, on zaś towarzyszył im, próbując, jak zwykle, dowiedzieć się czegoś o Kobuzie. Plątał się też przy nich Lazaro, jak zwykle, bez wyraźnego celu.

Naraz za sobą usłyszeli silny głos:

— Nie oglądać się, bo strzelam!

Mimowoli jednak obejrzeli się i natychmiast znowu spojrzeli przed siebie. Cataldi chwycił rewolwer, ale w tej chwili otrzymał nieprzyjemne zapewnienie, że „jest na muszce".

— Stójcie tak i nie ruszcie się! — powtórzył ten sam głos już bliżej.

Następnie Cataldi poczuł, że ktoś mu wyjmuje rewolwer z futerału i na karku poczuł jednocześnie zimną lufę. Chciał rzucić się, ostatnim odruchem rozpaczy, ale głos powstrzymał go:

— Jeżeli nie będziesz się rzucał — nie zabiję cię.

A potem:

— Złaź z konia!

Zlazł wściekły, ale nie oponował. Straszny porucznik jakoś nie usprawiedliwiał swej opinji. Koloniści zaś stali nieporuszeni i nie sięgali do rewolwerów, których napastnik im nie zabrał. Może rozumieli, że jest to prywatna sprawa

między napastnikiem a Cataldim, i że byłoby co najmniej niestosowne mieszać się do niej. A może jeszcze jakieś powody powstrzymały ich od obrony przed napastnikiem.

Tymczasem Kobuz kazał porucznikowi wyjść przed całą grupę i odwrócić się twarzą do niej.

— Teraz klęknij i proś o życie, to ci je daruję.

— Nigdy, bandyto! — pisnął Cataldi.

— Uważaj, Cataldi! — Jeszcze słowo i wpakuję ci kulę. A wierz mi, wprawiłem się doskonale.

— Czego chcesz? — warczał prawie Cataldi, odwracając oczy od wylotu lufy.

— Klęknij i proś o życie.

— Kobuz, miejcie umiarkowanie... — zaczęli koloniści.

— Ani słowa! — wrzasnął tak dziko, aż ich dreszcz przeszedł. — Nic między mną a gromadą. Parszywa owca jestem!

Koloniści patrzyli i nie wierzyli swym oczom: straszny Cataldi przykląkł w ich oczach na jedno kolano i powiedział przez zęby:

— No, już. Masz.

— Proś o życie — powtórzył nieubłagany głos.

— Proszę o życie — odezwał się stłumionym przez pasję głosem porucznik.

— To nanic — zdecydował Kobuz. — Nie masz wcale pomysłowości. Powtarzaj, co ja ci będę mówić.

I nastąpiła wspaniała scena, którą często opowiada się jeszcze dziś przy szimaronie lub kaszasie. Ale zdaje się, że cały jej artyzm umiał ocenić jedynie Lazaro, który znał dobrze świat awantur i jego ceremonjał.

— Ja, nędzne „bicho“... — zaczął Kobuz.

— Ja, nędzne „bicho“ — odezwało się echo z klęczek.

— Mały „karapat“ (kleszcz) i głupi tukan...

— ...tukan...

— ...przysięgam, że nigdy nie będę nastawać na życie szlachetnego mego przeciwnika, Chica Bravo... Przeciwnie, będę go strzegł, jak oka w głowie, będę go ochraniać, jak wierna piastunka... Będę go miłować i pył zamiatać przed nim... Bo nie jestem wart wynosić nawozu z pod jego konia... A za to wszystko tenże Chico daruje mi moje marne życie, bo i tak ktoś uczciwy w łeb mi strzeli...

— strzeli.

Czekali co chwilę towarzysze porucznika, że

w któremś miejscu przecież urwie się jego cierpliwość, i że resztka dumy porwie go bodaj z gołemi rękami na kpiarza. Ale nie doczekali się tego do końca. Dziwnie im teraz wyglądał ten straszny „tenente“, o którym tyle dziwów się nasłuchali. Naiwni! — nie wiedzieli o tem, że okrucieństwo aż nazbyt często chodzi w parze z panicznym lękiem o własną szanowną skórę.

Jednak kiedy porucznik wstał blady z klęczek, zrobiło im się dziwnie nieprzyjemnie, tak straszne miał oczy.

— Na! pyf! — krzyknął wtedy Kobuz, rzucając mu na ziemię rewolwer i zawracając konia.

Zanim go znalazł w kurzu Cataldi, konia i jeźdźca nie było już widać. Stał więc jeszcze chwilę porucznik, patrząc w tamtą stronę za nim, zionąc nienawiścią, jakby strugą jadu. Potem powoli poszedł do swego konia.

— Jedźmy — powiedział nienaturalnie spokojnym głosem i wycofał się na tył oddziału.

Naraz rozległ się wystrzał, i Lazaro ryknął, jak raniona puma: to Cataldi strzelił mu całkiem blisko ztyłu w środek pleców.

— Tyś go sprowadził — wrzasnął, wyładowując wreszcie duszącą go pasję.

— I wy! — zapiał, strzelając po raz drugi.

— Oj! — jęknął ktoś głęboko, trafiony widać dobrze.

Cataldi powziął widać projekt pozbycia się świadków swego upokorzenia. Zerwali się jednak błyskawicznie do galopu, a ponieważ ciemniało już w szybkiem tempie — nie zdołał dokonać zamiaru.

Tak! — teraz już mieli dokładny pogląd na tenente Cataldiego. Zrozumieli, że umiał gryźć, jak przydeptana żmija, i że nikomu niczego nie przebaczy nigdy w życiu.

Ponieważ ani Lazaro, ani ranny kolonista nie umarli, kilku zaś pozostało zupełnie zdrowych — opowieść ta rozeszła się i doszła do nas. Że jednak chwilowo powstrzymało to jej rozwój — niema wątpliwości.

A potrzebował Cataldi jeszcze trochę czasu, aby jego plan się powiódł. Miał on instynkt dzikiego zwierzęcia, gdy obmyślał swoje nieskomplikowane zasadzki.

Tak było i tym razem. Wiedział on na pewno, jakby mu kto obiecał, że Kobuz niedługo będzie na fazendzie. Nietylko poto, aby zresztą dowiedzieć się, czy Lazaro ma się lepiej (jeżeli już mu donieśli o jego ranie).

A Lazaro, pielęgnowany przez Gabriellę, na-

przemian to sykał — to trząsł się ze śmiechu, ile razy wspomniał scenę. Nieomieszkał jej nieco ubarwić, aby tworzyła utwór bardziej zamknięty i aby jego rola była nieco bardziej czynna. Miał on mianowicie doskonale słyszeć, jak Chico wyjeżdżał z gąszczu, a następnie miał uspokajać go i nawet prosić łaski dla porucznika, a wreszcie miał wyrazić delikatne zdziwienie co do zachowania się porucznika, co ten przyjął z pokorą, jako przyjacielską radę starego bywalca. Dopiero potem jakiś nagły atak szału spowodował go do użycia broni.

Sprawiedliwie jednak oddawał Lazaro pierwsze miejsce Kobuzowi:

— Chico to jest mężczyzna! — powtarzała ciągle Gabriella. — A przytem co za delikatność, pomysłowość...

Stary Fabricio uśmiechał się wtedy i mruczał:

— Jest taki, jaki byłem ja.

Któregoś wieczora podczas takiej rozmowy psy nagle krótko zaszczekały i umilkły.

Potem rozległy się kroki tuż koło domu. Wszystkim błysnęła taż sama myśl:

— Cataldi?

Niemożliwe jednak, aby się ważył na wejście po nocy na cudze podwórko. Fabricio schwycił

jednak rewolwer i stanął tuż przy drzwiach, nieco zboku.

— To ja, Chico. Samiście?

— Sami... — zamierającym szeptem odpowiedział stary Fabricio, i najpiękniejsze czasy stanęły mu przed oczami. Spojrzał jednak na córkę i spytał:

— Nie widzieli cię?

— Nie.

— Gonią cię?

— Nie... Ja sam...

Gabriella złożyła ręce na piersiach i oddychała szybko, jakby miała zamiar śmiać się lub rozpłakać nagle.

Kobuz wszedł powoli i zatrzymał się w progu.

— Wybaczcie — powiedział — może nie powinienem... Ale...

Nie umiał się tłumaczyć, tylko oczami wszystko mówił, myśląc, że nikt tego nie spostrzega. Gabriella podchodziła do niego swoim płynnym, powiewnym krokiem, jakby tańczyła jakiś taniec. (A może tańczyła — miłość?)

— Nie jesteś ranny? — spytała głosem piersiowym i jakby tylko dla niego wydobytym.

— Nie, Gabriello — powiedział, odważając się na wymówienie tego imienia.

Otwartemi szeroko oczami pili siebie wzajemnie, odkrywając na nowo starą bajkę.

Kiedy zaś rozpoczęła się ogólna rozmowa, ukradkiem jeszcze całowali się przelotnemi spojrzeniami.

Ostatni akt byłby się rozegrał na miejscu, w fazendzie, gdyby Pinheiro, widząc ze swej zasadzki wchodzącego Kobuza — zastrzelił go odrazu, zamiast wracać po resztę. Z drugiej strony Chico byłby zupełnie uniknął tym razem przygody, gdyby pojechał odrazu w stronę lasu. On jednak starym nawykiem pojechał od fazendy w stronę kolonji i dopiero przy głównym trakcie zorjentował się, gdzie jest. W ten sposób wpadł sam w ręce oddziału, który właśnie wyjeżdżał z bramy obejścia Reicha, gdzie porucznik kwaterował.

Miało to zresztą tę dobrą stronę, że fazenda formalnie nie ściągnęła na siebie zarzutów.

Noc była przeklęcie widna, i jedyny ratunek był w szybkości nóg końskich. Rozpoczęły się wyścigi, które roznamiętniły nietylko ludzi, ale i konie. Kobuz miał przewagę ze względu na swego doskonałego konia, żołnierze zaś mieli możność strzelania ztyłu za nim. Świsnęło też kilka kulek, ale trafić w nocy, z rewolweru, w ucieka-

jącego o kilkadziesiąt kroków jeźdźca — nie jest tak łatwe.

— Karabinów nie mają! — błysnęła radosna myśl Kobuzowi. Ale w tej chwili przekonał się, że się myli: rozróżnił wyraźnie wśród hucznych rozgłosów rewolwerowych suchy trzask Winchesterów. W początku gonitwy nie zdążyli ich tylko zdjąć z pleców, albo liczyli na to, że szybciej zbliżą się do gonionego.

Myśl Kobuza pracowała usilnie, ale nie znajdowała żadnego wyjścia. Nie wierzył coprawda w swoją śmierć, tak był pełen radości po wizycie na fazendzie, ale sytuacja nie była wcale godna pozazdroszczenia. Gdyby był sobie zwykłym przestępcą i gonił go zwykły patrol policji — mógł liczyć na to, że na drugim kilometrze „oddział" zawróci i doniesie swoim władzom przełożonym: „Dzięki czujności i wywiadom oddziału... wpadł w nasze ręce znany opryszek... będący postrachem całej okolicy... jednak dzięki zdradzie, oraz słabości naszych koni, które wskutek zalegania żołdu są źle żywione... nie tracimy jednak nadziei..."

Ale tu jechał sam Cataldi; tu była sprawa osobista, a dla niej Brazyljanin zrobi wszystko, co może. Nie, na zniechęcenie się ich nie można

liczyć. Rzucić się gdzieś wbok? — Chyba poto, żeby zaplątać się w gęstwinie. Zatrzymać się i strzelać? — Nim to zrobi — nadlecą i poprostu końmi go najadą. Żeby choć jeden dom po drodze!

Naraz koń, i tak sapiący pełnemi nozdrzami ze zmęczenia — kwiknął i wierzgnął, a następnie zaczął nierówno podskakiwać jedną nogą. Kobuzowi zimno przeleciało po krzyżu: teraz sytuacja stała się wcale niewesoła. Zaczynał przypuszczać, że może to się skończyć naprawdę źle. Myślał o tem z pewnem zdziwieniem: nauczył się, obserwując posunięcia Jego Królewskiej Mości Losu, że daje tym, którzy mają, a odbiera tym, co nie mają nic. Że nie napada radosnych i pełnych otuchy, a dobija zgnębionych. Czyżby więc teraz, kiedy mu tak radośnie, kiedy jeszcze słyszy...

Nim zdołał o tem pomyśleć, przeleciał wielkim łukiem przez łeb konia, który rzucał się teraz na drodze. Podniósł się natychmiast, ale potrzeba mu było kilku sekund, aby oprzytomnieć i zorjentować się w stronach świata.

Rozejrzał się jeszcze dokoła, z żalem pomyślał o koniu i siodle, które musiał zostawić na pastwę tych drabów, i rzucił się w las.

Dziwnym trafem las nie był zbyt gęsty i, tnąc

fakonem, oraz przeciskając się całem ciałem, można było od biedy posuwać się naprzód. Plusem dla Kobuza była strata czasu żołnierzy, konieczna dla zeskoczenia z koni, a następnie zmniejszenie się ich liczby bodaj o jednego, który musi zostać przy koniach. Złą stroną sytuacji było torowanie przez niego samego drogi prześladowcom.

Zaczął ją wikłać, jak mógł, ale w ten sposób sam tracił na rozpędzie; zrezygnował więc i rwał wprost przed siebie. Już za chwilę usłyszał łomot nóg za sobą i zdawało mu się, że zbliżają się bardzo szybko. W lesie mieli nad nim — mimo wszystko — przewagę tubylców i urodzonych synów lasu.

Naraz noga mu się poślizgnęła, i poczuł, że ziemia obsuwa się z pod niego. Upadł na plecy, uderzając się boleśnie o jakiś wystający pień drzewa, i zjeżdżał po przegniłych liściach w jakiś nieskończony parów. Fakon wyleciał mu z ręki, ciało boleśnie kaleczyło się o chwasty i sęki, a głowa obijała o pnie i kamienie. Na górze zaś, po chwilowej konsternacji, już słychać było szybkie zbieganie żołnierzy po urwisku.

Mimo wszystko i tu zyskał na czasie kilka chwil. Kiedy zaś złapał grunt pod nogami — rzu-

cił się znowu, pobity i oszołomiony — przed siebie, byle dalej od goniących.

Nogi grzęzły mu w jakichś bagnach, w butach chlupało, a głowa szumiała okrutnie. Widział przed oczami światła, które ukazywały mu się to w krzakach, to jakby na niebie, i zaczynał myśleć, czy aby nie oślepł. W pewnej chwili jednak zrozumiał, że te światła widzi istotnie i że to może być jakaś kolonja, lub obóz mierników, czy myśliwych. Gnał więc, dysząc ciężko, w tamtą stronę, gdy naraz chwyciła go silna ręka i przyciszony głos zawołał:

— Nie rusz się!

Kobuz nie wiedział, kto to, ale w tej chwili płuca jego tak gwałtownie, tak nieodparcie domagały się powietrza, że pragnął nadyszeć się, a potem — co tam będzie. Upadł więc na ziemię tam, gdzie stał, i łykał zbawczy, zimny prąd powietrza.

Musiał dobrze wyprzedzić swych prześladowców, bo nie było przez chwilę nic słychać. Zato już koło siebie usłyszał oddech kilku ludzi. Nie pytali go się wiele: rozumieli, że był goniony. Tylko kiedy odezwał się tupot kilku nóg po drodze, którą dopiero przebiegł Kobuz — spytał cicho ten, który go trzymał za rękę:

— O quem é? — Kto to?

— Żołnierze — wysapał z trudem Kobuz. Wówczas puścili go i położyli się na brzuchach, rozchylając lufami krzaki.

— Dddach! — buchnęło na polanie i długo wyło nieznośnie w uszach.

— Oooo! — zawył ktoś natychmiast przeciągle i jęcząco, a ktoś darł się:

— Nossa Senhora! Nossa Senhora!

Ludzie z krzaków nie uważali jednak za stosowne wysuwać się z kryjówki. Za chwilę na polanie ucichło, i słychać było tylko oddalający się szmer kroków.

Po dobrej chwili dwóch wyszło z bronią gotową do strzału. Na polanie leżał jeden żołnierz, drugi — widocznie lżej ranny — był uprowadzony przez towarzyszy. Ludzie zaczęli kopać trupa, potem nachylili się i ściągali z niego broń, oraz trzewiki. Ubranie, ani sztylpy nie mogły im się przydać na nic.

Kobuz siedział już i przychodził do siebie. Dziwnym trafem nie zgubił kapelusza, przeciwnie wbił go sobie czemś tak mocno na głowę, że teraz z trudem się z niego wyzwalał. Pomacał się też dla pewności za rewolwer — był.

— Chodź. Pójdziesz do „Papy“ — rzekł

wreszcie jeden z ludzi, gdy dość się sobie wzajemnie napatrzyli.

W ten sposób rozpoczęła się włóczęga Kobuza z bandą „fanatyków“.

José Maria, widząc w tem wszystkiem palec Boży i chcąc okazać Kobuzowi swoją wdzięczność, chciał go zrobić „coronelem“, t. j. dowódcą dwudziestu czy trzydziestu obdartusów, z których każdy zosobna wystarczyłby, żeby zepsuć sen normalnemu człowiekowi. Kobuz jednak wolał poprzestać na nieoficjalnej roli przybocznego doradcy strategicznego.

Coprawda walk nie staczano tymczasem. Do obozu garnęła się wszelaka zbieranina, przenoszono go czasem z miejsca na miejsce, oraz robiono wyprawy po żywność. Prędko jednak Kobuz zorjentował się, gdzie się dostał: w obozie panował ożywiony handel zegarkami, pierścionkami, naczyniami i tym podobnemi rzeczami, mało mającemi do czynienia zarówno ze sztuką wojskową, jak „nową religją“.

Sam José Maria robił chwilami wrażenie obłąkanego, chwilami — zdecydowanego spryciarza. W każdym razie znał się na ludziach i umiał na nich grać, jak chciał, skoro nawet ta zbieranina,

która nigdy nie znała i nienawidziła zawsze karności — czuła dla niego respekt.

W miarę jednak wzrostu obozu, sytuacja zaczynała być coraz niebezpieczniejsza, bo i przemykać się było trudniej, i zaniepokojone władze wzmocniły znacznie siłę zbrojną, przeznaczoną na uśmierzenie rozruchów.

Pod fazendą Campo Bello przyciśnięto wreszcie bandę tak, że sytuacja stała się krytyczna. Mimo to, a może właśnie dlatego, José Maria kazał przyprowadzić właścicieli i zaczął dopominać się z gniewem pieniędzy na „sprawę Bożą“.

Otrzymał na to pokorne zapewnienie, że pieniędzy w domu niema. Wówczas stracił panowanie nad sobą i zaczął bić właściciela rękojeścią pistoletu po twarzy.

— Nie macie? — ryczał — ale dla wrogów religji, dla żołnierzy, najemników Cielca, macie?

Na tem tle właśnie doszło do nieporozumienia. Kobuz patrzył już od początku na tę scenę z obrzydzeniem, ale kiedy obecna przy tem piętnastoletnia może córka właściciela — która zresztą domyślała się losu, jaki ją czeka — zapłakała cicho i bezradnie, Chico zrobił się nagle „bravo“.

Po raz pierwszy to spotkał się tak oko w oko z praktykami „sekty“. Zazwyczaj nie chodził po

„furaż“ i nawet starał się nie słyszeć wesołych opowiadań „wiernych“ na temat ich „triumfów“.

Przemiana Kobuza nastąpiła tak nagle, jak to bywało zazwyczaj: nic nie mówiąc — rzucił się on na „proroka“ i skręcił mu rękę tak, że ten wybrany przez niebiosa człowiek kucnął zgoła zabawnie.

Kiedy Kobuz go puścił — był już spokojny i powiedział tylko:

— Odpłacam ci się z procentem: drugi raz daruję ci życie. A potem:

— Zamknąć tymczasem tych służalców Baala do tamtej izby!

Kobuz stał ponury i czekał czegoś, co był pewien, że nastąpi. Źle się czuł w tej bandzie, w tem stadzie, którego przewagę fizyczną masy czuł, jak ciągłe upokorzenie.

Ale José Maria odezwał się łagodnie i uroczyście:

— Zapomnijmy o tem! Chcę się naradzić z Tobą co do pewnego manewru.

Chodziło o to, że jeden oddział miał ściągnąć na siebie całą siłę wroga i trzymać się około pół godziny, markując całą siłę, główna zaś masa „armji“ miała uderzyć ztyłu na żołnierzy. Było to pomyślane wcale nieźle, i Kobuzowi wrócił do-

bry humor, widząc, że José Maria nie jest przynajmniej tchórzem i nie traci głowy.

Wystąpił nawet z prośbą o powierzenie jemu tego posterunku. José Maria spojrzał na niego zdziwiony, i coś jakby wstyd przeleciało mu po twarzy.

— Nie myślałem o tem — powiedział wreszcie. — Nie chciałem cię narazić, ale skoro chcesz sam. Bo przecież chciałeś sam, nieprawdaż?

Została z Kubuzem tylko niewielka gromadka obdartusów, którym na odjezdnem powtarzał José Maria, jak dzieciom, które się zostawia w ciemnym pokoju:

— Najwyżej jaki kwadrans! Zresztą oni nie będą tak bardzo atakować: będą myśleć, że tu jest cała nasza siła.

Potem plac koło fazendy gwałtownie się oczyścił, i wszystko poleciało za „starszyzną“. Przez sympatyków zaś dano znać wojsku, że znużeni fanatycy w całej gromadzie odpoczywają w nieładzie na fazendzie Campo Bello.

Koło piątej po południu, kiedy zmniejszył się nieco żar — woddali ukazał się patrol, złożony z kilku żołnierzy. Natychmiast dali do nich kilka strzałów. Przedewszystkiem z emocji, a następ-

nie nie chcąc im pozwolić podjechać bliżej i przekonać się o sile oddziału.

W ten sposób — według tradycyj walk i rewolucyj południowo-amerykańskich — bitwa mogłaby ciągnąć się bardzo długo, ponieważ polegają one zazwyczaj na strzelaninie nietyle celnej, co hucznej, i za zwycięzcę uważa się ten, kto zmusi przeciwnika do „odstąpienia“, czy z powodu wyczerpania się amunicji, czy... odwagi.

Tym razem jednak działo się coś dziwnego: oddział żołnierzy, strzelając, posuwał się dość szybko naprzód i miał — jak się zdawało — zamiar zaatakować fazendę. Byli już na tej odległości, że wkrótce mogli dojrzeć, jak niewielu miała obrońców. Coś w tem wszystkiem było dziwnego: albo żołnierze mieli obiecaną nagrodę, albo spodziewali się ogromnych łupów, albo ktoś zdradził manewr.

Była jeszcze jedna ewentualność, i Kobuz ją znał: oddział musiał prowadzić Cataldi, i Cataldi wiedział, że on, Kobuz, jest właśnie tutaj.

Żołnierze posuwali się, dodając sobie otuchy wymyślaniem na awanturników, na co od czasu do czasu odpowiadali podobnie obrońcy. Naogół jednak panowała wśród nich głęboka konsternacja, i nietyle strzelali, co oglądali się niepewnie

wtył, albo chowali głowę za parkanami i stosami belek przed świszczącemi kulami.

— To już trwa więcej niż godzinę! — zawołał nagle któryś. Kobuz myślał o tem oddawna i rozumiał cały „manewr“ proroka. Istotnie „manewr“ był piekielnie zręczny.

Krzyk ten jednak był hasłem ogólnej paniki. Kilku naraz wstało i zaczęło krzyczeć; żołnierze, nie rozumiejąc jeszcze tego, co zaszło, i przypuszczając atak — odpowiedzieli ze strachu silniejszą salwą. Natychmiast kilku „fanatyków“ upadło, wyjąc z bólu, a reszta rzuciła się do ucieczki. Za chwilę jednak wrócili i ci, którzy chcieli uciec i, wybiegając z za węgła domu, krzyczeli, jak szaleni:

— Otoczyli! Jesteśmy otoczeni. José Maria zdradził!

Padali teraz coraz gęściej. Kobuz z dwoma, czy trzema, którym pozostawało nieco zimnej krwi — skoczyli w stos gęsto ułożonych belek, tworzących rodzaj reduty, i zaczęli spokojnie strzelać, wiedząc, że chodzi już tylko o to, żeby opóźnić koniec. Kobuz zaś myślał zwłaszcza o tem, żeby nie dostać się do niewoli: w trakcie walki dojrzał małego oficerka, przebiegającego od drzewa do drzewa, który dziwnie przypominał

15*

Cataldiego. Żołnierze zbliżali się gęsto, ale wobec celności strzałów, idących ze stosu drzew, nie ośmielali go się atakować wręcz. Chowali się za węgły, pnie, płoty i walili, nie żałując naboi. Ta ogromna ilość kul, lecących takiem stadem, że niepodobna było wychylić się ponad parapet — sprawiła swoje: jeden z towarzyszy Kobuza dostał postrzał koło ucha i, spokojnie okręciwszy się, zmiękł i obwisł, jak pijany, potem ułożył się spokojnie na ziemi i wyszczerzył zęby. Dobrze, że nie wiedzieli o tem atakujący.

Naraz Kobuz poczuł silne szarpiące uderzenie ztyłu i usłyszał głosy poza sobą: grupka żołnierzy z małym oficerkiem na czele zabiegła im od nieosłoniętych tyłów.

— Mój jesteś — krzyknął Cataldi, mierząc z rewolweru.

Dziwnym ciężkim ruchem podniósł także i Chico swoją broń. Wystrzelili razem i razem zachwiali się: obaj trafili. Cataldi potoczył się wstecz i upadł za załamek gruntu tak, że go nie było widać. Kobuz zaś oparł się o deski i skorzystał z momentu zawahania się żołnierzy, żeby przełożyć broń do lewej ręki: prawą nie mógł dlaczegoś władać, i oczywiście karabinek był już dla

niego bezużyteczny. Miał tylko pięć śmierci w bębenku Schmidta.

Na czoło żołnierzy wysunął się jednak inny oficer, z młodzieńczą twarzą, i krzyknął:

— No cóż? Boicie się jednego człowieka?

Z tego Kobuz zrozumiał, że i drugi jego kompan nie żyje. Nie śmiał odwrócić się, żeby to sprawdzić. Znowu strzelili do niego, i jemu jakieś bóstwo pomogło jednak oddać dwa strzały, które musiały trafić, bo żołnierze cofnęli się. Przypuszczali widać, że go nie trafili, i zaczęli obawiać się czarów. Nie byłoby to nic dziwnego w obozie „fanatyków".

Strzelił więc jeszcze raz, licząc tylko na stary nałóg ręki, bo widział wszystko, jak przez mgłę. Prawa ręka cierpła mu gwałtownie, chwytały go dreszcze, i całe ciało bolało w różnych miejscach.

Znowu ktoś się potoczył, ale żołnierze strzelili jeszcze raz i znowu gdzieś szarpnęło boleśnie. Potem Kobuza opanowała nagła ochota snu, i miał zamiar ułożyć się na ziemię. Przypomniał sobie tylko, że Gabriella mogłaby pokochać jedynie człowieka bardzo odważnego i postanowił jeszcze strzelać, strzelać do końca. I zginąć ładnie, z gestem.

Naraz strzały ustały, i Kobuz zobaczył sym-

patyczną twarz porucznika. Chciał jeszcze strzelać, ale ten krzyknął:

— Nie strzelaj, senhor! Coś ci chcę powiedzieć.

Chico uśmiechał się i starał się przypomnieć sobie, jak wyglądały oczy Gabrielli, gdy wychodziła z za kotary. A także, jak płynęła przez pokój. Potem oprzytomniał i przypomniał sobie, że ma być bardzo spokojnym. Chciał odpowiedzieć porucznikowi, ale skinął tylko głową z uśmiechem.

Wówczas porucznik, jeszcze bardziej oczarowany tym uśmiechem, powiedział tak pięknie, że wszyscy żołnierze zebrani wokół niego chórem zawołali kilka razy: „Muito bem!" Powiedział tak pięknie, jakby to był najlepszy teatr, albo przynajmniej „romance".

— Senhor! Jesteś walecznym, i zaszczyt nam przynosi, że walczyliśmy z tobą. (Słuchajcie-no!) Wytrwałeś doostatka, mimo że wszyscy cię odstąpili, a ów nędzny prorok zdradził. Ale chcę, abyś wiedział, że zwycięska zawsze armja brazylijska umie cenić męstwo nawet we wrogach. (Muito bem!) Dlatego proponuję ci — poddanie się, jako jeńcowi wojennemu. (Muito bem!)

Porucznik też podobał się sobie. Zresztą

przyjechał dopiero niedawno z Portugalji i miał ładną głowę, nabitą przygodami conquistadorów.

Kobuz za wszelką cenę chciał wydobyć z siebie kilka słów. Odchrząknął więc i położył rękę na bolącej piersi, co jednak wyglądało jak najpiękniej pomyślany teatralny gest. Pochylił też głowę na piersi. Potem przemówił z trudem, szeroko i leniwie robiąc gest w powietrzu, a nie przestając się uśmiechać:

— Senhores! Senhor Tenente! Nie poddałbym się komu innemu, ale panu...

Żołnierze aż cmokali z zachwytu nad tą sceną. Gest w rasach łacińskich ceniony jest wszak na wagę życia. Kiedy zbliżyli się teraz do Kobuza, ten nagle skręcił się w sobie i padł bokiem na ziemię. Kiedy rozgarnęli mu koszulę na piersiach — stanęli zdumieni jeszcze bardziej: kto mógł przypuścić, że zdobędzie się na gest człowiek tak podziurawiony?

Dłuższy postój „sztabu“ na fazendzie Campo Bello, zabiegi wdzięcznej rodziny fazendera i swoisty „telegraf“ interjorowy sprawiły, że zjawiła się tam nagle senhorita Gabriella i steroryzowany zupełnie przez nią stary Fabricio.

Wykupienie jeńca prawie nieżywego od szlachetnego porucznika nie było ani zbyt trudne, ani

drogie, wobec tego, że porucznik nie zdawał sobie sprawy, że mógłby zażądać o wiele więcej.

Powiedział jednak do Gabrielli:

— Tylko pani oddaję to życie. I musi przysiąc, że nie podniesie uzbrojonej ręki na armję naszej dzielnej republiki.

Tego pięknego okresu nie mógł sobie przecie porucznik darować. Tymczasem Kobuz nie mógł podnosić ręki ani na armję, ani w jakimkolwiek innym celu. Wieziono go w karosie zupełnie nieprzytomnego, mając wpogotowiu czapkę żołnierską, którą mu kładziono na głowę, gdy zjawiał się na drodze patrol. Potem cicho leżał w fazendzie, liżąc się ze swych ran, a trwało to tak długo, że kiedy mógł już podnosić rękę i używać nóg — zapomniano zupełnie o „fanatykach“, bo były wybory nowego prefekta i przyjazd nowych emigrantów. Że był to człowiek, wybrany przez Fortunę do burzliwego i niebezpiecznego trybu życia — świadczy już choćby to, że żadna rana nie wywołała w nim komplikacyj, mimo stosowania przez Lazara i Fabricia takich lekarstw, od których europejskiemu lekarzowi mogłyby wszystkie włosy stanąć na głowie.

* * *

Kobuz budował dom.

Nie był to jednak zwykły dom kolonisty: niekształtne pudło na kilku słupach, z dwuspadkowym tylko dachem i z pretensjonalną werandką — gankiem od frontu, co wszystko nadaje mu wygląd żydowskiej podmiejskiej „willi“. Nie! Po długiem rozglądaniu się wśród swych terenów Kobuz wybrał miejsce górzyste, na którem dom wydawał się jeszcze lepiej, a sam dom był zakrojony na taką skalę, że przypominał obronny zameczek. Było to w znacznej mierze zresztą zasługą — tego pomylonego Austrjaka, który pono budował kościoły tam, w Europie, a tu był czemś w rodzaju wędrownego handlarza.

Dom stał jeszcze głębiej w lesie, niż dawne „rancho“, na nowych terenach. Tak! — na nowych, bo sława Chica Brava przyniosła mu nieoczekiwane odsetki: znana to rzecz w Brazylji, że tereny sporne, na które jeszcze nie wydano „tytułu definitywnego“ — chętnie i tanio są odstępowane zawadjakom, którzy zawsze potrafią innych pretendentów wykurzyć. Kobuz dziwił się, kiedy zaczęto zgłaszać się do niego z podobnemi propozycjami, ale kupował i kupował.

Nie można powiedzieć, żeby Szumny zebrał kapitały przez czas swojej gospodarki, ale prze-

cież jakoś tam roboty na polach szły, a to, co Szumny wydał na kaszas, nie mogło wynieść wielkich sum. Trochę się należało tu i ówdzie za herwę czy kukurydzę, coś niecoś było na widoku, a przytem taki fazender, jakim stawał się Kobuz — miał wszędzie kredyt.

Powiększał więc chciwie swe tereny, parł w głąb lasów i wreszcie przeniósł siedzibę w bór dalej, w stronę rezerwatu indyjskiego. Nie groziło już teraz wiele z tamtej strony, i chodziły uporczywe wieści, że trzyma ich w karbach jakiś biały awanturnik, który został nawet obrany ich „kacykiem".

Dom był zakładany z rozmachem, bo Kobuz bał się, żeby nie wyglądało to wszystko razem na kolonję. Otaczał go częstokołem, jak to robili dawniej Indjanie Guarany. Osiodłane konie trzymał przed gankiem. Słowem, wyglądało to trochę na wendę, trochę na posterunek wojskowy, a trochę na fazendę hodowlaną.

Już skoro miał być dom — niech będzie taki, jakiego nie miał nikt!

Coprawda Reich miał już dom murowany, ale nie to imponowało Kobuzowi. Przebąknęła coprawda coś o tem Gabriella, ale Kobuz obejrzał

się tylko na nią ze zdziwieniem i nie odpowiedział. Murowany dom w środku lasu?

A Gabriella chodziła teraz po obejściu starej fazendy cicho i sennie, jakby przepełniona słodyczą. Skoro stali się już oficjalnie „noivo“ — narzeczonymi, nikt nie miał im za złe, że stali się faktycznie mężem i żoną, choć sama ceremonja miała odbyć się dopiero w nowym domu.

Od kiedy miała zostać matką, Gabriella przestała marzyć o zawadjakach z książek, których naczytała się w mieście.

Drżała nawet, żeby Chico nie naraził się na jakieś nowe niebezpieczeństwo, i potrafiła popłakiwać, gdy jechał do budowy.

— Tutaj, w kolonji? — śmiał się, trochę wzruszony jej troską. — Cóż mi się może stać? A zresztą, czy to mało już rzeczy widziałem?

— Ja nie wiem — mówiła przez łzy. — Może „bicho“, albo co innego? A właśnie dlatego, że tyle już wycierpiałeś się... Już nie chcę. Dosyć tego. Chcę cię mieć stale i na pewno...

Wreszcie przyszedł ten dzień uroczysty.

Już od rana przewoziło się meble ze starej fazendy, urządzało się, wykańczało...

Szumny plątał się między tem wszystkiem, zbity z tropu, kwaśny, i mruczał. Mundego nie-

ufnie obwąchiwał dom i wybiegał na podwórze do koni.

— Co to za furmanki? — spytał w pewnej chwili Kobuz.

— A ot — odpowiedział krzywo Szumny. — Robią to samo, co ty. Nie wiesz, co się dzieje w kolonji, bo odstrychnąłeś się od gromady. To młodzi, którym za ciasno się zrobiło na starej ziemi — jadą w las. Głupcy!

— Dlaczego głupcy?

— Ha - ha - ha! — nieszczerze się podśmiewywał Szumny. — Im pachnie swoboda, dziczyzna, walka z lasem, polowanie, ale udają, że to wszystko nic, że są rozważni, że chodzi im o dostatek. Chłop szuka walki, a baba z tej walki zdobycz i dostatek wyciąga. Za kilka lat znowu tam kolonja wyrośnie i znowu będą uciekać przed tem, co sami zrobili — dalej w las. Sami się oszukują.

Kobuz mruknął coś niewyraźnie, ale słuchał dalej.

— Czy myślisz, Chico, że jak chłop idzie na polowanie,— to myśli naprzód o tem, że „anta“ ma smaczne mięso i że on naje się dobrze? Nie! On myśli, że spróbuje swoich sił, że będzie się zmagać z lasem, tropić, zasadzać się, ścigać —

aż wreszcie zwierza położy i postawi na nim nogę. Czy to może zrozumieć jaka baba? A nawet ci, co złoto kopią... Nie o samo bogactwo im chodzi. Nie: złoto to dla nich także zwierzyna, łup, zdobycz, triumf... Ech!

Furmanki zbliżały się, bo droga koło fazendy Kobuza była lepiej przetarta, niż inna droga, idąca przez Linję św. Jana.

— Ot, patrz — ciągnął Szumny. — Widzisz te bety, dzieciaki wrzeszczące, malowane łóżka, garnki... Widzisz to? Przyjrzyj się dobrze, Chico! To wszystko świństwo miejskie, te swoje wygody ciągną w las, jak na urągowisko. Z lasu będą „koloniją" robić — przedrzeźniał ich wymowę. — Zapaskudzą las, nabudują bud, chlewików, płotków... A jaka to będzie radość, jak sobie pokupują farby, a pomalują te pudła na różne kolory!

Z grzechotem wlokły się karosy, pełne dobra domowego, poduszek w czerwoną kratkę, bronzowych łóżek, misek niebieskich, a wszystkie te kolory raziły w lesie, jak krzyk ordynarny.

— Słuchaj, Chico — podjął po chwili Szumny. — Dużo ja myślałem o chłopie i babie, bo od tego zrozumienia wszystko w życiu zależy. Wiesz, czego chłop w życiu szuka? Próbowania swoich

sił i zwycięstwa. Szuka tylko przygody. Czasem wydaje się, że zarobku szuka, dostatku... Ale to nie to. Jak ma już dostatek — to będzie w karty grał, albo pił, albo konie zajeżdżał, bo szuka, wiecznie szuka przygody.

— A potem? — spytał Kobuz przez przekorę, bo czuł to wszystko, jak swoje.

— Nic potem — rozzłościł się Szumny. — Ot, u narodu greckiego jest takie opowiadanie o jednym człowieku, co nie mógł wrócić do ojczyzny i kobity, bo coraz miał nowe przygody. Odys nazywał się, i od niego nazywają czasem przygody — „odyseją“. Ale widzisz, to nie to. To nie jest jeszcze prawdziwy los mężczyzny i dusza. Był inny człowiek w tych opowiadaniach — Jazon. Ten właśnie z ojczyzny wyjechał szukać przygód. Tego chciał, tego szukał. To dopiero jest prawdziwa droga mężczyzny: „Jazoneja“!

— Przecież niektóre kobiety... — niepewnie zaczął Kobuz.

— Tak, tak — skrzywił się Szumny — już wiem, co chcesz powiedzieć. Póki zdobywasz ją — zachęca cię, bo chce, żebyś zapalił się do niej, jak się zapalasz do każdej zdobyczy. Ale niech splącze się z tobą, jak to „cipó“-liana, to koniec z tobą, bratku. Uwiąże ci u nóg wszystkie dzie-

ciaki, wszystkie garnki, wszystkie filiżanki i swoje łzy, że kroku nie postąpisz...

— Jedzie ktoś — odwrócił się nagle Kobuz.

— Z fazendy — odpowiedział bezbarwnie Szumny.

Fabricio wyłaził powoli z karosy i pomagał wyjść Gabrielli, która stąpała ostrożnie, niosąc samą siebie z uwagą i obawą. Fabricio osunął się, zgarbił i oczami za córką wodził.

— Chico! — uśmiechnęła się Gabriella.

Krok jej nie był tak melodyjny, jak dawniej: figura jej stała się pełniejsza, i twarz była szersza, okrąglejsza.

— Chico! Teraz nie wejdziesz do domu, aż ci powiem. Będę urządzać...

Odeszli więc z Szumnym dalej od domu, a bliżej lasu i przysiedli na jakimś pniu. Skręcili papierosy. Po chwili Szumny zaczął innym tonem, weselszym i marzącym:

— Wiesz, Chico? Tu wszędzie, na zachodzie Parany i St. Cathariny, były dawniej księże państwa. Klasztory, miasta bogate, czy ja wiem — państwa całe. Teraz dróg do nich niema: puszcza zjadła drogi, a wojny — miasta. Mówią jednak, że skarbów moc tam wielka i że żaden jeszcze człowiek tam nie dotarł. Stoją wielkie mury

w samym środku puszczy, chwasty się pchają pomiędzy nie, a w piwnicach skarbów, kamieni i złota, jak w żadnym skarbcu królewskim. Może tylko żmije, albo „onsy“ siedzą w tych murach. Zresztą ani jednego człowieka...

— Bajki pewno? — niedowierzał Kobuz.

— Gdzietam! Na mapach oznaczone są nawet te ruiny. Ot, naprzykład, jest miasto takie w Paranie, nad rzeką Ivahy. Nazywa się Villa Rica — Bogate Miasto. Dróg do niego niema, jakby ktoś z nieba je rzucił w środek lasu. Ciekawość, czy też ktoś tam kiedy dobrnie przez porogi Ivahy, przez moskity, Indjan, bagna...

— Chico! Skończone — rozległ się po jakimś czasie głos z domu, gdy obaj siedzieli, milcząc.

Poszli obaj ciężkim krokiem i przekroczyli próg. Doprawdy, dom był jakby oddawna zamieszkały: w drzwiach wisiała zielona kotara, a na środku...

— Chico! zobacz, co wisi pośrodku?

Na środku wisiała ohydna, „reprezentacyjna“ lampa z różowym kloszem.

— Elza bardzo tę lampę lubiła! — odezwał się głos z progu.

Obejrzeli się — Reich stał uśmiechnięty, promieniejący.

— Życzenia! — wołał, wyciągając rude łapy. — Najlepsze życzenia! Senhor Kobuz, biję się w piersi: nie poznałem się na panu. Miałem pana — wybaczy pan, za świszczypałę, za awanturnika. Tymczasem cóż? — Wszystko było dobrze pomyślane, wszystko rozważone. I wybór tego „lotu“, i karczunek dokładny, i odpędzenie Indjan od kolonji, i nawet... gra w karty razem z „walentońświem“, które panu napędziło sporne tereny. Jest pan sprytny, rozważny, zapobiegliwy, a przedewszystkiem... tak! przedewszystkiem solidny człowiek. Powinszowania!

Po ślubie i ksiądz dał się ubłagać Gabrielli na odwiedziny, a za nim przyszło kilku ważniejszych z gromady. Winszował mu Messel i Watras, i Pankosz, i inni. Przecie ustatkował się. Przecie osiadł. Ziemi się złapał, jak i cała gromada. Kobitę ma, i na dziecko się zanosi. A że hulał — to i cóż? Zuch z tego Franka — niema co! No, i przyjęcie też — ma się rozumieć — godne wystawił. Przez noc i dzień cały ciągnęło się.

. . . .

Daleko jeszcze do świtu było, gdy wyszedł Kobuz ostrożnie ze swego nowego domu, uzbrojony i ubrany.

Gwizdnął cicho na Mundega, który na dworze

spał. Potem na okólnik poszedł konia łapać. Siodłał go, cichutko świszcząc przez zęby.

Noc była ciepła, od lasu pachniało; gdzieś w gąszczu trzaskała „taquara“, jakby ktoś szedł lasami bez drogi.

Wyprowadził konia za obejście i pogroził psu, który chciał zaszczekać. Potem ruszył stępa, wstrzymując konia mundsztukiem, aż dopiero odjechawszy dobre pół kilometra, wypuścił konia całym pędem i gnał jak warjat.

Pono ktoś go widział w kolonji tak lecącego, podobno przejeżdżał wieczorem przez Rio Negro, kierując się ku granicy parańskiej, ale to były tylko takie sobie pogłoski. Ktoś nawet przysięgał spłakanej Gabrielli, że widział go aż koło Theresiny, i że jechał na północ, gdzie wówczas nie było siedzib ludzkich.

Dyrektor Reich jakiś czas twierdził, że miał widać i w tem jakiś interes, ale po pewnym czasie musiał i on zmienić zdanie.

— A jednak — powiedział — zawsze twierdziłem, że to był świszczypała. Przypomnijcie sobie, że zawsze to twierdziłem!

Po kilku latach rodzina matki Gabrielli postarała się o urzędowe ogłoszenie śmierci jej

męża, i wówczas już mogła wyjść spokojnie zamąż za swego stryjecznego brata.

Szumny rozpił się pono ostatecznie.

KONIEC

82-